

Peleton doświadczalny

Dlaczego kolarzom grozi próchnica

▶ 32

Jean Seberg

Gwiazda zaszczuta przez FBI

▶ 29



WYSOKIE OBCASY

Historia zdrady.

Rozmowa z fotografką Karlą Hiraldo Voleau



FOT. JOHN SPRINGER COLLECTION/GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Maciej Siembieda

Jak stworzył „Gustawa”, którego sami możecie przeczytać

▶ 24

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na co czeka KO?

Bo kampanię zaczęli już wszyscy

▶ 8

Starzy adwokaci:

Będzie jak u Niemca

▶ 12

Stalin

pije zdrowie Hitlera

▶ 44

Witaj, szkoło!

Bez komórek, co z pantofelkiem i Sienkiewiczem?

▶ 4



FOT. SHUTTERSTOCK

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 34

Sobota – czwartek, 22-27 sierpnia 2026 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 195.11294, 1

Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

1 RP

eprasa.pl 46280ae095



Agnieszka Kublik

Wczoraj trucizna, dziś lekarstwo

PiS liczył, że tak abstrakcyjne hasła spoza codziennego życia, jak „praworządność", „trójpodział władzy", „Trybunał Konstytucyjny", „niezawisłe sądy" wydadzą się obywatelom odlegle. Ale – jak się okazało jesienią 2023 roku – Polacy zrozumieli, że choć koszula bliższa ciału niż konstytucja, to i konstytucja przekłada się na ich codzienność. A zwłaszcza że podważanie konstytucji szkodzi obywatelom. Polacy poczuli to na własnej skórze choćby w sądach. Już wiedzą, że neosędziowie to nie tylko odległy ustrojowy problem politycznej elity. Jak się na takiego trafi, gwarantowany problem: przedłużone postępowanie, brak zaufania, że sędzia będzie bezstronny, podważane wyroki...

Opublikowany w sierpniu raport CBOS o tym, co Polacy myślą o wymiarze sprawiedliwości, pokazuje, co się dla nas liczy. Ci, co myślą źle, mają problem przede wszystkim z przewlekłością i upolitycznieniem sądów. Ci, co dobrze, chwalą sądy za szybkość i sprawność.

Polacy oczekują spełniania obietnic i sprawczości. Dlatego Tusk wysyła do TK Berka

Konstytucjonalista profesor Tomasz Tadeusz Koncewicz w 2016 roku, w 30 rocznicę powstania Trybunału Konstytucyjnego, tłumaczył nam, dlaczego nie powinniśmy pozwolić PiS przejąć TK. Bo „w konstytucji są zapisane podstawowe prawa jednostki, prawa obywatelskie, to prawo do niezawisłego sądu, do swobody wypowiedzi, do ochrony własności i wiele innych". Bo to właśnie Trybunał Konstytucyjny wydawał wyroki w sprawie parkometrów, aborcji albo tego, czy obywatele mają prawo dochodzić odszkodowania od państwa.

Tak, Trybunał Konstytucyjny chroni nasze obywatelskie prawa i nas samych przed politykami. Ale tylko ten Trybunał, który jest konstytucyjny. Obecny nie jest.

Więc premier Tusk postanowił zmienić zasady gry – chce, by sędzią TK został Maciej Berek. Zmienić, bo sam premier zabiegał, by w TK nie zasiadali prawnicy powiązani z władzą. Berek jest, i to bardzo, przecież jest prawą ręką szefa rządu.

Ale skoro Polacy oczekują spełniania obietnic i sprawczości – a oczekują – to jeśli Tusk spełni obietnicę uzdrowienia Trybunału i sprawi, że sąd konstytucyjny wreszcie będzie legalnie wydawał wyroki, czyli dbał o nasze prawa i pilnował polityków, to opinia publiczna Berkowi w TK przyklaśnie.

Nasz obecny wymiar sprawiedliwości źle ocenia większość Polaków – owszem, prawicowy elektorat gorzej niż wyborcy lewicy czy centrum, ale niezadowolenie łączy wszystkich.

Ta większość może poprzeć pomysł Tuska. Bo ryba psuje się od głowy, a wymiar sprawiedliwości od Trybunału Konstytucyjnego. Co wiedział Kaczyński, dlatego od zniszczenia TK zaczął po wygranej w 2015 roku zmianę ustroju bez zmiany konstytucji.

Tusk może więc odwrócić te zmiany bez zmiany konstytucji. ●

Psy warte mszy
Niech się darzy czworonogom!



FOT. REUTERS/CLAUDIA MORALES

W Dniu Św. Rocha, patrona zwierząt, Boliwijczycy tradycyjnie oddali cześć swoim wiernym pupilom – w ich intencji odbywają się nawet msze. Na zdjęciu pies ubrany w kostium Ekeko, andyjskiego boga obfitości, podczas odświętnej parady w La Paz.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Prosty jak strzała
Tajemnica kła narwala rozszyfrowana

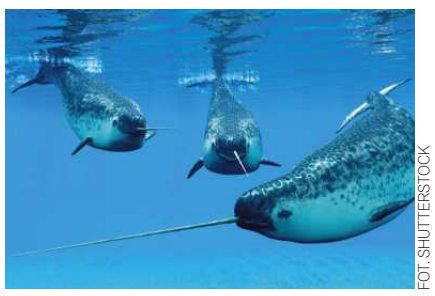
Narwale to ssaki morskie żyjące w zimnych wodach Oceanu Arktycznego i jego przyległościach. Oprócz miejsca życia wyróżnia je właśnie imponujący lewy kieł – spiralnie (a właściwie helikalnie) skręcony ząb wyglądający jak włócznia i dorastający nawet do ponad dwóch metrów długości.

Narwal jest jedynym znanym nauce zwierzęciem, u którego kieł jest mocno przedłużony i zarazem prosty. U słoni czy u morsów przedłużone kły są zawsze zakrzywione.

Jaka siła czyni ów kieł prostym?

Tę zagadkę naukowcy rozwiązują w najnowszym wydaniu tygodnika „Nature Communications". Badacze wykorzystali różne techniki obrazowania mikroskopowego, by prześwietlić anatomię imponujących zębów tajemniczych ssaków morskich.

Jak piszą uczeni, choć zewnętrzna część narwalego kła – tzw. kostniwo – wskazuje na to, że kręci się on w lewą stronę, to kolagenowe warstwy jego



FOT. SHUTTERSTOCK

wewnętrznej części – czyli zębiny – są skręcone w prawo. W ten sposób przeciwstawne siły stabilizują strukturę rosnącego przez całe życie kła (a narwale dożywają nawet 80. urodzin) i uniemożliwiają jego zakrzywienie.

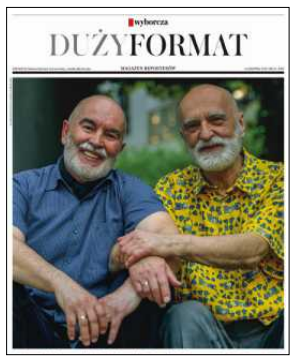
A po co w ogóle narwalom ten kieł? Wstępne badania wskazują, że jest on efektem doboru płciowego. W wystający lewy kieł wyposażone są bowiem tylko samce. Prawdopodobnie samice narwala najbardziej lubią te samce, które mają najdłuższe kły. ●

Tomasz Ulanowski wyborcza.pl/nauka

Andrzej rysuje



W poniedziałek w DF



MĄŻ I MĄŻ. 50 LAT RAZEM. Z małżeństwem Ryszardem Ziobrą i Tomaszem Kwietko-Bębnowskim rozmawia Ewa Wilczyńska



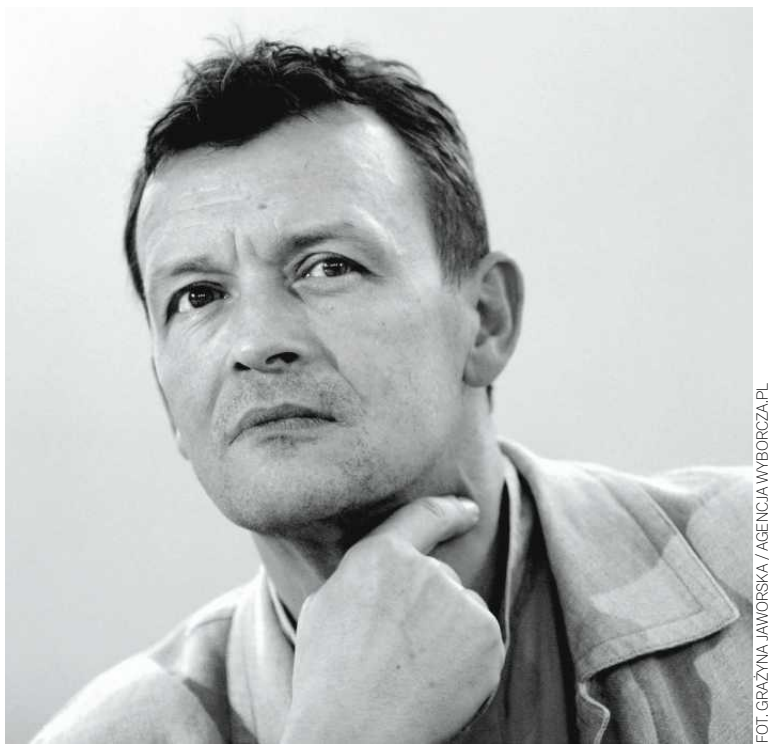
Mam nadzieję, że będę reprezentować kobiety, nie tylko te w moim wieku. Spójrz na Stallone'a, Jasona Stathama, Jeta Li czy Liama Neesona. Jest mnóstwo starszych facetów. Nikt nie mówi o nich, że są za starzy. Takie wątpliwości pojawiają się tylko w przypadku kobiet

CYNTHIA ROTHROCK
69-letnia gwiazda kina akcji, dla „Wyborczej"

eprasa.pl 46280ae095

Pożegnanie Jana Frycza

Oddają nam siebie na własność



FOT. GRAŻYNA JAWORSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Umarł aktor, a we mnie,
jak za każdą śmiercią aktorki, aktora,
dokonuje się wyjątkowo solidne pogodzenie natury i kultury, bliskości i oddalenia.



Jarosław Mikołajewski

Nie znałem Jana Frycza osobiście, podobnie jak nie znałem Igi Cembrzyńskiej, Ignacego Gogolewskiego, Tadeusza Łomnickiego, Andrzeja Łapickiego. A przecież z odejściem każdej i każdego odczułem smutek jak po śmierci znajomej osoby. Tyle że do rysów i gestów, które w przypadku osób bliskich są bliskie jak sami ci ludzie, w przypadku śmierci aktorskich na smutek osobowy, powszedni, nakłada się smutek utraty postaci, które zagrali. Kiedy umarł Tadeusz Łomnicki, umarł Król Lear – wiadomo. Kiedy umarł Andrzej Łapicki, umarł subtelny inteligent mojej pamięci i wyobraźni.

Trochę inaczej się ze mną dzieje, kiedy zmarły aktor był również moim znajomym, jak Zbigniew Zapasiewicz. Wtedy jego śmierć przebiega w dwóch planach. Postaci, które zagrał, i postać, którą był w życiu, wchodzą w taniec z zamianą ról i wielością wcieleń.

Czasem umiera aktor legenda. Jak Robert Redford. Wtedy jego śmierć jest trochę nieprawdziwa, jak teoretyczna możliwość poznania go w życiu. Taki aktor jest i nie jest, był i wciąż jest, ale inaczej. Bardziej wciąż jest, niż kiedykolwiek istniał. Przy takiej też okoliczności nieoczekiwanie odkrywam wartość aktorów polskich, na ogół słabo rozpoznawalnych międzynarodowo – posługujących się polszczyzną, unieśmiertelniających jej model i piękno. Jest tak, jak gdybym przy śmierci Redforda myślał: był kimś, ale nie wypowiadał się w języku polskim. A przecież to nasz wspólny język rozbrzmiewa w nich najdoskonalej, najspecyficzniej.

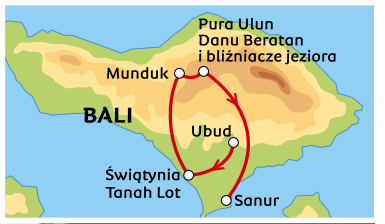
Umarł więc Jan Frycz. Iluż to rzeczy o człowieku Janie Fryczu dowiedzieliśmy się przy okazji. Że miał charyzmę, magnetyzm, cięty dowcip. Ja sam na tyle, na ile zdołałem poznać go poprzez role, ceniłem jego powściągliwość, inteligenckość, wewnętrzne napięcie, precyzję mówienia, urodę. Lubiłem myśleć, że był taki też w życiu, stopiony z intelektu i piękna. Nie muszę szukać daleko w pamięci, żeby za rolę, za którą jestem Janowi Fryczowi wdzięczny najbardziej, uznać tę, którą stworzył w partnerskiej grze z Januszem Gajosem, w filmie Wojciecha Wójcika „Tam i z powrotem". Dziwne. Przecież rządził w tym filmie nie sam, lecz z innym wspaniałym aktorem. A jednak.

Nie wiemy, jakimi drogami przywiązujemy się do aktorów. Który i jaki korytarz otworzą w nas do nas samych. Ale czujemy, czuję ja, że realizując siebie, siebie nam oddają na własność. Niosą nasz garb, bolesną aureolę losu. ●

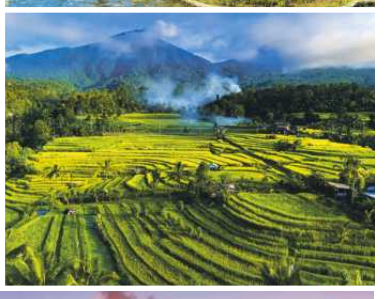
REKLAMA
Kraj/34447375



Maksymalnie 25 uczestników







Kameralna wycieczka objazdowo-wypoczynkowa na rajską wyspę Bali z jej świątyniami, wyjątkową sztuką i tradycjami, lasem deszczowym, tarasami ryżowymi i pięknymi plażami.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Ubud. **Dz. 3** Ubud. Poranny spacer po polach ryżowych i popołudniowa wizyta w Ubud. **Dz. 4** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. Przedstawienie taneczne w Ubud (opcja dodatkowa). **Dz. 5** Ubud. Czas wolny lub wycieczka rowerowa (opcja dodatkowa). **Dz. 6** Ubud – Munduk. Świątynia Tanah Lot i podziemne źródła w Banjar. **Dz. 7** Munduk. Wędrówka do Wodospadu Czerwonych Korali i poznanie tradycji składania darów ofiarnych. **Dz. 8** Munduk. Czas wolny. **Dz. 9** Munduk – Sanur. Jeziora Bliźniacze, świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 10–13** Sanur. Wypoczynek i czas na własne przygody. **Dz. 14** Wylot z Bali. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni I Wyloty z Warszawy 07/05, 15/09, 31/10 2027 I od **8.998,–**





Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Rzymu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 21/10 2026 | od **5.998,–**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW29

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 46280ae095

TEMAT WAŻNY

Szkoła idzie za kompasem



eprasa.pl 46280ae095



RYS. GETY IMAGES

Reforma edukacji jest bardzo potrzebna i słuszna na poziomie ideowym, ale żadnej reformy nie da się sprowadzić do samych przepisów – mówi ekspertka od spraw szkolnictwa. **Pytań i wątpliwości przed 1 września jest sporo.**

Z **KATARZYNĄ NABRDALIK***,
PREZESKĄ FUNDACJI TEACH FOR POLAND
ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

Nowy rok szkolny coraz bliżej, a wraz z nim nadchodzi reforma edukacji. Uczniowie pierwszych i czwartych klas podstawówek rozpoczną naukę już według nowej podstawy programowej. Dlaczego potrzebna jest w polskich szkołach kolejna reforma?

– Bo dzisiejsza szkoła w wielu miejscach nie działa tak, jak powinna – dane pokazują to od lat. Z badania PIRLS 2021 (Międzynarodowe Badanie Postępów Biegłości w Czytaniu) wynika, że aż 57 proc. uczniów czwartych klas szkół podstawowych deklaruje umiarkowane lub niskie poczucie przynależności do szkoły – to czwarte miejsce od końca wśród 57 badanych krajów. Z kolei PISA 2022 (Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów przygotowywany przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) pokazuje, że 58 proc. piętnastolatków uważa, że szkoła niewiele zrobiła, by przygotować ich do dorosłego życia. Przy średniej 48 proc. w innych krajach Polska zajęła 69. miejsce na 76 sklasyfikowanych krajów. Choć to samo badanie potwierdza, że nasi uczniowie wciąż dobrze wypadają na tle rówieśników z innych krajów pod względem wiedzy matematycznej, czytania czy rozumowania w naukach przyrodniczych, choć wyniki w ostatnich latach delikatnie spadają.

Problem dotyczy też nauczycieli: Polska znalazła się na przedostatnim miejscu wśród 58 krajów pod względem satysfakcji zawodowej nauczycieli matematyki i na ostatnim w przypadku nauczycieli przyrody, a według PIRLS 2021 aż 73 proc. polonistów w szkołach podstawowych ma niski lub umiarkowany poziom satysfakcji z pracy. Te liczby pokazują realny problem z motywacją, poczuciem sensu i relacjami w szkole.

Świat wokół nas zmienia się bardzo szybko i szkoła nie może być na te zmiany obojętna. Model szkoły, który mamy, został zaprojektowany dekady temu, w zupełnie innej rzeczywistości technologicznej, społecznej i gospodarczej, i po prostu przestaje odpowiadać na potrzeby dzisiejszych uczniów oraz społeczności, w których żyją. Dlatego traktuję ten moment jako szansę, żeby zadać sobie pytania fundamentalne: po co nam w ogóle szkoła w dzisiejszym świecie? Jaka powinna być jej rola? Komu i w jaki sposób powinna służyć?

Założenia reformy „Kompas Jutra" wydają się świetne: nowa, bardziej przejrzysta podstawa programowa, większy nacisk na kompetencje i umiejętności praktyczne kosztem czystego zapamiętywania, więcej godzin zajęć projektowych i praktycznych, zmiana systemu oceniania w stronę informacji zwrotnej. To wszystko brzmi pięknie. Ale kiedy wczytuję się w to, jak to się przekłada na konkretne rozwiązania, to czuję niedosyt...Na przykład: co to jest jeden tydzień projektowy na cały rok szkolny? Czy Pani zdaniem zaproponowane zmiany są wystarczające?

– Warto zapytać, co właściwie oznaczałyby „wystarczające". Jedni nazywają tę reformę rewolucją, inni mówią, że w gruncie rzeczy niewiele zmienia, jeszcze inni – że to chaos. Ja zadaję sobie raczej pytanie, jakie efekty może przynieść w perspektywie kilku czy kilkunastu lat. Myślę, że same rozwiązania – jak choćby ten jeden tydzień projektowy w roku – to za mało, żeby zrealizować tak ambitne założenia. Na poziomie wizji i wartości uważam jednak, że to krok w dobrym kierunku, spójny z tym, co pokazują badania: że polska szkoła potrzebuje większego nacisku na poczucie sensu, relacje i umiejętności praktyczne, a nie tylko na wiedzę encyklopedyczną.

Czyli nazwa reformy „Kompas jutra" jest trafiona...

– Nazwa to tylko metafora. Kwestią jest, jak stworzyć w szkołach warunki, które pozwolą tę wizję zrealizować – i o tym mówi się moim zdaniem stanowczo za mało. Pomocny bywa tu prosty model zmiany systemowej, który pokazuje, że żadnej reformy nie da się sprowadzić do samych przepisów. Składa się na nią co najmniej pięć warstw: cel i wizja, czyli jasny plan tego, co ma się zmienić i dlaczego obecny układ nie działa; struktury i instytucje, czyli nowe zasady, prawa, procedury, układy władzy i zarządzania; zasoby i procesy, czyli przepływ pieniędzy, narzędzi, danych,

eprasa.pl 46280ae095

sposób wykonywania zadań; ludzie i kultura, czyli nastawienie, nawyki, umiejętności i sposób komunikacji uczestników systemu; relacje i powiązania, czyli współpraca między różnymi grupami i to, jak cały układ reaguje na nowe warunki.

Podzielam zdanie wielu nauczycieli, z którymi rozmawiałam: ta reforma jest bardzo potrzebna i słuszna na poziomie ideowym – czyli celu i wizji – natomiast prawdziwym testem będzie to, co dzieje się w pozostałych warstwach. Podobnie jak inne duże, potrzebne reformy systemowe – sądownictwa czy służby zdrowia – wymaga nie tylko zmian prawnych, ale też ludzi o odpowiednich kompetencjach i przekonaniach, którzy zrozumieją jej sens i będą potrafili wprowadzić ją w życie. Potrzebuje też czasu, żeby zmiany mogły się zakorzenić. Najlepsze zmiany legislacyjne nie pomogą, jeśli zabraknie pozostałych elementów.

Dlaczego miałoby ich zabraknąć? Reforma zaplanowana jest na lata; wszystkie zmiany są przygotowywane z udziałem ekspertów, nauczycieli i uczniów, wprowadzane stopniowo.

– Myślę, że wielu nauczycieli obawia się, że reforma nie zostanie utrzymana w kolejnych latach. Nazywam to zmęczeniem zmianą i nadwyrężonym zaufaniem do systemu. Nauczyciele pytają: „po co mam się angażować, skoro za rok czy dwa może się to znowu zmienić?". Osoby pracujące w zawodzie od 20-30 lat przeszły już wiele reform. Na pierwsze reagowały z entuzjazmem, ale to naturalne, że z czasem pojawia się zmęczenie. Myślę, że obawa czy niechęć środowiska bierze się głównie stąd, że nauczyciele zbyt mało słyszą o elementach warunków pracy, które miałyby tę reformę realnie wesprzeć – a to jest kluczowy element wdrożenia, nie dodatek do niego.

Media i środowiska nauczycielskie budują swój przekaz głównie wokół tego, że reforma zostanie wykonana rękami nauczycielek i nauczycieli, w dużej mierze „za darmo" – kosztem ich czasu i pracy własnej. Przy tym natłoku komunikatów o zmianach programowych zbyt mało miejsca zajmuje to, o czym nauczyciele naprawdę chcą usłyszeć: o wynagrodzeniach, podwyżkach, realnych zmianach w warunkach pracy. I nawet kiedy ministerstwo proponuje dobre rozwiązania merytoryczne, bez odpowiedzi na te pytania brakuje im siły, żeby się w nie w pełni zaangażować.

Reformy edukacyjne za granicą, które uznajemy za wzorcowe – jak fińska – były rozłożone na wiele kadencji parlamentu i budowane ponad podziałami politycznymi. To właśnie ten element – czas i zgoda różnych środowisk co do kierunku zmian – najczęściej decyduje o tym, czy reforma się przyjmie.

U nas to raczej niemożliwe...

– Wiem, że to bardzo trudne, ale warto uczyć się na tym przykładzie. Reforma edukacji ma służyć całemu społeczeństwu, a nie tylko jednej opcji politycznej, dlatego tak ważne jest budowanie wokół niej możliwie szerokiego, ponadpartyjnego konsensusu. Dopóki będziemy powtarzać, że taki konsensus jest u nas niemożliwy, dopóty będziemy działać w sposób, który sprawia, że rzeczywiście się nie wydarzy. A nasze społeczeństwo jest przecież różnorodne i, jak sądzę, oczekuje dyskusji i dialogu ponad podziałami. Zasługuje na to.

U nas to duże wyzwanie, bo nie wiemy, kto wygra kolejne wybory ani jaką wizję edukacji będzie miał kolejny minister. Dlatego tak zależy mi, żeby mówić o tym otwarcie już teraz, żeby trwałość reformy stała się tematem debaty publicznej, a nie tylko sprawą jednej ekipy rządzącej.

Reforma daje nauczycielom większą autonomię, swobodę w wyborze metod nauczania, zachęca do stosowania ocen opisowych i informacji zwrotnych, ale przecież polskie prawo oświatowe od dawna nie narzucało pedagogom systemu ocen 1-6 i generalnie dawało sporą swobodę. Nauczyciele z własnej woli stawiają jedynki, dwójki czy piątki powielając tradycyjne rozwiązania.

– Niekoniecznie z własnej. Nasi edukatorzy – nauczyciele i nauczycielki, których wprowadzamy do szkół – rezygnują z gradu kartkówek na oceny i wprowadzają ocenianie kształtujące, czyli opisową informację zwrotną zamiast samej cyfry. Wkładają w to dużo pracy. I co słyszą od rodziców? „Co to właściwie znaczy? To jest trójka czy czwórka?". Rozumiem ten opór – rodzice sami byli oceniani w tradycyjny sposób, znają te zasady i wiedzą, że na koniec roku i tak decyduje ostateczna ocena na świadectwie. Zmiana języka oceniania na taki, do którego nie jesteśmy przyzwyczajeni, budzi niepewność.

To zbiór przekonań i nawyków, które wszyscy – nauczyciele, rodzice, uczniowie – sobie nawzajem wzmacniamy. Dlatego zmiana powiedzie się tylko wtedy, gdy szkoła od początku zaangażuje w nią rodziców – wytłumaczy, skąd bierze się ten pomysł i dlaczego warto przejść na inny system. Dobrze sprawdza się tu model dialogu trójstronnego: nauczyciel, rodzic i uczeń rozmawiają razem, nie tylko o ocenach, ale o tym, co faktycznie dzieje się z nauką dziecka. Kluczem do sukcesu każdej reformy jest przygotowanie ludzi, nie tylko przepisów.



Zastanawia mnie, czy kadra pedagogiczna jest przygotowana na to, że ograniczenie dostępu do telefonów może na początku wywołać u części uczniów frustrację czy trudniejsze zachowania

Podobnie jest z tygodniem projektowym. Jeden tydzień w roku szkolnym to rzeczywiście niewiele. Kiedy zapytałam naszych edukatorów o ich przemyślenia na temat reformy, wielu z nich mówiło o realnym ryzyku organizacyjnym przy wdrożeniu – bo sama idea tygodnia projektowego brzmi dobrze, ale rodzi konkretne pytania: jak go zaplanować, jak ocenić, co właściwie robić. Zanim zapytamy, czy nauczyciele są gotowi to wdrożyć, warto najpierw sprawdzić, czy w ogóle mieli okazję poznać metodę projektową – bo wielu z nich nigdy nie było w niej przeszkolonych.

To jest aż tak trudne? Są szkoły, które od dawna świetnie sobie z tym radzą.

– To wcale nie jest tak proste, jak może się wydawać komuś, kto nie pracuje na co dzień w szkole – diabeł, jak zwykle, tkwi w szczegółach. Zorganizowanie tygodnia projektowego wymaga na przykład przeplanowania kalendarza nauki z dużym wyprzedzeniem. Większość nauczycieli nigdy wcześniej w ten sposób nie pracowała i po prostu nie ma jeszcze do tego narzędzi. To nie kwestia dobrej woli, tylko realnego wsparcia metodycznego – konkretnych wytycznych i przykładów, jak taki tydzień mógłby wyglądać w praktyce.

Ale czy to jest rola ministerstwa, by takie szczegóły planować? Jest przecież sporo wskazówek, podpowiedzi, scenariuszy lekcyjnych proponowanych choćby przez rozmaite fundacje. Zresztą i ministerstwo obiecuje wsparcie metodyczne. Wystarczy skorzystać z gotowych rozwiązań.

– Na rynku pojawiło się już sporo komercyjnych propozycji – firmy oferują szkołom gotowe, płatne rozwiązania: „zapłaćcie, a my zorganizujemy wam tydzień projektowy". I to mnie naprawdę niepokoi, bo takie rozwiązania robią dokładnie to, o co w tej reformie nie chodzi – odbierają kompetencję szkole, nauczycielom i uczniom w samodzielnym projektowaniu i prowadzeniu pracy projektowej, zamieniając ją w gotowy produkt kupowany z zewnątrz. Rozumiem jednak, dlaczego szkoły, które nie miały czasu się przygotować, będą po takie rozwiązania sięgać. W tym roku tydzień projektowy jest jeszcze fakultatywny, od przyszłego roku będzie obowiązkowy dla wszystkich, i spodziewam się, że pierwsze wdrożenie będzie się wiązało z realnymi trudnościami organizacyjnymi. Dlatego tak ważne jest, żeby już teraz zainwestować w przygotowanie nauczycieli, zanim praca projektowa zostanie rozszerzona na więcej tygodni w roku, i żeby to oni – a nie zewnętrzne firmy – pozostali autorami tego procesu.

Jeśli chodzi o czekające nas zmiany, najwięcej mówi się chyba o uchwalonym przez Sejm zakazie korzystania z telefonów komórkowych w szkołach. Ciekawe, czy będzie przestrzegany, bo są różne furtki – wyjątkiem mają być na przykład sytuacje, kiedy telefony będą potrzebne do prowadzenia lekcji...

– Na pewno będą się zdarzać różne obejścia, ale w tej sprawie panuje chyba rzeczywisty konsensus. Jak wynika z badań przeprowadzonych na zlecenie MEN, około 70 proc. dzieci deklaruje, że czuje się uzależnionych od serwisów społecznościowych i telefonów, co ma realny związek z pogarszającym się zdrowiem psychicznym dzieci i młodzieży. Uważam, że ten kierunek zmian jest słuszny. Zastanawia mnie natomiast, czy kadra pedagogiczna jest przygotowana na to, że ograniczenie dostępu do telefonów może na początku wywołać u części uczniów frustrację czy trudniejsze zachowania.

Nie powinno to spoczywać wyłącznie na nauczycielach – potrzebna jest tu obecność psychologów i pedagogów szkolnych, zaangażowanie rodziców, całej społeczności szkolnej. Do tej zmiany powinni być też przygotowani sami uczniowie: zastanawiam się, czy na początku roku szkolnego zaplanowano godziny wychowawcze poświęcone temu tematowi, spotkania, które pozwolą go oswoić, zebrać głos młodych ludzi, przeprowadzić prawdziwą dyskusję. To formaty, które dają uczniom realną sprawczość i przy okazji rozwijają kompetencje krytycznego myślenia, a nie tylko komunikują im odgórną decyzję.

Mam wrażenie, że w reformie jest sporo kompromisów, takich małych kroczków, żeby bardziej zdecydowaną zmianą kogoś nie urazić... Na przykład edukacja zdrowotna; jest obowiązkowa, ale z zajęć o seksie będzie można swoje dziecko wypisać.

– Praca nad tak złożonym systemem jak system edukacji to zawsze sztuka kompromisu. W jednej szkole spotykają się dzieci rodziców o bardzo różnych poglądach: bardziej liberalnych i bardziej konserwatywnych, z rodzin zamożniejszych i mniej zamożnych, religijnych i niewierzących. To przekrój całego społeczeństwa. Skoro szkoła ma być powszechna, czyli dostępna dla każdego, powinna też odpowiadać na potrzeby różnych grup. Dlatego dialog ponad podziałami jest tu nie tyle ważny, co wręcz kluczowy dla powodzenia całej reformy.

Edukacja seksualna to tylko niewielki wycinek edukacji zdrowotnej, a szkoda, że wokół tego akurat tematu narosło tyle emocji – bo w cieniu tej dyskusji straciła na znaczeniu cała reszta, czyli wiedza naprawdę potrzebna dzieciom: o zdrowiu fizycznym i psychicznym, uzależnieniach, bezpieczeństwie cyfrowym. Do tematów kontrowersyjnych trzeba podchodzić z uważnością i delikatnością, żeby nie zaprzepaścić całego przedsięwzięcia.

Wielu komentatorów uważa, że w reformie zabrakło tematu lekcji religii, której ich zdaniem nie powinno być w państwowej szkole.

– Osobiście uważam, że bliżej szkole byłoby do religioznawstwa niż do katechezy wyznaniowej, ale to złożone pytanie – deklaratywnie większość Polaków to katolicy, więc pojawia się pytanie, w jakim stopniu szkoła publiczna powinna odpowiadać na potrzeby duchowe większości. Sedno tego sporu dotyczy tego, czy szkoła ma być świecka, czy ma budować zrozumienie różnych religii i światopoglądów, czy i w jaki sposób powinno być w niej miejsce na duchowość. I kto powinien o tym decydować: państwo, szkoła czy rodzina. Nie mam na to jednej gotowej odpowiedzi.

Dlaczego w klasach IV-VI chemia, biologia, geografia i fizyka zostały połączone w jeden przedmiot – przyrodę?

– Intencją było, żeby edukacja na tym etapie rozwoju dziecka była bardziej interdyscyplinarna. W tym wieku uczniowie powinni zacząć rozumieć, jak działa otaczający ich świat, a w rzeczywistości wszystko jest ze sobą powiązane – fizyka, chemia i biologia opisują różne aspekty tych samych zjawisk. Na poziomie szkoły podstawowej wiedza nie jest jeszcze na tyle zaawansowana, żeby trzeba było ją rozdzielać na osobne przedmioty. Specjalizacja i profilowanie mogą nastąpić później, w liceum, gdy uczniowie lepiej znają swoje mocne strony i kierunek, w którym chcą się rozwijać.

Na ten przedmiot przeznaczono tylko trzy godziny tygodniowo. Czy to nie oznacza poważnego odchudzenia podstawy programowej z tych przedmiotów? Czyli nie będzie już słynnego „rozmnażania pantofelka", podawanego często jako przykład tego, że dzieci uczą się w szkole rzeczy, które nijak nie przydadzą im się w życiu?

– Kiedy wgłębiamy się w treść nowej podstawy programowej, okazuje się, że wcale nie została ona aż tak bardzo odchudzona. Nacisk jest położony przede wszystkim na to, żeby dziecko potrafiło przełożyć wiedzę teoretyczną na działanie i wykorzystać ją w codziennym życiu – bo obecnie mamy do czynienia z przepaścią między tym, co uczeń wie, a tym, co potrafi zrobić. Uważam jednak, że niebezpieczne byłoby przekonanie, że część wiedzy encyklopedycznej po prostu nie jest już potrzebna.

eprasa.pl 46280ae095

Wiedza jest fundamentem, na którym dopiero można budować umiejętność jej wykorzystania – bez niej krytyczne myślenie i działanie zawisają w próżni. To szczególnie ważne w dobie sztucznej inteligencji, kiedy łatwo o złudzenie, że skoro coś można sprawdzić w kilka sekund, to nie warto tego wiedzieć.

Słuchałam ostatnio wykładu profesora Edwarda Nęcki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który zajmuje się m.in. problematyką inteligencji i kreatywności. Mówił, że niesłusznie wszyscy tak potępiamy uczenie się na pamięć. Nasz mózg potrzebuje tej wiedzy, żeby działać, to jego zasób, paliwo, bez tego nie ma kreatywności. Łatwo powtarzać za Einsteinem, że wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy, ale najpierw trzeba mieć taką wiedzę jak on.
– Myślę, że elementy nauki pamięciowej pozostaną, powinny pozostać – chodzi raczej o odpowiedni balans między przyswajaniem wiedzy teoretycznej a umiejętnością jej wykorzystania. Poza tym egzamin ósmoklasisty i matura w nowej formule wejdą dopiero od 2031 i 2032 roku. Do tego czasu egzaminy nadal będą się w dużej mierze opierać na wiedzy pamięciowej, a nauczyciele czują się odpowiedzialni za przygotowanie uczniów właśnie do nich.

A kto będzie uczył przyrody? Fizycy, biolodzy, geografowie czy chemicy? Czy nauczycielka fizyki będzie miała kompetencje, żeby uczyć wiedzy z pozostałych obszarów?
– To bardzo dobre pytanie i, szczerze mówiąc, myślę, że nikt nie ma na nie dziś pełnej odpowiedzi. To jedno z tych praktycznych wyzwań wdrożeniowych, które pokazują, że sama zmiana programowa to dopiero początek.

Nauczyciele będą musieli się dokształcać? Ministerstwo obiecuje bezpłatne szkolenia i studia podyplomowe.
– Pojawiły się już studia podyplomowe z przyrody, ale z samym dokształcaniem byłabym ostrożna – wielu nauczycieli w Polsce jest już mocno przeciążonych obowiązkami, więc kolejne wymagania trzeba wprowadzać z wyczuciem. Realniejszym rozwiązaniem może być to, żeby przedmiot prowadziło kilku nauczycieli wspólnie, tworząc interdyscyplinarny zespół – tak, żeby korzystać z kompetencji, które już mają.

Ciekawe rozwiązanie. Mogliby się uzupełniać nie tylko merytorycznie, ale też psychologicznie – do jednego ucznia lepiej trafi jeden nauczyciel; do drugiego inny.
– Tak, choć nie dla wszystkich byłoby to łatwe. Przytoczę słowa jednej z młodych nauczycielek, z którymi współpracujemy: „z mojego doświadczenia wynika, że nauczyciele bywają jak samotne wyspy – trudno im pracować w grupie, dostosować się do pomysłu kogoś innego, często funkcjonują obok siebie, każdy po swojemu, rzadko naprawdę się ze sobą komunikując". Mamy dziś wielu znakomitych ekspertów w swoich dziedzinach, którzy jednak nie są przyzwyczajeni do stałej współpracy z innymi. Praca zespołowa wymagałaby od nich zupełnie innego spojrzenia na własną rolę – a zmiana postaw i przekonań jest zawsze najtrudniejszym elementem każdej reformy.

Chyba, że w praktyce będzie to wyglądało tak: nauczycielka z biologii będzie przez godzinę realizowała swój program z biologii, następnego dnia nauczycielka chemii będzie robiła swoje, itd. Zespół będzie tylko na papierze.
– To scenariusz całkiem realny. Jeżeli nauczyciele nie dostaną czasu w ramach swoich godzin pracy, żeby przygotować się do wspólnych zajęć, tylko będą musieli poświęcać na to swój czas wolny, ryzyko, że współpraca zostanie tylko na papierze, rzeczywiście rośnie. To właśnie starają się powiedzieć nauczyciele, z którymi rozmawiamy – obawiają się nie samej reformy, tylko braku warunków, żeby wprowadzić ją w życie. Większość zgadza się z nią na poziomie wartości, ale potrzebuje realnego wsparcia – czasu, narzędzi i szkoleń – żeby zrobić to dobrze. I nie powinno się to odbywać kosztem ich własnych pieniędzy i czasu wolnego.

Na to nakłada się jeszcze brak nauczycieli, szczególnie przedmiotów ścisłych.
– To prawda, choć z drugiej strony w Teach for Poland wprowadzamy do systemu edukacji osoby, które wcześniej nie pracowały jako nauczyciele, a teraz świadomie wybrały ten zawód. Są po studiach matematycznych, finansowych czy chemicznych, uzupełniają wykształcenie pedagogiczne w trakcie pracy, choć rzeczywiście nie mają jeszcze pełnych kwalifikacji formalnych. Wysyłają CV i nieraz czekają na odpowiedź tygodniami, jeśli nie miesiącami. A naszym zdaniem są fantastyczni – mogliby wnieść do szkół sporo energii, świeżego spojrzenia i dobrej jakości nauczania. Mimo to dyrektorzy sięgają po nich zwykle dopiero w ostateczności, co pokazuje, że brakuje nam jeszcze zaufania i elastycznych ścieżek wejścia do zawodu. Sprowadzenie talentu do szkół wymaga dziś odważnych pomysłów i decyzji. Szczerze mówiąc myślę, że samo mówienie o prestiżu zawodu nauczyciela, a nawet realne podwyżki, niewiele tu zmienią, jeśli spojrzymy na to, jak funkcjonuje dziś rynek pracy i czego oczekują od niego młodzi ludzie. Sposób zatrudniania, wynagradzania i awansowania nauczycieli musi się zmienić naprawdę drastycznie, żeby zawód ten w skali masowej przyciągnął i zatrzymał młode talenty, a nie tylko pojedyncze, wyjątkowo zmotywowane osoby.

Realnym punktem zapalnym są też zbyt liczne klasy. Dużo mówi się o potrzebie indywidualnego podejścia do dziecka, ale kiedy nauczyciel ma w klasie 25-30 uczniów, z czego nierzadko połowa z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego, indywidualizacja nauczania w praktyce jest bardzo trudna do zrealizowania.

Dzieci będzie coraz mniej, więc problem wkrótce sam się rozwiąże...
– Nie chciałabym mówić o wyzwaniach demograficznych jako o „szansie", ale faktem jest, że za kilka lat klasy mogą być mniej liczne, co da nauczycielom więcej przestrzeni do pracy indywidualnej.

A co Pani myśli o tym, że odchudzono i unowocześniono listę lektur?
– To moim zdaniem jedna z lepszych zmian w całej reformie. Chodzi przecież o to, żeby dzieci czytały – nie tylko lektury, ale w ogóle, przez całe życie, ze zrozumieniem i z ciekawością – a tego się nie osiągnie przymusem. Mamy dziś realny problem z wtórnym analfabetyzmem: zanikają podstawowe umiejętności czytania, pisania i rozumienia tekstu, także u dorosłych. To właśnie szkoła, a konkretnie edukacja polonistyczna, powinna budować w nas nawyk czytania na całe życie.

Nie będą już musiały czytać Sienkiewicza? Chyba już wszyscy mamy go dość...
– Mam nadzieję, że jednak nie wszyscy. Myślę, że my, dorośli, czasem trochę projektujemy własne zniechęcenie na dzisiejszą młodzież, która wcale nie musi podzielać naszych doświadczeń ze szkoły. Najważniejsze w tej zmianie jest właśnie to, że głos uczniów będzie brany pod uwagę przy wyborze lektur – że sami będą mogli proponować książki i sięgać po współczesną literaturę, którą chcą czytać.

Czy odpowiedni dobór lektur wystarczy, żeby dzieci chciały czytać?
– Lektury mogą też być przedstawiane w różnych formach – komiksu, spektaklu, wystąpienia performatywnego. Ogromnie ważna jest też sama dyskusja o książkach, taka, w której nie trzeba wpisywać się w gotowy klucz interpretacyjny, tylko naprawdę powiedzieć, co się myśli, i spojrzeć na tekst krytycznie. Czytanie ma przecież uczyć dzieci krytycznego myślenia, a nie tylko odtwarzania cudzych interpretacji.

Myślę też, że my, rodzice, musimy się przyjrzeć własnym nawykom w domu. Nawet jeśli dziecko chodzi do najlepszej szkoły na świecie, ale w domu nie ma książek, a rodzice non-stop patrzą w telefony, to sama szkoła raczej nie zbuduje w nim nawyku czytania na całe życie

Szkoła ma przecież wyrównywać szanse. Budować dobre nawyki również tych dzieci, które nie mają odpowiednich wzorców w domu.
– Zgadzam się, że szkoła powinna też wyrównywać szanse, ale te dwa światy – szkoła i dom – powinny ze sobą ściśle współpracować. Uważam, że szkoła ma nie tylko funkcję edukacyjną, ale też wychowawczą i więziotwórczą, a bez współpracy z rodzicami trudno tę rolę w pełni realizować. Mam wrażenie, że dziś te dwa światy funkcjonują często zupełnie osobno.

Z obserwacji życia szkolnego moich dzieci mam wrażenie, że nauczyciele nie lubią, kiedy rodzice są za bardzo zaangażowani.
– To prawda, relacja nauczyciel-rodzic bywa trudna i wymaga przebudowy. W ogóle współpraca dorosłych w szkole – nauczycieli między sobą, nauczycieli z rodzicami, nauczycieli z dyrekcją – to duże wyzwanie. Jest tam sporo napięć, wzajemnych pretensji, szukania winnego. Relacje dorosłych w szkole same potrzebują dziś troski i uwagi. A przecież to my, dorośli, powinniśmy modelować postawy, których oczekujemy od dzieci. Jednocześnie wiem, że wielu nauczycieli chce mieć w rodzicach partnerów i sojuszników w dbaniu o rozwój i dobro dziecka – znam takich nauczycieli, otaczam się nimi w naszej pracy.

Co się Pani zdaniem udało twórcom reformy, a co nie?
– Myślę, że twórcom reformy udało się trafnie zdiagnozować problemy i wskazać dobry kierunek – większy nacisk na dobrostan, interdyscyplinarność, głos uczniów. Tego, czego moim zdaniem zabrakło, to lepsza komunikacja z nauczycielami i rodzicami oraz konkretniejszy plan wsparcia wdrożeniowego. Reformy o takiej skali udają się wtedy, gdy ludzie w systemie czują się ich współautorami, a nie tylko wykonawcami – i to jest zadanie na najbliższe miesiące. Myślę też, że taka ocena – co się udało, a co nie – powinna przyjść z czasem. Lubimy wydawać osądy, zanim jeszcze coś się naprawdę wydarzy, a efektów tak dużej reformy edukacji trzeba szukać w perspektywie lat. Nie miesięcy czy tygodni. ●

Najważniejsze zmiany „kompasu jutra"

Reforma edukacji „Kompas jutra" poprzedzona została przygotowaniem Profilu absolwenta i absolwentki przedszkola oraz szkoły podstawowej; opracował go Instytut Badań Edukacyjnych – Państwowy Instytut Badawczy. Miał być to swego rodzaju kompas, który wskazuje uczniom, ich rodzicom i nauczycielom, jakimi wartościami powinna kierować się szkoła, jakiej wiedzy uczyć, jakie kompetencje kształtować. Wszystkie zmiany były przygotowywane z udziałem ekspertów, nauczycieli i uczniów.

Reforma rozłożona została na lata. Już rok temu wprowadzono dwa nowe przedmioty – edukację obywatelską i edukację zdrowotną, jak również zmieniono podstawę programową wychowania fizycznego, ale kluczowe zmiany czekają nas w tym roku.

Od września 2026 roku do przedszkoli oraz pierwszych i czwartych klas szkół podstawowych wejdzie nowa podstawa programowa, a uczniowie tych klas uczyć się już będą z nowych podręczników.

W klasach IV–VI szkoły podstawowej, w wymiarze po 3 godziny tygodniowo, uczniowie będą mieli nowy przedmiot interdyscyplinarny łączący biologię, geografię, chemię i fizykę: przyrodę. Ma być to nauka przez praktykę, obserwację, przeprowadzanie eksperymentów naukowych i prowadzenie własnych badań, w co najmniej dwugodzinnych blokach.

Kolejny nowy przedmiot to zajęcia techniczno-praktyczne, prowadzone w dwugodzinnych blokach, polegający na realizacji własnych projektów – od pomysłu, przez wykonanie, aż po prezentację gotowej pracy.

Rusza także, fakultatywnie, tydzień projektowy w klasach IV–VIII, który ma na celu rozwijanie umiejętności praktycznych, integrowanie wiedzy z różnych przedmiotów i naukę współpracy.

Koniec ocen z zachowania; ocena opisowa ma być informacją o rozwoju kompetencji, sprawczości i zaangażowania dziecka w życie społeczności.

Z czterech do sześciu zwiększy się w klasach IV–VIII liczba godzin do dyspozycji dyrektora szkoły, które może on wykorzystać na organizację zajęć dodatkowych dla uczniów, dopasowanych do potrzeb konkretnej społeczności.

Od września 2027 r. tydzień projektowy będzie już obowiązkowy w klasach IV i V, (żeby w roku szkolnym 2030/2031 obejmować już wszystkie klasy IV-VIII) a 1. klasy szkół ponadpodstawowych zaczną naukę według nowych podstaw programowych.

W 2031 egzaminy ósmoklasisty i matura odbędą się w nowej formule, w 2032 – także matura w technikach. ●



Katarzyna Nabrdalik

• prezeska i współzałożycielka Fundacji Teach for Poland, gdzie odpowiada za strategię organizacji oraz rozwój partnerstw z samorządami i sektorem prywatnym. Specjalizuje się w projektowaniu i wdrażaniu modeli wprowadzania nowej kadry do szkół oraz w systemowym wsparciu początkujących nauczycieli_ek. Jest inicjatorką raportu „Nauczyciel_ka 2040" Fundacji Teach for Poland, który wskazuje możliwe kierunki rozwoju zawodu nauczyciela w Polsce. Doświadczenie liderskie zdobywała zarządzając polskim oddziałem AIESEC oraz jako Dyrektorka Regionu Europy, koordynując działania ponad 40 struktur krajowych. Absolwentka Advanced Leadership Program w Center for Leadership.

eprasa.pl 46280ae095

POLSKA

Czarzasty zagaduje wczasowiczów na deptakach, Morawiecki z Mentzenem zaczynają objazd kraju. A w KO „czekamy, co powie premier, jaki filmik wrzuci na socjale”.



Paprotki do

Arkadiusz Gruszczyński

Koalicja Obywatelska do tej pory nie powołała sztabu wyborczego, mimo że wybory parlamentarne odbędą się za nieco ponad 400 dni.

Do ostatniej chwili nie czekał Jarosław Kaczyński: politycy Prawa i Sprawiedliwości raz w tygodniu spotykają się w warszawskiej siedzibie partii na Nowogrodzkiej i pracują przy kampanii Przemysława Czarnka, wskazanego na premiera przez „Naczelnika”.

Sztab, a raczej grupę analizującą badania i trendy, ma Nowa Lewica, która postawiła sobie osiągalny cel: chce zająć czwarte miejsce i wprowadzić 60 posłów do Sejmu.

Sławomir Mentzen i Mateusz Morawiecki objeżdżają kraj, tak samo zresztą, jak Włodzimierz Czarzasty. Na co czeka Donald Tusk?

●

11 kwietnia premier powołał „Dziesiątkę na wybory”, czyli grupę młodych polityków, którzy mieli przygotować partię na kampanię oraz opracować plan pracy na ten i na przyszły rok. Tusk mówił cztery miesiące temu, że młodzi posłowie wkrótce zastąpią starą gwardię, więc niech pokażą swoje pomysły na KO i wybory.

W grupie znaleźli się: minister finansów Andrzej Domański, rzecznik rządu Adam Szłapka, wiceministra pracy Aleksandra Gajewska, wiceminister kultury Maciej Wróbel, wiceminister infrastruktury Arkadiusz Marchewka, wiceministra rolnictwa Małgorzata Gromadzka, wiceszef ministerstwa obrony narodowej Cezary Tomczyk oraz posłowie Monika Rosa, Paweł Bliźniuk i Maciej Tomczykiewicz.

Z „młodymi” ich mentor spotkał się dwa razy. Raz przyprowadził ze sobą Petera Magyara, który zdradził polskim kolegom, że obecnie wybory można wygrać tylko i wyłącznie dzięki stałej obecności wśród ludzi w każdym zakątku kraju.

Premier Węgier wie, co mówi, bo wygrał z Viktorem Orbanem, niezatapialnym omnipotentnym liderem, który miał pod sobą aparat państwa, media i największe firmy. Więc Magyar wyruszył w trasę, zorganizował kilkaset spotkań z wyborcami i – choć nie miał tej całej machiny państwowej, nieograniczonych funduszy i możliwości przekupywania lub zastraszania wyborców – wygrał.

Tuż po tej naradzie młodzi zabrali się do pracy.

Opracowali konkretną strategię, która zakładała objazd wszystkich posłów po kraju, intensywne spotkania w terenie w ciągu jednego miesiąca jeszcze przed wakacjami, a także plan komunikacyjny i kilka nośnych haseł w stylu: „tylko ten rząd obroni polski paszport”.

Brzmi nieco tajemniczo, ale jest bardzo proste do wyjaśnienia: Grzegorz Braun i Jarosław Kaczyński chcą zmarginalizować Polskę, wyprowadzić z Unii Europejskiej, czego konsekwencją będzie obniżenie wartości paszportu.

Dzisiaj każdy z nas może bez problemu poruszać się po zjednoczonej Europie i wjeżdżać do wielu krajów tak, jakbyśmy odwiedzali sąsiednią dzielnicę czy miasto u siebie, co nie jest takie oczywiste dla obywateli z państw afrykańskich czy azjatyckich, a nawet Brytyjczyków.

Kiedy znajdziemy się poza strukturami unijnymi – głosi kampanijny przekaz – Polacy znów, jak przed 1989 roku, będą zakompleksionymi obywatelami drugiej kategorii.

To hasło działa i na wyobraźnię klasy średniej, która kilka razy w roku wylatuje na wakacje, i na aspirujące do wielkomiejskiego stylu życia i atrybutów niebieskie kołnierzyki – wysoko wykwalifikowanych robotników czy rzemieślników – i na młodych, dla których otwarte granice są czymś naturalnym, a popularne kanały historyczne na TikToku czy YouTube dają im wyobrażenie, jak wyglądała codzienność ich dziadków.

– Znaleźliśmy motyw, który idzie w poprzek różnic politycznych. Bo przecież z siły polskiego paszportu korzystają wszyscy bez wyjątku – dodają moi rozmówcy.

1 RP

eprasa.pl 46280ae095



• **Premier Donald Tusk ogląda zaćmienie Słońca w Centrum Nauki Kopernik, 12 sierpnia br.**
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

kożucha

Młodzi z grupy „Dziesiątka na wybory": Kiedy na stole lądują kolejne propozycje, słyszymy, że kierownictwo nie daje nam w tym momencie zielonego światła. Ręce opadają. To po co szef nas skrzyknął, skoro ma gdzieś naszą pracę? Znienawidziła nas stara gwardia i cała reszta młodych, których premier pominął

Młodzi politycy odrobili zadaną lekcję, słyszę w partii. – Grupa spotyka się raz w tygodniu, choć nie zawsze w pełnym składzie, bo każdy z ministrów ma swoje obowiązki. Ale nikt tam nie czeka na cud, ludzie potraktowali serio zadanie zlecone przez premiera – słyszę od kolejnych posłów z grupy wyborczej.

– Sami sobie wymyśliliśmy zadania i po kolei je realizujemy. Sprawdzamy, co może zadziałać na terenach wiejskich, wiemy mniej więcej, w których okręgach czekają na nas wahający się wyborcy, wiemy, w jaki sposób działać w tikotkach i instagramach, żeby posty i filmiki docierały do konkretnych grup.

Pośrednikiem między młodymi a premierem jest Adam Szłapka. I tu zaczynają się schody.

– Kiedy na stole lądują kolejne propozycje programowe, Adam przychodzi i mówi, że kierownictwo partii nie daje nam w tym momencie zielonego światła. Ręce opadają, a my między sobą pytamy: to po co szef nas skrzyknął, skoro na koniec dnia ma gdzieś naszą pracę? – zastanawiają się moi rozmówcy.

I dodają: – Wakacje przespaliśmy, może jesienią nasza partia się obudzi. Może najpóźniej na przełomie roku. Okręt płynie bez sternika, a nas znienawidziła stara gwardia i cała reszta młodych, których premier pominął.

Po co więc Tusk powołał grupę, która nie ma realnego przełożenia na decyzje partyjne?

– Coś panu powiem, choć znowu pana czytelnicy będą komentować, że „atakując Tuska, pomagamy pisiorom", bo to musi wybrzmieć dla dobra sprawy: mamy poczucie, że partia kierowana przez starych wyjadaczy w ostatniej chwili zorientowała się, że musi oddać trochę władzy świeżej krwi – mówi jeden z „młodych".

– No a poza tym po prostu nie ufają nam, uważają, że jesteśmy niedojrzali, boją się, że palniemy coś na spotkaniu z wyborcami i potem będą musieli tłumaczyć się „Kierownikowi". Choć przecież to on wypuścił nas w kraj.

Ale ociężała, syta struktura zdominowana przez broniących pozycji braminów w wieku przedemerytalnym to tylko część obrazu. Bo nad kampanią już teraz pracują też ludzie z zaplecza politycznego rządu.

Z częścią z nich – a są to również młodzi ludzie, tylko niewidoczni, bo poupychani w gabinetach politycznych, pracujący dla rządu ambitni urzędnicy oraz ci, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z „libkową" Koalicją Obywatelską, ale boją się władzy skrajnej prawicy – spotykam się w kawiarni w centrum Warszawy.

Pracowali przy kampaniach KO, znają politykę od najczarniejszej i najbardziej brutalnej strony, wiedzą, jakimi intencjami kierują się ludzie kierujący państwem, co martwi, a co satysfakcjonuje sterników tej nawy. Słyszę od nich o planie, który opiera się na „ścieżkach alternatywnych", zapuszczających się na tereny wroga, czyli tam, gdzie wygrał w 2025 roku Karol Nawrocki, oraz na trasach po kraju związanych z jednym, wybranym wcześniej starannie tematem – i z udziałem różnych polityków, a nie tylko samego premiera.

Szlak ma być ułożony i na bieżąco modyfikowany wykorzystaniem danych o geografii politycznej z Państwowej Komisji Wyborczej, z naciskiem na rzecz jasna na te powiaty, gdzie KO od lat przegrywa – i gdzie w związku z tym nie zagląda. Ale też z dopieszczeniem własnych wiernych wyborców, którzy czekają na swoich liderów od wielkiej mobilizacji latem i jesienią 2023 roku.

Ci rządowo-państwowi „niewierzący w KO, ale praktykujący", jak śmieje się jeden z nich, mają wszystko rozpisane, umieją korzystać z narzędzi sztucznej inteligencji, zebrali mnóstwo danych – i wiedzą, jak je przełożyć na kampanijny konkret.

– Problem w tym, że jeszcze nikt z kierownictwa KO do nas nie zadzwonił, choć mają nasze numery i wiedzą, że potrafimy ciężko pracować – dodają na końcu.

Nikt nie zadzwonił może dlatego, że w partii panuje przekonanie, że wybory wygra... Tusk.

– Czekamy, co powie premier, jaki filmik wrzuci na socjale, jaki wyznaczy kierunek, jak odszczeknie się Kaczyńskiemu, co zrobi z Mentzenem. Struktury leżą, są rozleniwione, wierzą, że wydarzy się cud – mówi jeden z bardziej doświadczonych posłów KO.

Inny tonuje emocje i zwraca uwagę, że bez wyrazistego lidera nie da się wygrać wyborów. Jeden i drugi mają rację. – Tusk samodzielnie nie zawiezie do każdej wsi baneru, a struktury bez kierunku mogą co najwyżej opublikować coś na Facebooku – tłumaczy ostatni rozmówca.

A jednocześnie na sejmowych korytarzach słyszę, że w KO i na zapleczu rządu panuje rozgardiasz. Największa partia rządząca wciąż nie ma nie tylko sztabu, ale też sformalizowanego zespołu badawczego, zatrudnionych czy choćby namierzonych – choć powinna choćby zachować namiary na wolontariuszy, którzy dobijali się z fachową pomocą przed wyborami prezydenckimi – specjalistów od platform społecznościowych ani wyłonionego duetu: wizjonera i dyrektora wykonawczego.

– Każdy, kto pracował przy kampaniach, wie, że na zapleczu musi być człowiek rzucający 100 pomysłów na godzinę, czytający sporo książek, jeżdżący po świecie i przyglądający się kampaniom. Ktoś, kto ma stały kontakt z liderami opinii, wychodzi na miasto i gada z publicystami, historykami, badaczami, byłymi urzędnikami. Lecz wizjoner nie poradzi sobie bez kierownika produkcji, który wybierze jeden cel na tydzień i go zrealizuje – opowiadają eksperci od kampanii, dopijając trzecią kawę.

Dzisiaj takiego duetu przy Tusku nie ma. Nie odbyło się też żadne spotkanie po kampanii Rafała Trzaskowskiego, która została źle zaprojektowana. Nikt nie skrzyknął sztabu, który pracował w 2025 roku i nie zapytał, co poszło nie tak.

– Nawet nie chodzi o to, że Kierownik nie podoła. Wręcz przeciwnie: wszyscy wiemy, że doskonale zda egzamin w czasie kampanii. Chodzi o przygotowanie sztabu, precyzyjne zaplanowanie trasy i propozycji programowych. Oraz opowieści o rządzie – dodaje mój rozmówca.

eprasa.pl 46280ae095

Z tymi wszystkimi kuluarowymi informacjami, a także pamiętając o szerszym kontekście przyszłorocznych wyborów, kiedy cały obóz liberalny będzie walczył jednocześnie z nową brunatną prawicą i desperacko próbującym desperacko prześcignąć ją w radykalizmie PiS oraz o obserwacji, że inni już jeżdżą po Polsce, idę do dwóch polityków z „Dziesiątki na wybory".

Adam Szłapka przekonuje mnie, że posłowie już teraz jeżdżą po Polsce. Rzecznik rządu wymienia Monikę Rosę, która regularnie przemierza kraj, tylko w sierpniu miała poza swoim okręgiem spotkania na Dolnym Śląsku, Opolszczyźnie i Podkarpaciu. Aleksandra Gajewska otwiera kolejne żłobki w całym kraju, Małgorzata Gromadzka spotyka się regularnie z rolnikami. Cezary Tomczyk spotyka się z mieszkańcami jako wiceminister obrony, a Arkadiusz Marchewka odwiedza regularnie Pomorze.

Doceniam, ale ciekawi mnie, dlaczego te spotkania nie są organizowane pod jednym hasłem. Dlaczego nie mają formy jednej, ogólnopolskiej akcji?

– Członkowie „Dziesiątki na wybory" spędzają wiele czasu w terenie, na to się umówiliśmy. KO ma wielu posłów, którzy cały czas mobilizują naszych wyborców w regionach. Jesteśmy widoczni. Premier regularnie spotyka się i rozmawia z Polakami, ostatnio widział się ze stoczniowcami w Gdyni czy mieszkańcami Łomży przy okazji otwarcia stacji kolejowej. Przy każdym wyjeździe premiera spotykamy się z wyborcami. Do tego wiele grup z całego kraju odwiedza Kancelarię Prezesa Rady Ministrów w Warszawie. To także doskonała okazja do spotkań – odpowiada Szłapka.

Zwracam uwagę, że to wszystko prawda, ale brzmi jak z oficjalnego komunikatu zespołu do spraw komunikacji – czyli rymuje ze społeczną wyobraźnią, w której liderzy Koalicji Obywatelskiej siedzą za biurkiem w Warszawie, a po kraju jeździ opozycja, no i ten cały Czarzasty. Czemu w KO nie chcą tego zmienić?

– Widzę posłów na spotkaniach organizowanych nie kampanijnie, a w sposób ciągły. Moje mobilne dyżury w Poznaniu i Wielkopolsce organizuję kilka razy w miesiącu nie w czasie kampanii, a przez całą kadencję. Tak się słucha wyborców, tak się buduje dialog i zaufanie. O wiele skuteczniejsze i bardziej wiarygodne są regularne, cotygodniowe spotkania, a nie jedna akcja czy dwutygodniowy zryw. Nie warto przepalić energii od razu – odpowiada Adam Szłapka.

Skoro nie spotkaniami, to jaką opowieścią KO chce do siebie przekonać wyborców? Rzecznik rządu opowiada głównie o inwestycjach kolejowych czy infrastrukturalnych, obronności, pokonaniu drożyzny w sklepach, dowiezieniu funduszy unijnych z Krajowego Programu Odbudowy, zbrojeniowo-przemysłowym programie SAFE w bastionach PiS, a także modzie na Polskę w zachodnich mediach.

Szłapka snuje opowieść o kraju, który jest czysty, bezpieczny, nowoczesny, gdzie można załatwić sprawy urzędowe od ręki za pomocą aplikacji i w którym ciągle się coś buduje. – Polakom żyje się najlepiej w historii. I z tą opowieścią o Polsce w budowie, z której jesteśmy dumni, będziemy jeździć po kraju.

Serwowane mi hasła i obrazki są niczym z wizerunkowej kampanii reklamowej wykupionej w BBC czy CNN. Ale w sumie rzeczywiście, mimo problemów systemowych – zaniedbań w szkolnictwie czy problemów służby zdrowia – oraz punktowo drażniących w rodzaju betonozy, aborcyjnych uników, wciąż zasolonej przez państwowy przemysł Odry, tratowania z buta ludzi wywłaszczanych pod Centralny Port Komunikacyjny czy dopieszczania myśliwych – instytucje, z którymi styka się obywatel, są całkiem ogarnięte, a codzienne funkcjonowanie w Polsce wręcz bywa łatwiejsze niż choćby w Niemczech.

Więc prawie daję się przekonać do rządowej strategii komunikacyjnej. Zwłaszcza że premier powołał właśnie pełnomocniczkę, która ma zadbać o spójny przekaz i wizerunek Polski za granicą. I choć niektórzy komentatorzy szydzą z pomysłu lansowania „marki Polska", porównując ją do MaBeNy, Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego – bombastycznie zapowiadanego niewypału rządu Morawieckiego – to cóż, z wyjątkiem części kosmopolitycznej kawiarniano-kreatywnej bańki Polacy niezależnie od barw partyjnych i codziennego zrzędzenia na „ten kraj" lubią być z niego dumni. Nie przypadkiem taką furorę robią na Instagramie i TikToku filmiki, w których młody Niemiec, Francuzka czy Amerykanin zdumiewają się nie tylko krajobrazami, ale i czystszymi, bardziej ogarniętymi i bogatszymi sprawniejszymi miastami niż ich własne.

– I nad tym pracuje „Dziesiątka na wybory"? – Oraz nad strategią, która da nam zwycięstwo.

– To kiedy powołacie sztab? – Myślę, że już po wakacjach – mówi Szłapka.

Zaznajomiony przez rzecznika z teorią, ogólnym zarysem i optymizmem po konkrety o pracy, jaką wykonała „Dziesiątka na wybory", idę do wiceministra kultury. – Co przez kwartał udało się przygotować? – pytam Macieja Wróbla.

– Mamy przygotować Koalicję Obywatelską do wyborów, a kampania rozpocznie się dopiero za 14 miesięcy. Nasza drużyna ma przynieść zwycięstwo w 2027 roku, a nie zorganizować wakacyjną trasę czy jesienią wygrać przekazem w social mediach – odpowiada.

Zwracam uwagę, że cała konkurencja polityczna już teraz jeździ po Polsce, buduje skojarzenia, zakorzenia w świadomości wyborców, a KO czeka na oficjalny start kampanii. Nawet Tusk już nie podróżuje po kraju. Dlaczego?

– Pan premier wyruszy w trasę, mamy to zaplanowane. Dzisiaj widzimy naszych koalicjantów, którzy szukają kontaktu z wyborcami, kibicujemy im w wyścigu do parlamentu. Ponieważ naszym najważniejszym celem jest zdobycie większości, która będzie mogła odrzucać weta prezydenckie. I choć może w społeczeństwie nie widać nadziei na zmianę, to jestem przekonany, że nasza ciężka praca przyniesie efekty – wyjaśnia spokojnie Wróbel.

Ale obecnie tej ciężkiej pracy nie widać – odpowiadam.

– Wewnątrz dzieje się naprawdę sporo, intensywnie pracujemy nad strategią, a jej najważniejsze części opowiedzą o obywatelach w Unii Europejskiej, naszym bezpieczeństwie i ekonomii. Znajdziemy język z młodymi, którzy za rok pierwszy raz w życiu zagłosują w wyborach, a w czasie rządów PiS byli dziećmi. Nie mogą więc pamiętać tego fatalnego okresu. A jak powiedział Donald Tusk na spotkaniu z posłami: wrogiem demokratycznej Polski jest brunatna prawica, której nie możemy oddać władzy.

Wiceminister twierdzi, że KO wygra, jeżdżąc do miejsc, w których przegrała ostatnie wybory, do małych miejscowości, gdzie od lat nie pojawił się żaden poseł partii rządzącej, inwestując w platformy społecznościowe i komunikację, szkoląc posłów i radnych.

Oraz dopasowując strony internetowe do języka ChataGPT – bo to jego ludzie będą pytać, na kogo zagłosować, tak, jak dziś pytają o objawy chorobowe, problemy sercowe czy wakacyjne destynacje.

– Mówimy o przygotowaniu strategii billboardowych i w tak zwanych social mediach, organizacji wieców wyborczych, spotkań lokalnych i regionalnych. Dzisiaj to wszystko jest na naszych barkach – kończy Wróbel.

Dobre nastroje panują również w Kancelarii Premiera. – Jeszcze pół roku temu sądziłem, że przegramy wybory. Dzisiaj uważam inaczej – mówi mi jeden z doradców premiera, z którym piję roboczą kawę na Mokotowie.

Ciekawi mnie, skąd te dobre humory, skoro sondaże sugerują wielką koalicję rządową, tyle że nową, złożoną z prawicowych partii, premier zapadł się pod ziemię, wciąż nie widać – nawet jeśli już wykluwa się na zapleczu – czytelnej strategii komunikacyjnej Koalicji 15 Października, a notowania rządu znowu spadły poniżej 30 procent.

– Zwróciłbym pańską uwagę na trzy jaskółki, które zwiastują odrodzenie wiary w zwycięstwo w naszym obozie – zaczyna opowieść mój rozmówca.

Po pierwsze: premier „wyczuł krew w rozpadzie Prawa i Sprawiedliwości". Chodzi rzecz jasna o wykluczenie z partii ludzi Mateusza Morawieckiego, którzy założyli własny, 41-osobowy klub parlamentarny, krytykują głośno swoje dawne ugrupowanie i szykują się do odpalenia własnego ugrupowania.

Sikorski pojawił się na Podhalu, gdzie wpadł do lokalnej Ochotniczej Straży Pożarnej. – Nie chodzi o cyniczne wykorzystanie strażaków ochotników, szanowanych w lokalnych społecznościach, tylko o zbadanie realnych potrzeb. Takie podejście imponuje ludziom – słyszę w kancelarii premiera

– Możemy wysłać Jarosławowi Kaczyńskiemu kwiaty i butelkę dobrego piwa, bo wiemy, że je lubi. Prezes nie tylko odwrócił uwagę opinii publicznej od afery w Szpitalu Południowym, ale też zrealizował plan minimum, który da nam pełne zwycięstwo – emocjonuje się doradca premiera.

Dla przypomnienia – w zarządzanym przez stołeczny ratusz wielkim warszawskim szpitalu pracował szef młodzieżówki KO, który w rok zarobił 1,5 mln złotych. Wyleciał nie tylko z partii, ale też z pracy, a doniesienia o „saloniku VIP" dla ludzi władzy nie potwierdziły się, lecz mimo całkiem szybkiej reakcji rządu afera była wizerunkową katastrofą dla premiera. Który za późno – przynajmniej zdaniem medialnych i internetowych komentatorów – zareagował na doniesienia mediów, przerzucił pełną odpowiedzialność na formalnie nadzorującego szpital Rafała Trzaskowskiego, będącego faktycznym nadzorcą szpitala, a na koniec dnia nie wyrzucił z rządu już wcześniej źle ocenianej ministry zdrowia.

A o co chodzi z „minimum, które da pełne zwycięstwo" Tuskowi? Mój rozmówca zwraca uwagę, że system wyborczy sprzyja w Polsce dużym partiom, które w dniu głosowania otrzymują premię. Dzięki systemowi d'Hondta duże ugrupowania dostaje dodatkowe miejsca w Sejmie, ponieważ na ich konto liczą się głosy oddane na polityczny plankton, który nie przekroczy progu wyborczego.

Coraz częściej mówi się, że jedynie KO będzie mogła liczyć na tę premię, ponieważ żadna inna partia nie pokona 20-procentowe progu, który uprawnia do sięgnięcia po dodatkowe mandaty. – I ta perspektywa nas rozpala – uśmiecha się mój rozmówca z Kancelarii Premiera.

Zanim oddam mu znowu głos, o zweryfikowanie tych wyliczeń proszę prof. Jarosława Flisa, socjologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który od lat trafnie analizuje i komentuje krajową politykę.

– System d'Hondta daje bonus wszystkim partiom, które zdobędą poparcie wyższe od średniej. A jej wielkość zależy od tego, ile partii znajdzie się nad progiem. Jeśli mamy pięć ugrupowań, wówczas nagrodę otrzymują ci z powyżej 20 proc. poparcia. Trudno jednak sobie wyobrazić sytuację, kiedy jedna partia notuje 30 proc. na mecie, a cała reszta ma poniżej średniej – tłumaczy profesor.

Idźmy dalej: przy sześciu partiach bonus obejmuje wszystkie partie powyżej 17 proc., a przy siedmiu – powyżej 14 proc. Zwracam uwagę, że po 2001 roku, czyli od wprowadzenia obecnych okręgów i systemu d'Hondta, do Sejmu dostawało się przeważnie pięć partii. Wniosek nasuwa się sam: marzenia KO o „cudzie nad urną" mają pewne historyczne uzasadnienie.

– Proszę pamiętać, że w wyborach do parlamentu europejskiego w 2004 roku osiem partii przekroczyło próg. W takiej sytuacji do zdobycia większości partia potrzebuje tylko 40 proc. głosów nad progiem, czyli 36 proc., jeśli co dziesiąty głos padnie na partie podprogowe. W 2001 roku Sojusz Lewicy Demokratyczny dostałby sporą premię wyborczą, ponieważ jego największych konkurent, czyli Akcja Wyborcza Solidarność nie przekroczyła progu, a druga na podium, debiutująca Platforma Obywatelska uzyskała 12 proc. Tylko wtedy nie było d'Hondta, lecz system Sainte-Laguë, których dużych partii nie nagradza – zauważa socjolog.

I wysuwa jeszcze jedno jeszcze zastrzeżenie.

– W polskich warunkach politycznych jedność elektoratu jest związana ze strachem przed inną dużą partią. Mówiąc inaczej: jeśli największy przeciwnik słabnie, to w naturalny sposób część wyborców KO przestanie obawiać się PiS i zacznie głosować na partie bliższe sercu. Osłabnie więc motywacja, żeby głosować na największego gracza, który jest wrogiem mojego wroga. Dlatego największej powodów do radości z rozproszenia prawicy powinna mieć Nowa Lewica lub Razem – uważa Flis.

Choć trzeba uważać, bo jeśli słabną dwie największe partie, to sondażowo nie zyskują trzeci i czwarty gracz, tylko kolejni, dodaje badacz.

– Ryzyko? Więcej głosów wyląduje pod progiem, ponieważ dojdzie do jeszcze większego rozproszenia politycznego – mówi. O ile nie powstanie jeden blok lewicowy, dodaję od siebie.

Premiera rozpad PiS cieszy nie tylko z powodu wyborczej arytmetyki. Również dlatego, że z 37-letniego doświadczenia w polskiej i europejskiej polityce wie, że rozproszona prawica będzie zajęta własnymi problemami, urywaniem sobie procentów i posłów, dzieleniem się i łączeniem, generalnie – smutą i próbami poukładania na nowo, a nie walką z rządem. Dlatego Tusk na przedwakacyjnym spotkaniu z klubem parlamentarnym KO mówił o mobilizacji i konkurowaniem z obozem skrajnej prawicy, a nie jedynie z Kaczyńskim.

Podział prawicy to pierwsza jaskółka. – Druga to nagłe, niespodziewane przez ludzi z kancelarii premiera ożywienie Kierownika. Premier w pierwszych dniach sierpnia wyszedł na spacer do Parku Ujazdowskiego, zatrzymywał się na krótkie rozmowy z ludźmi, robił sobie z nimi zdjęcia, był wyluzowany. Byliśmy w szoku – opowiada mój rozmówca z rządu.

Tusk pojawił się też na planie „Rancza" i nagrał rolkę z występującym w nowym sezonie kultowego serialu aktorem Jessem Eisenbergiem, który nie dość, że nakręcił w Hollywood ciepły i niegłupi film o Polsce, czyli „Prawdziwy ból", nie tylko opowiada na Zachodzie dobrze o naszym kraju, to na dodatek przyjął polskie obywatelstwo. Choć, jak śmieją się moi rozmówcy, premier z hollywoodzkim aktorem spotkał się już miesiąc temu, tylko przez Szpital Południowy nie było czasu, żeby się tym pochwalić – i w sumie do-

eprasa.pl 46280ae095

brze wyszło, bo wtedy wydarzenie przepadłoby w aferalnym zgiełku.

Warto też przypomnieć o konferencji prasowej premiera, która może wydawać się rytualna, jak to konferencja prasowa, lecz dla uważnych obserwatorów sceny politycznej była zwiastunem zmian.

Tusk zaprosił dziennikarzy, by opowiedzieć o wadliwym powołaniu asesorów sądowych przez Karola Nawrockiego. Trochę wiało nudą – ale z perspektywy ustroju państwa przekaz szefa rządu był niezwykle ważny.

W pewnym momencie cztery pytania zadał pracownik Telewizji Republika. Ciekawiło go, czy Romana Giertycha spotkają konsekwencje partyjne, jeśli okaże się, że nielegalnie wyniósł z prokuratury nagranie z przesłuchania Kaczyńskiego, czy premier zna ustalenia Wirtualnej Polski o obronie cywilnej, która zawaliła na całego w nocy, kiedy przez Lubelszczyznę leciała rosyjska rakieta, czy zna sprawę zatrudnienia krewnego polityka KO w szpitalu gdzieś w Polsce powiatowej, a na koniec zadał pytanie o marżę Orlenu na benzynę, drenującą kieszenie Polaków akurat podczas wakacyjnych podróży.

W tym momencie wrócił „stary Tusk". Premier twardo odpowiedział, że Giertych nie jest świętą krową i jeśli prokuratura potwierdzi ustalenia mediów, to spotkają go konsekwencje. Że nie zna sprawy ze szpitala z Polski powiatowej, ale jeszcze dzisiaj się dowie i szybko zareaguje. Że zna ustalenia WP.pl i nie uważa, że rolą premiera jest budzenie urzędnika pod Lublinem, choć rząd wyciągnie wnioski z ostatnich wydarzeń.

A ceny paliw – no cóż, mogłyby być niższe, ale prezydent Nawrocki zawetował projekt ustawy o nadmiarowych zyskach koncernów paliwowych.

Premier zaprezentował się jako sprawny, sprawczy, doskonale zorientowany. Widać było, że doskonale odnajduje się w sparingu, jest gotowy na niewygodne pytania, nie boi się odpowiedzi i z łatwością wykopuje piłkę pod bramkę przeciwnika.

●

No i trzecia jaskółka: próba przejęcia inicjatywy w Trybunale Konstytucyjnym.

Wysłanie do zniszczonej instytucji Macieja Berka, do niedawna superministra od mobilizowania, ewaluowania i ściągania cugli reszcie rządowej ekipy – a więc technokraty, urzędnika państwowca, chłodnego profesjonalisty cytującego na wyrywki kodeksy – ma uspokoić nastroje wśród elektoratu.

Premier nie ugiął się pod presją profesorów prawa – również sympatyzujących z Koalicją 15 Października – którzy zarzucili mu kontynuowanie dzieła rządów Zjednoczonej Prawicy, czyli „dalsze upolitycznianie TK". Do premiera nie przemówiły te argumenty, ponieważ Berek nigdy nie był członkiem partii, zna się na prawnej robocie, a Trybunał potrzebuje boksera, który nie przestraszy się PiS-owskiej obstrukcji.

Ale gdy pytam Jarosława Flisa o ocenę ostatnich działań wizerunkowych premiera, okazuje się mniej zachwycony niż ja. Mówi krótko: lepiej być miłym niż aroganckim.

– KO wzbudza miłość patrycjatu, ale wśród całej reszty ma opinię partii mało otwartej. W społecznym obrazi partia rządząca, podobnie jak konserwatyści angielscy pod koniec XIX wieku, zabrała się za rządzeniem krajem w tak naturalny sposób, jak bobry zabierają się za budowę tamy – tłumaczy Flis.

– „Im się to należy, jako najbardziej światłej części społeczeństwa" – tak myśli część Polaków o Kolicji Obywatelskiej – ciągnie. – Ale jednocześnie wyborcy widzą doskonale jej słabość organizacją, co pokazują badania socjolożek Doroty Węcławskiej i Anny Berlińskiej: lokalni działacze KO wypadają blado przy kolegach z PiS, jeśli chodzi o zarządzanie gminami.

Według badacza „premier próbuje nadrobić fatalny wizerunek partii". – Ale to pułapka, bo cała partia czeka na decyzje premiera. A i bez tego doły partyjne uważają, że Donald Tusk wygra jak zwykle za nich wybory. Tylko że wyścig do parlamentu wygrywa ta partia, której działacze o piątej nad ranem rozdają kawę i ulotki na dworcu kolejowym ludziom wracającym lub jadącym do pracy – kwituje prof. Flis.

No dobrze, ale jednocześnie premier sprawnie buduje wizerunek polityka dbającego o bezpieczeństwo. W dobie kryzysu – mniejsza, realnego czy wyobrażonego i wmówionego przez alt-prawicę – migracyjnego i całkiem realnych rosyjskich rakiet oraz dronów na lotniskach to nie wystarczy?

– Zawsze warto próbować przechwycić tematy, w których lepiej radzi sobie konkurencja oraz zadbać w pierwszej kolejności o wyborców głosujących na inne partie. PiS zakiwał się w sprawie programu SAFE, premier dobrze wykorzystał moment – zgadza się Flis. I rzeczywiście – po miesiącach flauty KO szybko odrobiła straty w sondażach.

●

Jakby obraz nie był wystarczająco skomplikowany – pojawił się jeszcze jeden pomysł na kampanię: przygotowanie osobnej trasy, w którą miałby wyruszyć Radosław Sikorski.

W rządzie słyszę, że wicepremier i minister spraw zagranicznych w ostatnich tygodniach testuje różne – jak lubią to w udającej światową nowomowie mówić politycy – formaty, które Koalicja Obywatelska będzie mogła wykorzystać w przyszłym roku.

Sikorski pojawił się na Podhalu, gdzie wpadł do lokalnej Ochotniczej Straży Pożarnej. Co prawda najpierw spotkał się z miejscowym aktywem i działaczami – ale i to spotkanie było dalekie od partyjnej rutyny: po prostu skrzyknął ludzi do gospody góralskiej i po kolei przysiadał się pogadać. Wszyscy siedzieli przy stołach, pili herbatę i swobodnie gawędzili z wicepremierem.

Z kolei ze strażakami Sikorski rozmawiał o ich potrzebach. Pytał, czego im brak, jeśli chodzi o przygotowanie do obrony cywilnej. – Nie chodzi o cyniczne wykorzystanie strażaków ochotników, szanowanych w lokalnych społecznościach, tylko o zbadanie realnych potrzeb. Widzimy po Podhalu, że takie podejście imponuje ludziom – słyszę na zapleczu kancelarii premiera.

Wicepremier nie zrobi jednak niczego bez zgody Tuska. – Do tej pory nie odbyła się żadna rozmowa o włączeniu pana ministra do głównego nurtu kampanii. Robimy wiele rzeczy na własną rękę i na własne ryzyko – mówią mi współpracownicy Sikorskiego.

Może i na własną rękę, ale całość zaczyna układać się w ofensywę może jeszcze niezgraną, ale na wielu frontach. Premier w środę podniósł próg podatkowy ze 120 do 130 tys. zł rocznie, który nieco pomoże klasie średniej, wpadającej coraz liczniej w próg drugi – w teorii dla najzamożniejszych, ale dawno nie waloryzowany, przez co 32-procentowy podatek płacą już nawet niektórzy nauczyciele, choć wcale im się nie polepszyło.

To ma być faktyczny – z przytupem, równie efektowny, co pisowskie 500 plus – początek kampanii wyborczej. Partia zastanawia się jednak, czy uda jej się nadgonić kilka straconych miesięcy.

– Nie wiem, czy aby sondaże nas nie usypiają. Niby jesteśmy na czele, mamy największe poparcie, ale Trzaskowski też był faworytem na rok przed wyborami – tę refleksję powtarza każdy z moich rozmówców. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

DO 24 SIERPNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"
na wrzesień u swojego sprzedawcy prasy

– Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
– Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
– Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
– Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
– Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA 199,99 zł**
OSZCZĘDZISZ CO NAJMNIEJ 51 zł



Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. **Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl 46280ae095

ADWOKAT ZALADĄ

Artur Nowak

W „Adwokacie diabła” Al Pacino gra człowieka, który wysoko ponad miastem, na dachu wieżowa, wystawia młodego adwokata na pokusę, pokazując świat, który może należeć do niego. Na dole ludzie tracą wolność, dzieci, domy, reputację, czasem całe życie. Stary adwokat nie musi zabijać nożem. Patrzy, jak ludzie wykrwawiają się z pieniędzy, czasu i złudzeń. Po wszystkim zamyka akta i wystawia fakturę.

Oto spotkanie dwóch wcieleń mecenasów: starego maga, który bawi się tym zawodem, odcinając kupony, i zapracowującego się w pogoni za sukcesem głupca.

Myślę o nim coraz częściej.

O starym mecenasie, który przez całe życie nie potrafił milczeć. Krewki, bezczelnie inteligentny, śmieszny, czasem nieznośny, czasem okrutny w ocenach, zawsze jednak obecny. Lew w czystej postaci, nie tylko zodiakalnej.

Nie chodził po sali sądowej na paluszkach. Wchodził czasem z sądem w pyskówki. Albo cię będą lubić, albo szanować. Sam wybierz, co wybierasz – tłumaczył.

Angażował się w sprawy polskie tak mocno, że nawet na Facebooku nieraz dostał bana.

– Widzisz, Artur, mnie już nawet internet zamyka – komentował przekonany, że choć przegrał potyczkę, to wygrał wojnę, bo przeciwnik, zamiast z nim walczyć, poskarżył się apce na ostry język i zdezerterował.

Przyjaźnie między adwokatami bywają trudne, bo ten zawód polega na wkładaniu masek w imię wyższej konieczności, a prawdziwa relacja wymaga szczerości i otwartości. Ja jednak się zaprzyjaźniłem. Może dlatego, że nigdy nie konkurowaliśmy. Doskonale pamiętam naszą pierwszą rozmowę.

Miałem wtedy mieszane uczucia.

Usłyszałem, że dawniej, kiedy ktoś kończył prawo, to było wiadomo, że ten człowiek coś wie, coś sobą reprezentuje. A dziś? Dziś naprodukowano tłuków i zawód nic już nie znaczy.

– Adwokatura kiedyś – akcentował to „kiedyś”, unosząc palec wskazujący ku niebu – to nie był jakiś tam sposób na zarobkowanie, ale... – i tu wytrzeszczał oczy tak, że bałem się, iż zaraz jego gałki eksplodują – to było powołanie.

„Ło matko. Powołanie – pomyślałem przerażony. – No to się zaraz zacznie!”.

To się już raczej nie zdarza, ale był czas, kiedy „starzy” pomstowali na posła Gosiewskiego, że do spółki z Ziobrą otworzył aplikacje i że szlachetną arystokrację adwokacką najechali zewsząd Hunowie. I zrobiło się chamstwo.

A młodzi – wiadomo – za nic mają etykę, starszym kolegom się nie kłaniają, piszą na siebie donosy, obrażają się w pismach, mylą bezczelność z odwagą, a tupet z niezależnością. Brzmiało to wszystko klasistowsko i naiwnie jak głos starej diwy, która nie potrafi z godnością zejść ze sceny, idealizując czasy swojej świetności, w których wszystko było lepsze.

I on mówił to wszystko z takim ogniem, jakby właśnie bronił ostatniej reduty cywilizacji przed hordą obcych z laptopami, leasingami i profilami na LinkedInie, których jedynym celem jest profanacja adwokatury.

I ja, rzecz jasna, buntowałem się przeciwko temu tonowi. Bo ile można słuchać, że kiedyś było lepiej, a adwokaci byli bardziej adwokaccy i rasowi?

A jednak im dłużej go znałem, tym wyraźniej widziałem, że pod tym staroświeckim oburzeniem na upadek obyczajów było coś więcej niż tęsknota.

Ostatnie miesiące spędził w szpitalu.

Już nie politykował. Jakby wielkie sprawy nagle ustąpiły miejsca małym wzruszeniom. Odkrył instagramowe rolki i zapętlał się w krótkich filmikach. Powtarzał się w nich jeden motyw: dziecko dostaje pierwszego w życiu psa. Spod wieka pudełka wychyla się nieśmiało głowa szczeniaka. Chłopiec albo dziewczynka zaczynają płakać. I on płakał razem z nimi.

Stary mecenas, który potrafił zniszczyć przeciwnika jednym zdaniem, który niejednego sędziego doprowadził do furii, który całe życie uważał, że sentymentalizm jest dla ludzi nieprzygotowanych do procesu, płakał nad szczeniakiem wychylającym łeb z kartonu.

Samotny, poszedł do swoich, którzy dawno odeszli, zostawiając po sobie trochę wspomnień.

Stary mecenas uśmiecha się z politowaniem

Był taki czas, że młody człowiek wchodził do kancelarii nie tylko po pracę. Stawał w progu świata, który, zanim ruszysz dalej, trzeba było wyczuć. Miał chłonąć i przesiąkać. Uczył się nie tylko pisać apelację, ale także milczeć przy kliencie, wyczuwać sąd jak instrument w orkiestrze i nie palić za sobą mostów.

Trzeba było zobaczyć te gesty tysiące razy, żeby je naprawdę poczuć: sposób mówienia, sposób siedzenia w sądzie, zwracania się do przeciwnika, umiejętność zamilknięcia w odpowiednim momencie – wszystko to, co składało się na autorytet, a czego nie da się zawrzeć w samym opisie.

Kiedyś, po rozprawie prowadzonej przez pewną sędzię, która – jak zwykle – zamiast skupić się na sprawie, skupiała się na pełnomocnikach, zapytałem starego miejscowego adwokata, dlaczego ona to robi. Zadawała pytania, ale nie dawała na nie odpowiedzieć. Przerywała, pouczała, unosiła głos. Trzeba jednak przyznać, że wyżywała się na wszystkich po równo, była więc na swój sposób sprawiedliwa.

Stary mecenas uśmiechnął się z politowaniem.

– Może w domu nikt jej już nie słucha. Albo, co gorsza, nie ma kto jej słuchać, bo jest sama.

– I co z nią zrobić?

– Być jak powietrze – odpowiedział. – Nie stawiać oporu tam, gdzie ona właśnie na opór czeka.

Na tym właśnie polega przewaga starych adwokatów. Sądu nie sprawują kodeksy, tylko ludzie ze swoimi ambicjami, lękami, próżnością i gorszym dniem. Trzeba nawigować sprawą tak, żeby sędzia uwierzył, że to on sam wpadł na najlepsze rozwiązanie.

Żeby czytać salę rozpraw jak cudzą twarz, trzeba na tej sali wysiedzieć. Czasem sąd nie chce być przekonany, chce być uszanowany. Szkolnym błędem wielu niedoświadczonych adwokatów jest to, że chcą mieć rację zbyt głośno.

Starzy adwokaci mieli swoją opowieść.

A jeśli umiesz odpowiadać, masz nad ludźmi władzę.

I to do dziś jakoś działa na tych wszystkich sędziów ze starego rozdania, widać to



„Starzy” pomstowali na posła Gosiewskiego, że do spółki z Ziobrą otworzył aplikacje i że szlachetną arystokrację adwokacką najechali Hunowie. I zrobiło się chamstwo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 46280ae095

subtelnie, ot błysk w oku albo zawiązujący się do wspomnień uśmiech.

Pani z szatni podawała mu togę jak ornat

Dziś z tamtego świata została toga.

– Zaraz i togi z nas zdejmą. – Śmieją się smutno starsi koledzy, którzy nie umieją się odnaleźć w świecie apek, ocen klientów i lajków.

Jakże inaczej wyglądają kulisy tego teatru. Klient prosi o ofertę, targuje się, sprawdza opinie, chce omawiać zasady dostępności, zastrzega, że będzie sprawdzał każde pismo, nim mecenas pośle je do sądu.

– Zaraz będzie jak u Niemca – wieszczył niedawno jeden z kolegów. – Adwokat będzie pozywał adwokata, że źle pozwał adwokata za szkody spowodowane w związku z nienależycie starannie prowadzonym procesem.

– Co to za czasy? Połączenia zdalne i doręczenia przez komputer – pomstuje inny; to jeden z tych, dla których komputer to diabelskie ustrojstwo, którego nawet nie wiedzą, jak włączyć.

Do tego ta sztuczna inteligencja, która zna lepiej prawo niż niejeden kodeks.

Słuchając kolegów, którzy jedną nogą wiodą życie emerytów, słyszę w ich myśleniu tęsknotę za ciągłością. Że każdy mecenas coś dostał od tych, którzy przyszli wcześniej, i że jego obowiązkiem jest ten świat nie zakonserwować, lecz przekazać dalej to, co było w nim najlepsze.

Ale tę sztafetę pokoleniową rozsadziła pewna wyrwa. Dla starej gwardii symboliczna była zmiana z 2023 r., gdy Naczelna Rada Adwokacka zniosła całkowite zakazy dotyczące korzystania przez adwokatów z informacji handlowych; reklama stała się dopuszczalna, o ile nie narusza etyki i godności zawodu. I to jest znak epoki.

Kiedyś nie trzeba było się reklamować. Adwokatów było niewielu. Nie znaczy to jednak, że nie było wśród nich takich, którzy wyrastali ponad przeciętność. Był ten czy inny mecenas, który, gdy wchodził do sądu, robił się teatr. Portier od razu kiwał głową, pani z szatni podawała mu togę jak ornat, a on dyskretnie zostawiał jej banknot. Ludzie na sądowym korytarzu robili krok w bok. Robiło się ciszej. Tylko ktoś mówił półgłosem: „O, to ten".

Dzisiaj „młody" potrafi wejść na schody sądu w idealnie skrojonej todze, ustawić telefon pod właściwym kątem i w ciągu kilkudziesięciu sekund opowiedzieć światu za pośrednictwem TikToka, że właśnie odniósł kolejny sukces.

Mistrz i pn folwarczny

Jakże zmieniło się to wszystko. Wspomnę kolegę, który potrafił pisać do rady adwokackiej skargi na innego adwokata, bo ten umieścił na budynku kancelarii tablicę informacyjną z godzinami otwarcia przekraczającą wymiary określone w ówczesnych standardach. I pisał te skargi pod nazwiskiem, choć na co dzień spotykał się ze „sprawcą" tego deliktu w sądzie. Był święcie przekonany, że to nie żaden donos, lecz odpowiedzialność za dobro korporacji.

W ręku cienki jak ciasto na pizzę laptop, na nadgarstku błysk zegarka, który ma być widoczny, ale tak, żeby nie biło po oczach, fura, a na tylnym siedzeniu zestaw kijów do golfa. Nie ma w tym niczego nagannego. Adwokatura zawsze lubiła pieniądze i symbole statusu. W PRL-u także mecenasi jeździli autami sprowadzonymi z Zachodu, mieli dostęp do koniaku.

To towarzystwo nigdy nie była zakonem żebraczym. Problem zaczął się wtedy, kiedy wizerunek człowieka sukcesu powstaje wcześniej niż sam sukces. Dawniej splendor coś potwierdzał, dziś ma to coś tworzyć.

Sędzia Sądu Najwyższego, z którym rozmawiałem o zawodzie na potrzeby reportażu „Adwokaci. Zraniony zapał", tłumaczy to tak: „Zmieniają się czasy, zmieniają się też ludzie".

To dobrze, że adwokat zszedł z piedestału, który jak w przypadku każdego elitarnego zawodu z czasem stał się pomnikiem jego arogancji. Warto spytać czy to dobrze, że wszedł za ladę.

Adwokat ma być zabawny i uprzejmy jak w reklamie i dobrze wyglądać na LinkedInie, bo „dobra gadka to pół dniówki"

Oczywiście, nie ma sensu upiększać przeszłości. Aplikanci pracowali za grosze, a mecenasi potrafili upokarzać, wykorzystywać, tresować młodych, nazywając to formacją. Niejeden patron był nie mistrzem, lecz panem folwarcznym.

Tęsknota ma tę wadę, że wygładza kanty. Ale jednak coś tam było.

Wajda mówił o niej, że anioł przeleciał

– Proszę pana – opowiada mi stary sędzia z Krakowa, którego poznałem na festiwalu Olgi Tokarczuk Góry Literatury. Lubimy książki i o sędziach, sprawach i adwokatach raczej nie rozmawiamy. Ale jedną z jego wypowiedzi zapamiętałem.

– Dawny adwokat był figurą mieszczańsko-inteligencką: trochę prawnikiem, trochę mówcą i jeszcze trochę literatem. I ten człowiek reprezentował pewien typ człowieka publicznego. Dziś z tego zrobiła się już tylko usługa. Już nie ma takich mów, po których zostawały dreszcze.

Te mowy nie brały się znikąd. Adwokatura była blisko kultury.

Krakowski Dom Adwokata – czy raczej Klub Adwokata, najpierw przy Sławkowskiej (tam, gdzie mieszkał kiedyś Johann Goethe), potem przy Batorego – był salonem starej palestry.

Odbywały się tam wieczory autorskie, koncerty, wykłady i spotkania literackie. Rozmowy prowadzono nie tylko językiem kodeksu, ale także pamięci, historii i sumienia.

Klub miał już półwieczną tradycję. Powstał w 1972 roku, a w 2022 roku otwarto jego nową siedzibę przy Batorego 17.

– Życie w klubie było codzienne – wspomina z entuzjazmem nestor krakowskiej adwokatury.

Lubię z nim rozmawiać. Siadamy w starej, chłodnej krakowskiej kancelarii przy okrągłym, antycznym stole, na którym pojawiają się bundz, pomidory i siekana cebula. Są także chleb oraz masło z mleka czerwonych krów. Smaruję grubo masłem chleb i zamieniam się w słuch.

Patronką tego świata stała się adwokatka Janina Ruth Buczyńska. Urodzona w Podwołoczyskach, wychowana w Tarnopolu, ocalała z Zagłady. Należała do tych osób, które nie musiały zabiegać o autorytet, ponieważ autorytet po prostu z nich promieniował. Żydówka, dla ludzi, którzy ją znali, była kimś w rodzaju cadyka. Słyszę, że przy niej ludzie stawali się lepsi albo przynajmniej wstydzili się własnej małości.

Gdy Klubowi Adwokata nadawano jej imię, Wajda i Krystyna Zachwatowicz mieli mówić, że „przez nasze życie przeleciał anioł". Łączyła prawo z pamięcią Zagłady. Adam Zagajewski poświęcił jej elegię „Ruth" – wiersz o lęku, ciemności, wojnie i białej ciszy szpitalnej sali.

W tej opowieści o krakowskiej adwokaturze Buczyńska jest początkiem, ale nie końcem. Bo za nią idzie cały korowód postaci: wystarczy wspomnieć doktora Stanisława Ostoję-Soleckiego, przedwojennego sędziego, po wojnie skazanego za udział w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość".

W czasach próby umiał się zachować przyzwoicie. Przed wojną miał dopuszczać żydowskich adwokatów do obrony mimo formalnych zakazów, nie wpisując ich nazwisk tam, gdzie mogłoby to ich obciążać. Po wojnie pamięć o tej przyzwoitości miała mu pomóc, gdy sam znalazł się po stronie oskarżonych.

Pamięć tych postaci ściągała do domu adwokatów w Krakowie całą plejadę postaci. Tu występowali: Jacek Fedorowicz, Kaja Danczowska, Andrzej Wajda, Józef Życiński, Czesław Miłosz, Marian Turski, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Sławomir Mrożek, Jerzy Trela, Piwnica pod Baranami, Leopold Kozłowski-Kleinman, ostatni klezmer, opowiadający nie tylko o muzyce, ale i o wojennym doświadczeniu.

Mało kto dziś pamięta adwokatów, którzy sami byli twórcami: Jan Brzechwa – naprawdę Jan Wiktor Lesman – nie tylko autor dziecięcych wierszyków, ale też adwokat i znawca prawa autorskiego. Stanisław Mikke – adwokat, pisarz, człowiek Katynia, autor książki „Śpij, mężny". Kiedy zaczynałem pisać do „Palestry", dzwonił czasem do mnie, jeszcze na telefon stacjonarny, tłumacząc, jak poprawić tekst.

Obsługa bezdotykowa

Dziś to bazar usług. Adwokat ma być zabawny i uprzejmy jak w reklamie i najlepiej jeszcze dobrze wyglądać na LinkedInie, bo „dobra gadka to pół dniówki". Żadne tam długie rozmowy, bo mecenas ciągle się gdzieś pieszy. Ma trening o siódmej, jogę o ósmej, lunch o trzynastej, no i pomiędzy trzeba ogarniać ten cały bajzel: rozprawę online, trzy maile „na wczoraj" i kolejkę klientów na Zoomie. A więc obsługa bezdotykowa.

A przecież kiedyś do mecenasa szło się jak do rabbiego, który znał kodeks, ale przede wszystkim każdy profil ludzki: leczył lęk zabawną anegdotą, dawał spokój. I miał tę najważniejszą chyba kompetencje: towarzyszenia klientowi na dobre i na złe.

Co z tego, że masz wiedzę książkową, jesteś oblatany w tę i nazad w kodeksach, skoro nie masz tych miękkich umiejętności?

Prawda jest taka, że prawników nikt nie uczy relacji z ludźmi. Jakiejś elementarnej psychologii. Do adwokatów trafiają zazwyczaj ludzie w kryzysie. Jak z nimi rozmawiać, dając nadzieje, ale nie dając złudzeń, i mówić to, co najgorsze?

Najtrudniejsze rozmowy rzadko zaczynają się na sali sądowej. Czasem zaczynają się od numeru telefonu zapisanego na kartce i kilku sekund, podczas których człowiek się zastanawia, jak powiedzieć obcej kobiecie, że jej mąż został zatrzymany.

Trzeba zadzwonić do żony jakiegoś białego kołnierzyka z informacją, że został aresztowany. Więzienie jest dla takich ludzi całkowitą abstrakcją. Widziała dotychczas męża w eleganckim garniturze, pachnącego, wychodzącego co rano do pracy, ściskającego ręce ważnych ludzi. I nagle się okazuje, że mąż będzie siedział w jakimś zapchlonym pierdlu.

Po drzemce mylili mu się klienci

Słyszę od adwokat z Poznania: „Cała adwokatura jest w mojej głowie". To zdanie piękne i straszne.

Piękne, bo mówi o zawodzie, który staje się piękną pamięcią głosów, gestów i sytuacji.

Straszne, ponieważ jeśli cała adwokatura znajduje się już tylko w głowach kilku starych ludzi, to odejdzie razem z nimi. Zostanie po nich biblioteka, której dzieci nie będą chciały, i kilka anegdot powtarzanych na pogrzebach.

Etos umiera wtedy, gdy kolejne pokolenie nie wie już nawet, że otrzymało coś do przechowania. Kiedy zawód nie ma pamięci większej niż ostatni post na Instagramie, a jedynym punktem odniesienia staje się sukces człowieka, który najgłośniej opowiada o własnej skuteczności.

Czy da się etos przechować siłą?

Podczas Zgromadzenia Krakowskiej Izby Adwokackiej, które odbyło się 20 czerwca 2026 roku, mecenas Stanisław Jaźwiecki, nestor krakowskiej palestry, mówił o „zaśmieceniu adwokatury" po otwarciu dostępu do zawodu.

Część obecnych w sali nagrodziła jego wystąpienie brawami, część adwokatów zaprotestowała, a sam mecenas przeprosił później za – jak to określił – lapsus językowy. Rzecznik dyscyplinarny adwokatury wszczął w związku z tą wypowiedzią dochodzenie dyscyplinarne.

Zmieniło się też coś w relacjach między adwokatami.

Stary adwokat pokazuje mi pismo jednego z młodych „kolegów", w którym ten, słowami wprawdzie na tyle ostrożnymi, by nie nadziać się na dyscyplinarkę, zarzuca mu nieuctwo.

Pisze, że stary mecenas nie doczytał, nie zrozumiał, nie zna orzecznictwa.

– Wyobrażasz sobie coś takiego? – pyta głęboko urażony.

Co mam powiedzieć? Pismo rzeczywiście jest paskudne. Nie polemizuje, ale wprost obraża człowieka, który wykonuje ten zawód dłużej, niż jego autor żyje.

Mecenas jednak nie przestaje:

– Jeszcze trochę, a napisze mi, że jestem po prostu brzydki.

Kiedyś adwokaci sobie pomagali, zastępowali się, pilnowali nawzajem swoich spraw. Za koleżeńskie zastępstwo najczęściej nie brali pieniędzy. Ktoś nie mógł zdążyć, ktoś utknął na innej rozprawie, komuś zachorowało dziecko – kolega zakładał togę i szedł za niego. Następnym razem role się odwracały.

Pamiętam jednego ze starych dyżurnych adwokatów od spraw z urzędu. Stare dzieje: było mało adwokatów i coraz więcej spraw. Młodsi koledzy, którzy nie przepadali za urzędówkami, chętnie się nim wyręczali. Mecenas formalnie był więc niemal zawsze obecny. Tyle że podczas rozpraw zdarzało mu się przysypiać.

Najzabawniej się robiło, gdy nagle się budził. Zrywał się, poprawiał togę i przystępował do obrony z energią człowieka, który właśnie odkrył kluczową sprzeczność w zeznaniach świadka. Zadawał pytania mające pomniejszyć winę jednego z oskarżonych, a pogrążyć pozostałych.

Problem polegał na tym, że po drzemce mylili mu się klienci. Zdarzało się więc, że z wielkim zaangażowaniem bronił nie tego oskarżonego, którego powinien. Prawie wyciągał cudzego, przy okazji obciążając własnego.

Dziś adwokaci często w ogóle się nie znają. W sądach w Warszawie, Krakowie, Poznaniu przewijają się setki prawników. Nie wiadomo, kto jest skąd, czym się zajmuje. Mijamy się na korytarzach wpatrzeni w telefony, nie podnosząc na siebie wzroku jak te irytujące kierowców dzieciaki na pasach. ●

Portier od razu kiwał głową, pani z szatni podawała mu togę jak ornat, a on dyskretnie zostawiał jej banknot

eprasa.pl 46280ae095

Cnota łamania zasad

Wymóg, aby sędziowie byli apolityczni, nie jest jedną z interpretacji prawniczych, ale ma twarde, empiryczne oparcie.



Marcin Matczak

Sprawa Macieja Berka przetoczyła nam się przez kraj, zajmując czas i emocje tak ekspertom, jak i laikom. W tej debacie przedstawiono wiele argumentów prawniczych. Mnie interesuje jednak coś innego. Otóż u uznających siebie za racjonalnych wyborców KO w tej debacie widać zachowania, które ci sami wyborcy krytykują u osób głęboko wierzących i antyszczepionkowców.

Wymóg, aby sędziowie byli apolityczni, nie jest jedną z interpretacji prawniczych, ale ma twarde, empiryczne oparcie. Badanie Giblera i Randazzo (2011), prowadzone w 163 krajach, wykazało, że niezależne od polityki sądy zmniejszają ryzyko ześlizgnięcia się w autorytaryzm. Kiedy więc w sprawie Berka prawnicy dyskutują z nieprawnikami, mamy sytuację „twarda wiedza kontra luźne przekonanie".

I w tej dyskusji ze strony zwolenników KO pojawia się coś, co dotąd było przez tych samych ludzi rezerwowane dla moherowych beretów i foliarzy.

Argumentacja religijna opiera się na wierze w autorytet ponad dowodami. Przykładowo, teodycea nie broni decyzji, ale dobroci stwórcy. Widać to w klasycznej odpowiedzi na problem zła: skoro Bóg jest dobry, zło musi być pozorne albo służyć wyższemu dobru. Joanna Szczepkowska mówi w 2025 r.: „Wierzę w Donalda Tuska. Nie dam sobie wmówić, że to człowiek, który ma jakieś tam złe intencje". I ta wiara trwa – to, co robi, musi być dobre, tylko my tego nie rozumiemy.

Tu pojawia się druga cecha argumentacji religijnej: Deus absconditus – argument z ukrytego planu. „On ma plan, którego nie znamy". Takiego planu nie sposób sfalsyfikować, bo każdy dowód przeciw jest dowodem, że plan jest głębszy, niż sądziliśmy. To dokładnie ta sama logika co „Myśli moje nie są myślami waszymi" (Iz 55,8).

Upolitycznić, by odpolitycznić

Na pytanie „Co się stanie, gdy Nawrocki nie odbierze ślubowania?" Joanna Szczepkowska odpowiada: „To wie tylko Donald Tusk". Na wątpliwość, jak Berek naprawi TK, podobnie: „Jak ma to zrobić, nie wiem. Prof. Matczak też nie wie najwyraźniej". To wyznanie ufności w plan, która jednak nieco się chwieje: „Ta kandydatura jest z pewnością jakimś kołem ratunkowym". „Jakimś"? Jest i wszechwiedza: „Scenariusz, jaki pisze Matczak jest zbyt oczywisty, żeby premier i min. Berek go nie przewidzieli".

Kolejny element – dyspensa. Norma zostaje w mocy, ale chwilowo robi się od niej wyjątek. Tusk przyznał, że jest przekonany do zasady „byłych ministrów miało nie być w TK", po czym wziął na siebie odpowiedzialność za jej złamanie. To tak naprawdę nie jest odrzucenie normy, ale jej potwierdzenie i twierdzenie o władzy dyspensowania. Znowu Joanna Szczepkowska: „Jeśli ktoś przyznaje, że łamie swoje zasady, to lepiej niż gdyby nie przyznał, a łamał". Czyli jawność naruszenia zostaje uznana za cnotę. W tej logice im bezczelniejsze naruszenie, tym lepsze, bo tym jawniejsze.

Jest wreszcie element scandalum, czyli zgorszenia: należy powstrzymać się od publicznego wypowiadania rzeczy prawdziwych, jeśli szkodzą one wierze wiernych. Tu akurat ks. Lemański: „Czy musi pan ciągle do tematu powracać. Proszę, daj pan już spokój". Obóz, którego najgłośniejszym oskarżeniem wobec Kościoła ostatniej dekady było właśnie „zamiatanie pod dywan, żeby nie gorszyć wiernych", w ciągu tygodnia odtworzył tę doktrynę w wersji świeckiej.

Wreszcie „naprawienie przez zepsucie". W XVIII w. Jakub Frank nauczał, że w erze mesjańskiej droga do zbawienia prowadzi przez przekroczenie Prawa. Takie odkupienie przez grzech. W liturgii Wigilii Paschalnej pada zdanie o „szczęśliwej winie" (felix culpa), której zawdzięczamy Odkupiciela. Z upadku wyszło więc dobro.

Innymi słowy, trzeba upolitycznić Trybunał, żeby go odpolitycznić. Naruszenie normy jest mechanizmem jej przywrócenia, bo dochowanie normy jest przeszkodą w jej ocaleniu. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy ktoś wyciągnie z tego wniosek praktyczny: skoro z winy wychodzi dobro, zróbmy większe zło, a dobro przyjdzie szybciej.

Świadectwo zamiast argumentu

W obronie kandydatury Berka pojawiły się także antyszczepionkowe mechanizmy poznawcze. Pierwszy: ekspert pozostaje ekspertem, dopóki potwierdza nasze przekonania. Kiedy im zaprzecza, staje się agentem przeciwnika. Potwierdzają to cytaty: „Nam nie trzeba tłumaczyć", „Jak się dobrze przyjrzeć temu, co mówi Matczak, to tam jest tok rozumowania blisko Belwederu", „On to mówi, bo płaci mu Big Pharma" versus „On to mówi, bo PiS ma na niego haki".

Kahan i współautorzy (2011) pokazali eksperymentalnie, że identycznie wykwalifikowanego człowieka np. w sprawie klimatu częściej uznajemy za eksperta, gdy jego konkluzja zgadza się z naszym światopoglądem. Ten sam efekt Braman (2022) wykazała dla ekspertów konstytucyjnych, dodając, że popieramy tych, którzy głoszą tezy zgodne z naszym przekonaniem, bo dbamy o samoocenę.

Krytyka nominacji Berka zagraża więc nie tylko Tuskowi, ale obrazowi samych siebie u jego wyborców. Bo jeśli prawnicy, których słuchali, gdy ci krytykowali PiS, mają dziś rację, to oni popierają to, co potępiali. Ponieważ przez to czują się niespójni, łatwiej jest im zdegradować tych prawników do „liberalnych idiotów".

Drugi mechanizm poznawczy antyszczepionkowców to pułapka kompetencji. Albo „nie jesteś lekarzem", więc nie masz racji, albo „jesteś lekarzem, czyli jesteś w to zamieszany", więc też nie masz racji. W debacie o TK wygląda to tak: albo „nie jesteś konstytucjonalistą", albo „jesteś oderwanym od praktyki teoretykiem".

Trzeci mechanizm to osobiste świadectwo zamiast argumentu. „Nie poczułam się wykpiona. Jedyne, co poczułam, to zaufanie". Odpowiedzią na argument o normie ustrojowej jest raport ze stanu wewnętrznego („Poczułam pokój"). W narracji antyszczepionkowej odpowiada temu „Ja wiem, co widziałam u swojego dziecka". Doświadczenie osobiste dyskwalifikuje abstrakcyjny argument.

Nie zarzucam nikomu głupoty, ale stosowanie mechanizmów, które u innych nazywane są „ciemnotą". I to, że pytanie „Jakie reguły wyboru sędziów najlepiej chronią TK przed upolitycznieniem?" zamieniono na pytanie „Czy ufasz Tuskowi i Berkowi bardziej niż PiS?" „In Tusk we trust?" Czy tak ma wyglądać nasza merytoryczna debata? ●

Co za jad!

Krakowska rosjoznawczyni twierdzi, że Polsce bardziej zagraża Ukraina, nie Rosja, a Polaków czeka „debanderyzacja". To kolejny naukawy termin z jej wywodu.



Michał Rusinek

Antyukraińskie wątki pojawiają się nie tylko w wypowiedziach nacjonalistycznych polityków (lub polityków w zasadzie nienacjonalistycznych, ale próbujących kapitalizować nacjonalistyczne nastroje) i nie tylko w piosenkach promowanych przez TV Republika, ale także w dyskursie naukowym. A przynajmniej naukawym.

Niedawno na łamach „Myśli Polskiej" – najstarszego endeckiego tygodnika – ukazał się np. artykuł prof. Anny Raźny pt. „Odrodzenie banderyzmu". Prof. Raźny to rosjoznawczyni, była dyrektorka Instytutu Rosji i Europy Wschodniej Uniwersytetu Jagiellońskiego i była prodziekan Wydziału Filologicznego UJ. Jest członkinią Komisji Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk i Komisji Kultury Słowian Polskiej Akademii Umiejętności.

Obecnie, już na emeryturze, związana jest głównie z Wyższą Szkołą Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, gdzie prowadzi wykłady i zasiada w radzie naukowej. Występuje jako ekspertka w Radiu Maryja i Telewizji Trwam. Udziela się politycznie: należała do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, potem do Ligi Polskich Rodzin (przez rok była przewodniczącą rady politycznej tej partii).

W 2014 r. podpisała (z Zygmuntem Wrzodakiem) list otwarty do Władimira Putina, w którym wychwalała go za aneksję Krymu oraz prosiła, by bronił Słowian i chrześcijan przed „unioeuropejskim zepsuciem", natomiast w 2022 r. podawała w wątpliwość odpowiedzialność Rosji za masakrę w Buczy. Polska Akademia Nauk w 2022 r. uznała jeden z jej artykułów za „wysoce nieetyczny" i odcięła się od jej poglądów, ale – z powodu braku quorum – nie odwołała jej ze składu komisji. W ramach protestu odeszło wówczas kilkoro jej członków.

Natomiast „Myśli Polskiej" przyjrzała się państwowa komisja ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich. Uznała ją za jeden z głównych ośrodków rosyjskiej dezinformacji w Polsce, powielający prorosyjskie i antyukraińskie tezy w naszej przestrzeni publicznej i przekazała sprawę ABW.

●

W najnowszym artykule prof. Raźny słowem-kluczem jest „banderyzm", który – jej zdaniem – przyjmuje obecnie formę „neobanderyzmu", rozumianego – przez nią, ale i przez Putina – jako „ukraiński nacjonalizm w jego nazistowskiej formie". Artykuł zaczyna się od wskazania winnych odrodzenia rzeczonego neobanderyzmu, czyli aliantów, którzy „troskliwie uratowali" członków UPA przed sądowymi rozliczeniami oraz tych, którzy doprowadzili do rozpadu ZSRR, bo wówczas Ukraińcy „szukali gwałtownie mitu założycielskiego i stojących na jego straży bohaterów narodowych".

Winne są także zachodnie elity i nastawione na dialog „kręgi kościelne": „Podpisane w 2023 r. przez przewodniczącego KEP abp. Stanisława Gądeckiego oraz zwierzchnika ukraińskiego kościoła greko-katolickiego abp. Światosława Szewczuka oświadczenie »Przebaczenie i pojednanie«" uważa prof. Raźny za „pusty gest", bo nieprzygotowany „merytorycznie". Najpierw trzeba by było – z jednej strony – zmienić „przenikniętą neobanderyzmem świadomość Ukraińców", a z drugiej – „wyzwolić świadomość Polaków z pęt narzuconej przez rodzime elity afirmacji tej ideologii dehumanizującej współczesny świat".

Kiedy już wyzwoliliśmy się z pęt stylistyki tego zdania, przygotujmy się na kolejne. Czeka nas, zdaniem pani profesor, „debanderyzacja" (kolejny naukawy neologizm; czekamy na „rebanderyzację" i „protobanderyzm", ale nie podpowiadajmy). Zacząć ją należy od wstrzymania pomocy walczącej Ukrainie i domagania się „zwrotu długów zaciągniętych przez Ukrainę u Polski". Oraz uświadomienia sobie, że – uwaga! – „Polsce coraz bardziej zagraża nie Rosja – jak to nam wmawiały oderwane od polskiego społeczeństwa elity – ale Ukraina".

Na szczęście tzw. zwykli Polacy zaczynają mieć tę świadomość i nie dają się omamić politykom: „Parafrazując tytuł znakomitego radzieckiego filmu »Moskwa nie wierzy łzom« – musimy głośno powtarzać: Polacy nie uwierzą łzom – ani PiS-u, ani PO i ich przystawek partyjnych, ani antypolskich środowisk opiniotwórczych" – pisze prof. Raźny. Film jest melodramatem, ale – na pocieszenie dodajmy – z happy endem: „Krótkotrwałe nieporozumienie i poważny rozłam między zakochanymi uruchamia solidarne współdziałanie ze strony obu dawnych przyjaciółek i skuteczne zażegnanie trwałego rozejścia się Goszy z Katią", jak czytamy w internecie. Czyli kończy się chyba dobrze, bo ze skruchą przyznajemy, że nie widzieliśmy filmu i nie do końca wiemy, na czym może polegać skuteczne zażegnanie trwałego rozejścia się.

●

Wróćmy jednak do artykułu. Podobnie jak autorka piosenki „Ballada o Ukraińcu", o której pisaliśmy ostatnio, prof. Raźny żali się, że uznawana jest za „ruską onucę", „agentkę Putina" i „wroga ludzkości". Nie dziwi jej, że zaatakował ją prof. Grzegorz Przebinda na łamach Gazety Wyborczej, bo wiadomo, że Gazeta to „środowisko antypolskie". Dziwi ją i smuci stanowisko Polskiej Akademii Nauk z 2022 r. i nazywa je – o ironio! – działaniem stalinowskim, bo spowodowało zajęcie się środowiskiem „Myśli Polskiej" przez państwową komisję ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich. „Na szczęście – dodaje z ulgą – 31 lipca 2025 ta kuriozalna komisja została rozwiązana".

Następnie wymienia inne przewiny PAN: indywidualną pomoc naukowcom ukraińskim, finansowanie działalności naukowej niektórym z nich, organizowanie lub współorganizowanie konferencji naukowych na terenie Ukrainy oraz szkoleń stacjonarnych lub online. Aż 28 jednostek PAN było „zaangażowanych w doraźne działania pomocowe" dla Ukraińców. Tylko prawdziwa rosjoznawczyni rozpozna głęboko ukryty w tych działaniach stalinizm, bo przecież akurat Stalin dla niewprawnego oka nie wydaje się szczególnie znany z ciepłych uczuć wobec Ukrainy, a zwłaszcza wobec ukraińskiej inteligencji. Chyba że – w fikcyjnym świecie prof. Raźny – można być zarazem stalinistą i neobanderystą.

●

Autorka „Ballady o Ukraińcu" i autorka artykułu „Odrodzenie banderyzmu" – mówią różnymi językami. Ale chemiczny skład jadu, którym te języki są zatrute, jest – by tak rzec, toczka w toczkę – taki sam. Jad piosenkowy rozprzestrzenia się najszerzej, ale jad profesorski jest trujący potrójnie: nie tylko wzmacnia nastroje antyukraińskie i szerzy rosyjską dezinformację, ale i daje pseudonaukową podstawę oraz „powagę" m.in. wrocławskim bandytom. I wreszcie – last but not least – podważa autorytet instytucji naukowych oraz samej nauki. ●

eprasa.pl 46280ae095

ŚWIAT

W IMIĘ ZASAD... Tylko czyich

Większość ludzi w świecie niezachodnim uważa, że Trump jest złym prezydentem USA – i chciałoby mieć u siebie takiego

Z **MATIASEM SPEKTOREM**
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**



• **„Władca marionetek (prezydet USA Trump) i jego lalka (prezydent Filipin Ferdinand „Bongbong” Marcos Jr.). Kukły dwóch nielubianych polityków na antyrządowej demonstracji w stolicy Filipin Manilli, 27 lipca br.**
FOT. REUTERS/ELOISA LOPEZ

eprasa.pl 46280ae095

MATEUSZ MAZZINI: W polityce międzynarodowej i między sojusznikami nie ma już żadnych zasad?
MATIAS SPEKTOR: – Nie zgadzam się. Wiele zasad nadal obowiązuje, tylko nie zawsze to są te, które przebijają się do naszej wyobraźni – albo dotyczą obszarów, o których myślimy, że zasad w nich w ogóle nie ma. Nie powinniśmy zakładać, że na świecie panuje totalna anarchia tylko dlatego, że Władimir Putin naruszył suwerenność terytorialną Ukrainy, a Donald Trump dość luźno interpretuje zasady prawa międzynarodowego i dyplomacji.

Nie uwierzę, dopóki nie dostanę przykładu.

– Mówi się, że coraz więcej krajów zaczyna zamykać swoje gospodarki, przechodzić na pozycje protekcjonistyczne, neomerkantylne. I owszem, ale to powierzchowna analiza. Bo przecież zdecydowana większość światowego handlu nadal odbywa się w całkowitej zgodności z zasadami stworzonymi przez Światową Organizację Handlu.

Więc nie żyjemy w świecie bez zasad, tylko w świecie, w którym zasady mnożą się i ewoluują pod presją. Gdyż mamy już nie dwie czy jedną potęgę, a wiele. A jak wiadomo, potęgi mają dość swobodne podejście do powszechnych zasad – manipulują nimi, naginają je, a przede wszystkim – używają instrumentalnie, jako narzędzi realizacji własnej strategii. Więc im więcej potęg, tym więcej naginania zasad albo prób dołączania swoich do tych dotychczas obowiązujących.

Czy w takim razie nasze czasy są, jak lubimy sobie powtarzać, załamując ręce, jakoś wyjątkowe? Potęgi zawsze naginały zasady, nic nowego. Nawet premier Kanady Mark Carney przyznał w Davos, że cały system powojenny był zbudowany na obłudzie.
– Nowością jest liczba podmiotów, niekoniecznie państw narodowych, które mają ambicje i zasoby, żeby te zasady naginać.

Przez ostatnie czterdzieści lat żyliśmy w świecie jednobiegunowym, w którym był tak naprawdę jeden ośrodek władzy – USA – zdolny do kształtowania całego systemu wokół własnych potrzeb. Wcześniej spędziliśmy pół wieku w świecie dwubiegunowym, z bardzo jasnym podziałem ról i stref wpływów. Teraz po prostu znaleźliśmy się w układzie przypominającym do pewnego stopnia wczesne lata XX wieku. Dużo potęg, starych i aspirujących, które rywalizują.

Nie jest tak, że nie ma już zasad. Przeciwnie – jest ich bardzo wiele, coraz więcej. A w związku z tym trwa rywalizacja, bo pojawiają się interpretacje i kontrinterpretacje. Kluczem jest więc dominacja nad zasadami, a nie ich wyeliminowanie.

Tylko czy to nie prowadzi właśnie do ostatecznego załamania się współpracy międzynarodowej? Jeśli rywalizujemy na interpretacje zasad, jak mamy się dogadać? Weźmy Chiny – Pekin chce handel międzynarodowy zorganizować inaczej niż Unia Europejska.
– Ale jakimś cudem nadal nie przeszkadza to Unii prowadzić bardzo intensywną wymianę, a nawet współpracę handlową z Chinami.

Państwa, społeczeństwa, firmy, regiony współpracują na skalę globalną na poziomie niewidzianym w historii. Im niżej w strukturze decyzyjnej, tym współpraca silniejsza, choć pozostaje niezauważona. Antagonizm wielkich mocarstw, konflikty na Bliskim Wschodzie, nawet poważna, wieloletnia wojna w Europie Wschodniej, – nic z tego nie stoi w sprzeczności z faktem, że dyplomacja ma się dzisiaj bardzo dobrze, jest wręcz w rozkwicie.

Tylko to dowód na skuteczność systemu czy na zachodnią hipokryzję? Za którą, jak zauważa pan w „Foreign Affairs", jeszcze wszyscy zatęsknimy. I czy nie jest tak, że podczas gdy Zachód zawsze oszukiwał, reszta świata, któremu mniej się poszczęściło – w tym mój kraj, Polska – widziały

Na Globalnym Południu nie dochodzi do żadnego odrzucenia Europy, krytyki na wszystkich frontach – ale zmieniło się pojmowanie waszego kontynentu. Świat już wie, że jesteście podzieleni, boicie się Rosji i nie możecie już liczyć na amerykański parasol

w nim moralnie czysty ideał? Z korzyścią dla nas, bo dzięki temu dążyliśmy do bycia czymś, co nie istniało, ale zmusiło nas do stania się lepszą wersją samych siebie.
– Powód, dla którego moim zdaniem świat zatęskni za zachodnią hipokryzją, jest bardzo konkretny i dotyczy nie tylko kwestii etycznych.

W stosunkach międzynarodowych tak naprawdę możliwe są jedynie dwa rodzaje systemów. W pierwszym jego najważniejsi uczestnicy, najsilniejsi gracze definiują ogólne zasady współistnienia i nawet kiedy potem naruszają te zasady, na poziomie retorycznym jeszcze intensyfikują deklaracje poparcia dla nich.

Dla przykładu – kiedy Putin najeżdża Ukrainę, Unia Europejska, słusznie zresztą, podnosi raban i przypomina o zasadnie nienaruszalności terytorialnej suwerennych państw. Ale kiedy Netanjahu bierze na cel ludność cywilną w Gazie, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen nie jest w stanie nawet użyć słowa „cywile" w publicznych wystąpieniach. W rezultacie powstaje ogromny dysonans pomiędzy tym, co Europa mówi, a o tym, co robi. Klasyczna definicja hipokryzji.

Ale, wbrew pozorom, to wcale nie tak źle, bo hipokryzja ma swoje dobre strony. Kiedy von der Leyen czy jakikolwiek inny polityk z Zachodu przedstawia światu swoją teoretycznie moralnie wyższą, czystą wizję porządku międzynarodowego, a potem sam narusza zasady, których przestrzegania domaga się od innych, daje oręż do ręki mniejszym, słabszym państwom. One mogą wytknąć potęgom hipokryzję, pokazać ich podwójne standardy, zmusić albo do zmiany zachowania, albo przynajmniej do wytłumaczenia się z niespójności. To wbrew pozorom realne ograniczenie nałożone na silniejszych graczy przez słabszych.

Drugi rodzaj systemu to porządek całkowicie amoralny. Znacznie gorszy – bo jeśli nie uprawiamy już nawet hipokryzji, to znaczy, że nie mamy żadnej potrzeby udawania. Nie zależy nam na wizerunku, nie jest naszym celem pokazywanie się w oczach innych w korzystnym świetle. Najsilniejsi gracze w tej grze nie bronią żadnych standardów, bo ich w ogóle nie uznają, nawet deklaratywnie.

W ten sposób działa Donald Trump, który nie udaje, że jest kimś lepszym niż w rzeczywistości. To go odróżnia w polityce zagranicznej od poprzedników. Działając amoralnie, Trump skutecznie pozbawia narzędzi inne państwa, które przez to nie mają podstaw, żeby domagać się od Stanów Zjednoczonych innego zachowania. Bo niby dlaczego – skoro celem USA nie jest obrona żadnego porządku, wymuszenie konkretnych postaw na innych? Oni robią, co chcą, więc wszyscy inni też mają prawo. Co jest oczywiście szalenie destrukcyjne.

Pamiętajmy też, że hipokryzja nie jest ani wynalazkiem, ani domeną Zachodu. Spójrzmy na Chiny, kraj, który lubi mówić o sobie, że przestrzega prawa międzynarodowego, a jednocześnie całkowicie ignoruje prawo morskie, jest ekspansywny wobec sąsiadów, narusza ich wody terytorialne.

Jeszcze niedawno Chiny organizowały własną wersję Szczytu Państw Demokratycznych, czyli antyautorytarnej inicjatywy Joego Bidena.
– Takich przykładów jest mnóstwo. Moja ojczyzna, Brazylia, też jest potęgą w zakresie hipokryzji odnośnie zmian klimatycznych. Kochamy opowiadać o sobie jako o kraju na pierwszej linii walki z ociepleniem klimatu, bo na naszym terytorium znajduje się większość dżungli amazońskiej. Cały czas ganimy innych za spalanie paliw kopalnych i przestarzałą sieć energetyczną, a sami wiercimy w ziemi i wydobywamy ropę, jakby jutra miało nie być. Odsetek budżetu Brazylii pochodzący z zysków z eksportu surowców naturalnych cały czas rośnie, a jednocześnie narzekamy, kiedy inni robią to samo.

Ale uważam, że lepiej tonąć w hipokryzji niż zmagać się z amoralnością, zwłaszcza jeśli ktoś jest krajem małego lub średniego rozmiaru.

Ta refleksja to właśnie z powodu bycia Brazylijczykiem? Czy perspektywa takiego kraju – regionalnej potęgi aspirującej do globalnej roli, ale też państwa z chybotliwą tradycją demokratyczną, pamięcią dyktatury i autorytaryzmu – też jest naznaczona chęcią przynależności do zachodniego systemu wartości? W myśli idei, że ten system może i jest dalece nieidealny, ale lepiej dla, jeśli znajdziemy się wewnątrz niego, a nie na marginesie?
– Niekoniecznie. Nawiązuje pan do lat 80. i 90., kiedy Brazylia porzucała dyktaturę, stawała się demokracją reprezentatywną, a potem wchodziła w erę globalizacji. Dla Polski to były lata podobnego przełomu – ale u was naznaczone olbrzymim optymizmem i nadzieją. W końcu wyszliście z komunizmu, staliście się wolnorynkową gospodarką, potem przyszło rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej. Z Brazylii ten okres widzieliśmy inaczej.

Studenci stosunków międzynarodowych przychodzą na moje wykłady w Sao Paulo z inną, niezachodnią pamięcią społeczną o tych czasach. W Brazylii nikt nigdy nie będzie bezkrytycznie wychwalał pod niebiosa lat 90. czy 2000. jako triumfu wolnego handlu i globalizacji pod parasolem USA. Dla większości z nas to były czasy ogromnych nierówności materialnych, powszechnej przemocy, rozkapryszonych Stanów Zjednoczonych, które robiły, co chciały w Afganistanie, w Iraku, w Jemenie, w Palestynie – lista jest naprawdę długa.

Warto byłoby, żeby Europejczycy zdali sobie z tego sprawę, bo zrozumienie innych, pozaeuropejskich perspektyw będzie kluczowe dla stworzenia jakiejś nowej wersji porządku międzynarodowego. On już nie będzie europocentryczny, bo taki być nie może, Europa nie ma tylu przewag konkurencyjnych i takiej siły.

Tymczasem od europejskich przywódców można usłyszeć głównie tęsknotę za starym systemem, który z ich punktu widzenia był idealny, gdyż – jak im się zdaje – mogliśmy wtedy wszyscy aspirować do jakiegoś uniwersalnego zestawu zasad. Otóż nie, nie wszyscy do niego aspirowali już wtedy. Nie jest tak, że byliśmy na drodze do utopii, tylko przyszli konkretni ludzie, Trump, Putin i Xi Jinping i nas z tej drogi zepchnęli.

Problem z takim myśleniem jest zasadniczy – ono implikuje, że wystarczy wyeliminować tych przywódców z równania i wszystko wróci na właściwe tory. Czyli Trump odejdzie i Ameryka stanie się na powrót ostoją wolności. Otóż nie, nie stanie się. I już nie będzie tak, że mała koalicja kilkunastu państw północnego Atlantyku stworzy podstawy systemu obowiązującego wszystkich.

Mnie bardziej martwi, czy jakiś nowy system, niechby inny, jest możliwy. Premier Kanady sugeruje merkantylny, pragmatyczny sojusz średnich potęg jako przeciwwagę dla największych. Prezydent Finlandii Alexander Stubb chce robić to samo, ale z komponentem moralnym. Ceniony analityk i szef Europejskiej Rady Stosunków Zagranicznych Mark Leonard uważa, że nie będzie nowego porządku, tylko chaos, bo każdy chce już czego innego. A Jennifer Lind, badaczka autorytaryzmów z Harvardu – że są i będą tylko dwa bieguny, amerykański i chiński.
– Pan tak naprawdę pyta o przyszłość uniwersalizmów. A uniwersalne wartości mają to do siebie, że często na papierze wyglądają tak samo, lecz w praktyce oznaczają różne rzeczy i wywodzą się z różnych tradycji.

Zróbmy sobie ćwiczenie z udziałem arbitralnie wybranej grupy krajów. Polska, Niemcy, Indonezja, Filipiny, Indie, Meksyk, Brazylia, Republika Południowej Afryki. Teoretycznie to wszystko demokracje konstytucyjne, prawda? Ale ich porządki konstytucyjne się różnią, są zbudowane na innych wartościach. Te europejskie są znacznie bardziej bezosobowe, technokratyczne i skoncentrowane na prawach jednostki.

Co musi się stać, żeby Europa zrozumiała, że jej pozycja względem krajów i obszarów, o które zabiega, jest znacznie słabsza niż kilkanaście lat temu, o powojniu nie mówiąc? Że Indie, kraje panamerykańskiego Mercosuru, państwa azjatyckie – one wszystkie patrzą na Europę inaczej.
– Europejczycy przynajmniej już zaczynają zdawać sobie sprawę z konieczności odejścia od syjamskiej relacji z USA, a za tym siłą rzeczy pójdzie dywersyfikacja partnerstw i źródeł surowców. Mnie martwi, że żyjecie iluzją odnośnie innej sprawy, która dla ludzi spoza waszego kontynentu jest całkowicie oczywista.

Dla polityków czy dyplomatów z Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji nie ma żadnej wątpliwości, że nadejdzie moment – i to szybciej, niż wam się wydaje – w którym Europa będzie musiała usiąść do stołu negocjacyjnego z Rosją. W tej czy innej formie, z jednym wysłannikiem czy za pośrednictwem Unii – to nie ma znaczenia, ale jakoś z Rosją zaczniecie rozmawiać. To oczywiste, bo wam zależy na stabilności Ukrainy po wojnie, a nie ma scenariusza, w którym Ukraina pozostaje wolna i suwerenna, a Europa nie rozmawia z Rosją. Jeśli nie prowadzicie w Europie poważnej rozmowy na ten temat, jeśli nie macie scenariuszy na „dzień po" – to żyjecie iluzją, co źle się skończy.

To jeden problem, który widać spoza waszego kontynentu. Drugim są zmiany strukturalne wynikające z reorientacji w zakresie obronności. Polska, Niemcy, ale też inne kraje wydają teraz na zbrojenia bardzo dużo pieniędzy. To musi się skończyć nowymi napięciami w Europie, może nawet nowymi liniami podziału.

Nie mówiąc o tym, że zmienia się globalna percepcja Europy. Jeśli Emmanuel Macron mówi o rozszerzeniu francuskiego parasola

Znaleźliśmy się w układzie przypominającym wczesne lata XX wieku. Dużo potęg, starych i aspirujących, które rywalizują. Nie jest tak, że nie ma już zasad. Przeciwnie – jest ich bardzo wiele, coraz więcej. A w związku z tym trwa rywalizacja na interpretacje i kontrinterpretacje

eprasa.pl 46280ae095

nuklearnego, nieuchronnie ryzykuje, że wywoła efekt domina: inne kraje też zaczną myśleć o własnej broni jądrowej.

Chodzi mi o to, że Europa, czyli miejsce, z którego wywodziły się te uniwersalistyczne wartości multilateralizmu i poszanowania suwerenności, musi pojąć, że działa w środowisku, które staje się znacznie bardziej chaotyczne i nieprzewidywalne – również przez to, co robią sami Europejczycy. Bo owszem, świat jest coraz bardziej podzielony, ale Europa też już nie jest monolitem.

Na czym w takim razie powinna polegać współpraca Unii Europejskiej z innymi częściami świata? W ubiegłym roku politolog z RPA powiedział mi, że kraje afrykańskie jak najbardziej chcą systemu opartego na przejrzystych, przewidywalnych zasadach. Z tą różnicą, że nie mogą to być już zasady powojenne, bo one dla Afryki nie były ani korzystne, ani uczciwe.

– Na tak zwanym Globalnym Południu dominuje chęć zawierania bezpośrednich kontaktów z Unią Europejską. Na pewno nie dochodzi do żadnego odrzucenia Europy, krytyki na wszystkich frontach – ale zmieniło się pojmowanie waszego kontynentu. Naprawdę, świat już wie, że jesteście wewnętrznie podzieleni, że boicie się Rosji i że nie możecie już liczyć na amerykański parasol.

Co więcej, świat nie patrzy już na was jako na ostoję liberalizmu. Widzimy, że siły antyliberalne są bardzo silne w Europie, że mogą niedługo przejąć kontrolę nad najważniejszymi państwami na kontynencie. Chociażby z tego powodu ciężko brać na poważne te opowieści o europejskich wartościach, które chcecie rozprzestrzeniać na całym świecie. Gdyby antyliberalne siły przejęły władzę w Hiszpanii, Francji, Niemczech czy w Polsce – a w każdym przypadku to realne – to Europa zacznie przesuwać się w kierunku, którego nie oglądaliśmy od 80 lat.

Ale czy to nie dowód na tak cenioną przez pana hipokryzję? Mówimy o liberalizmie, chcemy go u innych, a sami jesteśmy wobec niego sceptyczni. Niech inni nam to wypominają, a wtedy się zawstydzimy i ogarniemy – o to przecież chodzi, prawda?

– Problem w tym, że tworzy się zaklęty krąg. Wskutek dryfu w kierunku antyliberalizmu, stajecie się systemami politycznymi, które są coraz bardziej zamknięte – a wtedy wytykanie wam błędów z zewnątrz jest mało skuteczne, bo autorytaryzm jest z definicji zamknięty na jakąkolwiek krytykę.

Jeśli skończyła się epoka, w której Europa mogła eksportować wartości, to czy w ogóle powinniśmy szukać wspólnego mianownika? Tak twierdzi Alexander Stubb, który propozycję Carneya z Davos uzupełnia o komponent moralny. „Realizm oparty na wartościach" – to jego propozycja dla świata.

– To nie jest realistyczna propozycja. Nie uda się znaleźć wspólnego zrozumienia, ram interpretacyjnych dla takich rzeczy, jak wartości społeczne tej czy innej kultury.

Zresztą od wystąpienia Carneya minęło kilka miesięcy i już wiemy, że z jego planu nic nie będzie. Choćby dlatego, że on sam sobie przeczy – chce budować sojusz średnich potęg, po czym publicznie chwali amerykańską agresję na Iran. A przecież średnie potęgi miały ograniczać awanturnictwo supermocarstw, a nie je wspierać.

A sama Europa spaliła bardzo dużo kapitału politycznego w świecie, milcząc w sprawie Gazy, więc nie wiem, na jakiej podstawie europejscy przywódcy w typie Stubba myślą, że mogą z Globalnym Południem zbudować wspólne zasady moralne.

Życie iluzją. Politycy i dyplomaci z Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji nie mają wątpliwości, że szybciej niż później nadejdzie moment, kiedy Europa będzie musiała usiąść do stołu z Rosją

Czyli jesteśmy skazani na chaos.

– Nowy porządek wyłania się tylko wtedy, gdy pojawia się lider, który zdefiniuje jego zasady, ale będzie też w stanie je chronić i karać tych, którzy je naruszają. Właśnie tak świat jednobiegunowy regulował – zostawiam na boku, na dobre czy na złe – Henry Kissinger. Problem w tym, że dzisiaj takiego lidera nie ma. Amerykanie nie są już zainteresowani globalnym przywództwem, a są zainteresowani czymś poza sobą, to przyspieszeniem rozkładu poprzedniego systemu, gdyż czerpią korzyści z bieżącej niestabilności.

I tu pojawia się przykre pytanie: czy to tylko kwestia bieżącej administracji? Nie, bo nawet jeśli w Białym Domu w następnej kadencji pojawi się ktoś, kto zechce zbudować nowe ramy porządku światowego, to nie będzie w stanie. USA mają ograniczone zdolności militarne i finansowe względem szczytu swej potęgi ostatnich dekad, a jednocześnie reszta świata wybija się na niezależność.

Zasoby, żeby być hegemonem, mają Chiny, ale one nie są i nie będą zainteresowane taką rolą. A nawet jeśli są – bo chińska duma rośnie – ale Xi jest świadom, że wejście w buty hegemona natychmiast wywołała ogromny sprzeciw w wielu punktach globu, a to niekorzystne dla chińskiej strategii gospodarczej.

A jak w tym wszystkim widzi pan rolę swojego kraju? W Polsce w ostatnich latach modne stało się pojęcie „demokracji walczącej". Jesteśmy w erze postpopulizmu i odkrywamy, że powrót do porządku konstytucyjnego „sprzed" takiej czy innej deformacji ustroju okazuje się trudny. Tymczasem Brazylia skutecznie stawia się Trumpowi, nie boi się jego ceł, nakłada kary na Elona Muska, zamyka reakcjonistę Jaira Bolsonaro w więzieniu. Skąd wasza siła w obronie demokracji?

– Bolsonaro jako prezydent popełnił jeden, ale poważny błąd – wydał wojnę Sądowi Najwyższemu. Chciał przeforsować prawo, które pozwalałoby na impeachment pojedynczych sędziów, przez co wygenerował opór z ich strony. Niechcący zjednoczył całe środowisko sędziowskie przeciwko sobie.

Ale ta historia nie jest wcale taka czarno-biała, jednoznacznie pozytywna. To jest ten sam Sąd Najwyższy, który wcześniej z powodów tak naprawdę politycznych najpierw zamknął, a potem wypuścił na wolność socjalistę Lulę. Uwolnili go, żeby walczył z Bolsonaro, gdy ten zaczął być dla nich większym zagrożeniem.

Sąd Najwyższy jest strasznie upolityczniony, to państwo w państwie i dla elektoratu prawicowego to stanowi olbrzymi problem. A mówimy o jednej trzeciej Brazylijczyków, co oznacza, że dalej tak się nie da funkcjonować, bo jeśli dla tak wielu ludzi sąd najwyższy stracił wiarygodności, to już prosta droga do podważenia stabilności i legitymizacji całego porządku konstytucyjnego. I otwierają się drzwi do autorytaryzmu.

W tym roku czekają was wybory prezydenckie. Amerykanie będą się mieszać?

– Nie da się przewidzieć, co zrobi Trump, ale dla ruchu MAGA Brazylia jest bardzo ważna. To duży kraj, w którym można zarobić masę pieniędzy, lecz równie istotny jest też czynnik światopoglądowy i religijny, w tym rozrost kościołów neoprotestanckich. Dlatego w waszyngtońskiej administracji są osoby, które będą chciały się w to mieszać.

Ale są też siły równoważące te tendencje, zwłaszcza biznes. Amerykański biznes nie chce konfliktu z brazylijskim sektorem prywatnym. Nie ma znaczenia, czy prezydentem zostanie znów Lula, czy Bolsonaro junior – chodzi o to, żeby nie było konfliktu.

Brazylia nie jest pod tym względem wyjątkiem, na całym świecie polityka wewnętrzna zaczyna być prowadzona po osi konfliktu sojuszników i zwolenników Trumpa. I nawet jeśli, tak jak u nas, większość ludzi uważa, że Trump jest złym prezydentem USA, to jednocześnie bardzo wielu chciałoby mieć u siebie prezydenta w takim stylu. Silnego, który mówi to, co myśli.

To chyba największy paradoks naszych czasów i jednocześnie dowód na to, że naprawdę wszyscy, w Polsce czy w Brazylii czy gdziekolwiek indziej, żyjemy dzisiaj w erze Donalda Trumpa. ●

Za pomoc w przeprowadzeniu wywiadu dziękujemy Europejskiej Radzie Spraw Zagranicznych (ECFR).



FOT. COMUNI CEBRI

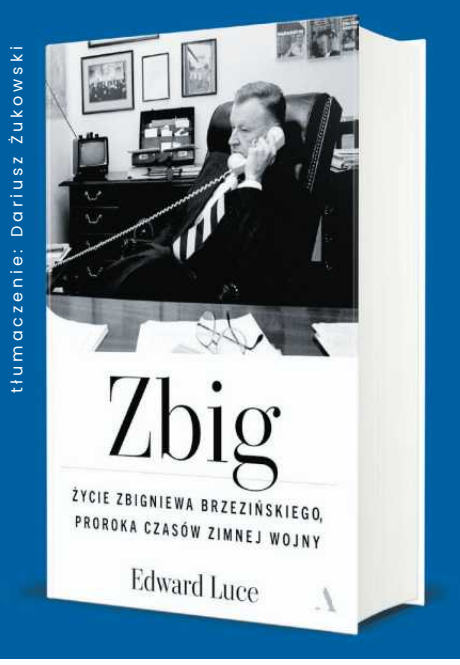
Matias Spektor

• ur. w 1977 r., brazylijski politolog, profesor i założyciel Szkoły Stosunków Międzynarodowych prowadzonej przez Fundação Getulio Vargas w Brazylii. Doktorat uzyskał na Oksfordzie. Specjalizuje się w polityce klimatycznej, przemocy politycznej oraz bezpieczeństwie międzynarodowym. Publikował m.in. w „New York Times", „Foreign Affairs", „Financial Times". Autor książek o polityce zagranicznej Brazylii.

REKLAMA
Kraj/34423354

PORYWAJĄCA BIOGRAFIA NAJBARDZIEJ WPŁYWOWEGO POLAKA W BIAŁYM DOMU.

Opowieść o władzy, polityce i cenie, jaką płaci się za doradzanie najważniejszym światowym przywódcom.



„To nie tylko najpełniejsza biografia kluczowej postaci w historii zimnej wojny, ale również książka oferująca niezwykle trafne spojrzenie na istotę władzy – zwłaszcza na to, jak intelektualna odwaga i dobra wiara ścierają się z brutalną rzeczywistością. Ważna lektura dla każdego, kto chce zrozumieć historię Ameryki i współczesnego świata."
ANNE APPLEBAUM

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP
1 RP

eprasa.pl 46280ae095

WYBORCA PRAWICY CHCE MIEĆ ZNÓW 20 LAT

Europejska przeszłość, za którą tęsknimy, to pułapka, która tylko wygląda jak schronienie.



FOT. GETTY IMAGES

Z **GEORGI GOSPODINOWEM**
ROZMAWIA **AMELIA SARNOWSKA**

Czego dziś boisz się najbardziej?
– Jestem człowiekiem urodzonym w XX wieku. Zawsze wierzyłem, podobnie jak wierzy wciąż wielu ludzi, że Europa jest najlepszym możliwym miejscem do życia. Bogata, pełna wielu różnych kultur, a przez to wielowarstwowa, bogata też dziedzictwem wielkich pisarzy i myślicieli, od antyku aż po współczesność.

Więc to dla mnie rozdzierające, że w tej samej Europie wzbiera znów fala nacjonalizmu. Po tym wszystkim. Po tym, jak zaledwie kilka dekad temu podobna fala rozlała się w czasie II wojny światowej.

Nacjonalizm, populizm – jak to wszystko może wciąż dziś istnieć? W tej pięknej, starej Europie? Chyba to przeraża mnie najbardziej. Bo to by znaczyło tyle, że Rousseau, Seneka, Montaigne, całe to dziedzictwo, które pomagało przez wieki Europę kształtować i rozwijać – że ostatecznie to wszystko nie zadziało tak, jak powinno. Nie ochroniło.

Kto czyta dziś Senekę...
– Dziś nie ma już miejsca na Senekę. Współczesny świat nie premiuje mądrości. Obawiam się, że w dobie Facebooka głos Seneki by po prostu przepadł. Bo to tylko jeden głos. Pojedynczy, więc już przez to słabszy od krzyku wszystkich tych, którzy są dziś najaktywniejsi na platformach społecznościowych.

Seneka nie przebiłby się w świecie, w którym kwestionuje się już każdy autorytet.

Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, kilka lat temu, mówiłeś, że Europa traci swoją pamięć.
– To jeden z największych problemów, z jakim mierzymy się dziś, w dobie populizmu. Współcześni populiści i polityczni dyktatorzy to dilerzy przeszłości. Próbują handlować nią tak, jak dilerzy narkotykami. Kluczowe pytanie, jakie należałoby w tej sytuacji postawić, dotyczy już nie tylko tego, jak tę utraconą pamięć odzyskać – ale jak odzyskać tę prawdziwą.

Nie zapominajmy, że wszyscy oni też bazują na pamięci. Powtarzają: „Jesteście jednym z największych narodów w Europie, dlaczego więc zachowujcie się jak małe państwo?", „Sąsiedzi ograbili was z waszych ziem i pozbawili przynależnych terytoriów". Ta walka polityczna toczy się więc nie o samą przeszłość, lecz o określoną optykę.

Jesteśmy w samym środku wojny. Agresja Rosji na Ukrainę od samego początku była wojną o przeszłość i określoną narrację. Celem Rosji jest nie tylko zajęcie samej Ukrainy, ale też odzyskanie wpływów na tych wszystkich terytoriach, nad którymi panowała w latach 40. i 50., kiedy czuła się supermocarstwem.

W przypadku Ukrainy Rosja forsowała to przekazem, że „Ukraińcy nie są przecież odrębnym narodem".
– „Nie jesteście państwem", „Nie jesteście Ukraińcami". Ten konflikt, jak większość wojen, rozgrywa się o przeszłość. To swoją drogą też bardzo ciekawe: dlaczego akurat teraz ta przeszłość stała się tak ważna?

Skoro populiści są dilerami przeszłości, jak to ująłeś, sama przeszłość jest narkotykiem.
– Znów. I nie bez powodu. Dzieje się tak dlatego, że już w tej chwili tracimy swoją przyszłość. Ideę i wizję tego, czym ta współczesna Europa jest – i czym mogłaby się stać. Stąd nie tylko przyszłość, ale i teraźniejszość są pełne niepewności. I to dlatego coraz bardziej osuwamy się w tę wąsko rozumianą przeszłość. Zarazem biorąc ją za pewnik i traktując jako coś, co nie wymaga już od nas wysiłku czy namysłu.

To wszystko pułapka, która tylko wygląda jak schronienie.

To być może jedno z najtrudniejszych pytań tej rozmowy: który z mitów najbardziej przypomina ci to, co dzieje się dziś w Europie?
– Mit, który szczególnie lubię i który przystaje pod wieloma względami do tego, co obserwujemy dzisiaj, to historia Odyseusza. Uwielbiam „Odyseję" za to, jak wiele wciąż podsuwa pod namysł. Figurę i archetyp ojca, ale też figurę porzuconego syna – skupiamy się zazwyczaj na porzuconej Penelopie, a Telemach padł przecież ofiarą tej samej traumy.

Odyseusz po 20 latach zobaczył znów swój dom. Nasze prywatne historie często okazują się dziś jeszcze smutniejsze niż jego dzieje. My, współcześni, straciliśmy swój dom. Nie tylko w wymiarze osobistym – bo często jesteśmy dziś wszędzie, tylko nie w domu rodzinnym. Takim domem utraconym stała się dziś przede wszystkim Europa.

Straciliśmy ją jako miejsce, do którego chcielibyśmy wracać. Przestaliśmy ją wymyślać na nowo. Przestaliśmy ją opowiadać, marzyć o niej i tworzyć mity na jej temat. A to przecież wciąż to samo miejsce, z którego wyrośli Kafka czy Kundera. Jeszcze w generacji mojego ojca żywe było marzenie o tym, by któregoś dnia móc ją choćby swobodnie odwiedzać. Zobaczyć, jaka naprawdę jest.

Po 1991 roku zaczęliśmy podróżować, ale dość kompulsywnie. Głównie po to, by jak najszerzej zaznaczyć swoją obecność. „Byliśmy tu, byliśmy tam i tam" – więc teoretycznie staliśmy się częścią tego wszystkiego. Ale czy ktokolwiek zastanawia się dziś jeszcze nad tym, jaką częścią?

Zamiast refleksji dostajemy głównie uproszczenia.
– Dawniej podróżowaliśmy, a podróżując, nasiąkaliśmy tym, co podglądaliśmy – z przeświadczeniem, że powinniśmy za tym podążać. Przeglądać się w tym. Teraz tak już nie jest. Liderzy społeczeństw w naszej części Europy coraz częściej kierują się zasadą: „Nie, nie będę zgadzał się z Unią Europejską. Muszę być inny. Jak Orbán czy Fico", a niestety teraz już także jak rząd Bułgarii.

Nasuwa mi się jeszcze jedna analogia z „Odyseją" – kiedy Odyseusz wrócił już do domu, zastał pełno zalotników. Chcę bardzo zwrócić uwagę na to, kim ci ludzie tak naprawdę byli. Nie chodzi o to, że byli obcymi, bo nie ma nic złego w byciu obcym. W przełożeniu na nasze tu i teraz: to byli ludzie, którzy tak naprawdę wcale nie kochali tego domu.

To właśnie ci wszyscy nacjonaliści i współcześni populiści, którym wcale nie zależy na dobru wspólnego domu, jakim jest Europa. Ci ludzie nie kochają Europy. Chcą ją na własność, chcą ją posiąść i nią rządzić. I przez to przypominają najeźdźców.

Którymi sami chętnie straszą.
– Z perspektywy Europy tacy politycy stają się kimś w rodzaju wewnętrznych agresorów. To nie jest grupa intruzów z zewnątrz. To przecież Europejczycy. Z tym że tacy, którzy nie dbają wiele o to, czym jest i czym ta Europa kiedyś się stanie. Mam wrażenie, że nawet jej nie lubią. Stąd trwający w polityce międzynarodowej koncert partykularnych interesów.

Przypomina to trochę rzeczywistość mojego „Schronu przeciwczasowego", w którym kolejne kraje organizują referenda, by zdecydować, do której epoki własnej historii chciałyby powrócić – i według niej urządzić całą współczesność.

> Odyseusz po 20 latach zobaczył swój dom. Nasze prywatne historie – Europejczyków trzeciej dekady XXI wieku – okazują się jeszcze smutniejsze niż jego

1 RP

eprasa.pl 46280ae095

Przyświecająca takiemu myśleniu idea – że żyjemy dziś, teraz, więc powinniśmy urządzać się wszyscy z osobna, w zgodzie z własnym, wąsko pojmowanym interesem – to przeciwieństwo tego, kiedyś przyświecało jednostkom zdolnym do tego, by kreować własną wizję Europy.

Jeden z moich ulubionych motywów „Odysei" to moment ostatecznego rozpoznania przez Penelopę. Testując Odysa, nakazała przenieść ich małżeńskie łoże. Tylko prawdziwy Odys wiedziałby, że jest to niemożliwe: jedna z nóg była wciąż ukorzenionym pniem niegdyś rosnącego tam drzewa. Łóżka nie dało się przenieść czy choćby ruszyć.
– Odyseusz wracał nie tylko do domu, ale też do własnej przeszłości. Co znaczy, że musiał zmierzyć się też z tym, jak został zapamiętany. Penelopa wychodzi z założenia: „Okej, sprawdźmy. Jeśli to pamiętasz, to faktycznie jesteś Odyseuszem". Jego ojciec również go nie rozpoznaje. W oczach wszystkich domowników musiał najpierw zapracować na to, by zostać rozpoznanym. Przywrócić to, jak zapisał się w ich pamięci.

Historia Odyseusza to bardzo osobista historia krążąca wokół przeszłości, ale i wokół tego, co to w ogóle znaczy: mieć dom. Co to znaczy mieć dokąd wracać. No i trochę też zapomnieliśmy dziś, że Odyseusz po powrocie nie zostaje już w tym domu na zawsze.

Ostatnio do mojego rodzinnego miasta przyjechała pewna kobieta, Polka. Spotkała mojego przyjaciela – nie wiedząc, że nim jest – i zapytała, „czy wie, gdzie jest dom Georgiego Gospodinowa". Słuchając o tym, zdałem sobie sprawę, że gdyby mnie ktoś o to zapytał, musiałbym wskazać miejsce, które już nie istnieje. Tego domu po prostu już nie ma. Wiele razy zmieniałem adres, mieszkałem w innych miastach. Co, gdyby teraz ktoś zapytał, gdzie dzisiaj jest mój dom? Nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

Twoje opowiadania traktują o codzienności. O małych historiach, nierzadko pojedynczych wspomnieniach.
– Tego typu opowieści są dla nas ważne, ponieważ pomagają ułożyć rzeczy w określonym porządku. Porządkują to, co nam się przytrafiło. To najważniejsza funkcja. Jeśli uda ci się dobrze opowiedzieć historię, chaos zostaje w pewnym sensie opanowany. Oswojony. Dzięki opowieściom mgła opada. Dlatego opowiadamy je dzieciom każdej nocy przed snem, gdy są małe. By zasnęły przekonane, że wszystko z tym światem jednak w porządku.

Już Szeherezada wiedziała, że długie opowieści nie służą wyłącznie odwlekaniu końca historii. Sama opowiadała nie tylko po to, by odwlec własny koniec: to dzięki słuchaniu jej opowieści sułtan Szachrijar się w niej zako-

Rousseau, Seneka, Montaigne, całe to dziedzictwo, które pomagało przez wieki Europę kształtować i rozwijać – ostatecznie to wszystko nie zadziało tak, jak powinno. Nie ochroniło nas

chał. Historie rozwijają naszą empatię, otwierają na świat. To *soft power*.

A dlaczego małe historie są tak ważne?
– Zauważ, że krótkie historie często niosą w sobie coś wywrotowego. Podważają porządek. Mam co do tego pewność, bo miałem okazję śledzić ten mechanizm.

Wychowywałem się w epoce wielkich narracji. Monumentalnej ideologii, która opierała się na historiach kolektywnych. Komunizm preferował takie, bo dzięki nim łatwiej manipulować ludźmi. Kiedy w świecie historii kolektywnych do głosu zaczynają dochodzić małe, osobiste historie, co do zasady muszą stać się wywrotowe. Podważają. Buntują. Są zalążkiem sprzeciwu i pierwszym głosem oporu. Pozwalają odzyskać przestrzeń w systemie, w którym każda forma prywatności była i zawsze będzie czymś podejrzanym.

Moje opowiadania są krótkie, bo kiedy sam byłem dzieckiem, świat był wciąż zdominowany przez kulturę patriarchalną. A w takim świecie dziecko pozostaje praktycznie niewidzialne.

W Polsce mieliśmy nawet takie powiedzenie: dzieci i ryby głosu nie mają.
– Dla mnie jako dziecka słuchanie dorosłych opowieści było bardzo ważne. Jeśli sam chciałem cokolwiek powiedzieć, musiałem zrobić to bardzo krótko. Komunikat musiał być konkretny i zwięzły, a dziecko miało zniknąć z pola widzenia zaraz po jego przekazaniu. Tak szybko, jak się pojawiło.

Widać trochę cię ten patriarchat jako przyszłego autora zaprawił.
– By w takim świecie przeżyć, pojawiasz się, mówisz krótko – i od razu znikasz. Może dlatego jako pisarz zaczynałem od poezji. Krótki przekaz to w wierszu podstawa. Zwięzłość poezji ma w sobie coś z odwagi.

Twoje „Lapidarium" składało się z bardzo krótkich utworów.
– Wiele z tych wierszy ma zaledwie 2-3 wersy. Zapisywałem je na tyle biletów autobusowych.

Wciąż rozmawiamy o narracji, próbujemy znaleźć wspólną. Tylko co, gdy jest ich kilka? I jedna przeczy drugiej?
– To wielki problem, ponieważ populiści są bardzo sprawnymi *storytellerami*. Narracje, które głoszą, mają przede wszystkim uwieść. To zazwyczaj bardzo proste przekazy, celowo skonstruowane tak, by każdy mógł je zrozumieć. Tego typu narracje niosą zawsze obietnicę, że wielka przeszłość twojego narodu jest na wyciągnięcie ręki.

Ludzie chcą wierzyć, że jeśli tylko wybiorą propagandę, będą dumni i szczęśliwi jak dawniej. Że świat będzie znów taki jak wtedy, gdy mieli po 20 lat. A przecież nikt nie może być znów 20-latkiem. Pewnych rzeczy nie da się odwrócić.

Co innego przeszłość polityczna – ona może okazać się odwracalna. Państwo może stać się na powrót totalitarne. Na tym polega pułapka: gdy dopuścić propagandę do realizacji, szybko okaże się, że zamiast osobistego szczęścia otrzymamy samą powtórkę z historii. I to niekoniecznie w tym wymiarze, na jaki liczyliśmy.

Wracając do twojego pytania: naszym problemem jest zanik komunikacji. Zwykła komunikacja międzyludzka została właściwie zniszczona, bo dzisiejsza polityka żywi się polaryzacją.

A proste odpowiedzi, na jakich najczęściej się opiera, tylko pozornie porządkują świat.
– Dlatego powinniśmy szukać bardziej złożonych, wielowymiarowych prób wyjaśnienia tego, co się dzieje na świecie. Kłaść większy nacisk na historie osobiste. Odzyskać bezpośredni kontakt międzyludzki. Przywrócić umiejętność osobistej rozmowy. To, z czym mierzymy się dzisiaj, ma już niewiele wspólnego z tamtą komunistyczną ideologią, która operowała na wielkich masach ludzi, wykorzystując zbiorowy strach. Obecna propaganda też żeruje głównie na lękach, ale mechanizm jest już inny.

Tamte mechanizmy łatwiej było chyba rozpoznać.
– Dziś doszły nowe narzędzia. Gdy chcąc nie chcąc masz okazję śledzić, jak część twoich znajomych udostępnia treści zdradzające poparcie dla polityki Trumpa, trudno się dziwić, że coraz więcej ludzi przestaje ze sobą rozmawiać. I dochodzi do społecznego rozkładu, który dotyka nawet najmniejsze grupy społeczne. W takiej rzeczywistości kluczowa staje się umiejętność rozpoznawania, kiedy ktoś operuje na takich podziałach celowo, by osiągnąć jakiś efekt. Słowem: zdolność rozpoznawania propagandy.

Zgadzam się, że wcześniej było to łatwiejsze. W latach 70. czy 80. wszyscy byliśmy jej świadomi. Teraz nie jest to oczywiste. Jest taki wiersz Zbigniewa Herberta, „Potęga smaku". Smaku, który „każe wyjść" i „skrzywić się", „wycedzić szyderstwo". To ważne, by taki smak zachować. Dziś może jeszcze ważniejsze niż wtedy. ●



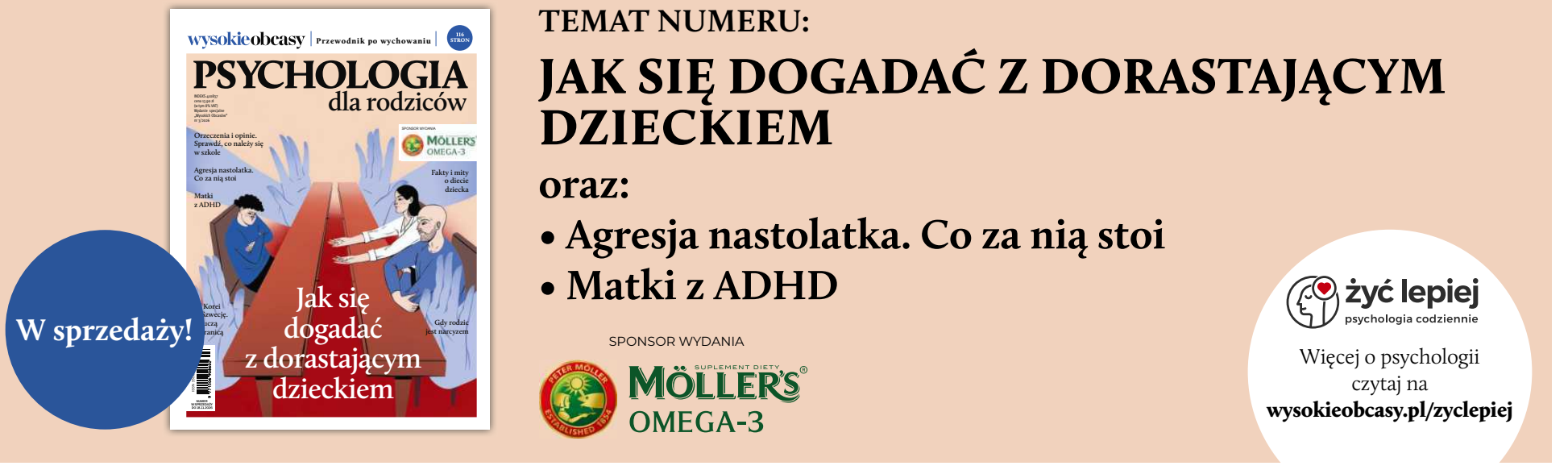
Georgi Gospodinow

• urodzony w 1968 roku, pisarz, poeta, krytyk, pracownik Instytutu Literatury Bułgarskiej Akademii Nauk. Jest najważniejszym obecnie pisarzem bułgarskim. Nagrodzony Angelusem i międzynarodowym Bookerem. Jego najważniejsze powieści to „Fizyka smutku", „Schron przeciwczasowy" i „Ogrodnik i śmierć".

Amelia Sarnowska

• krytyczka literacka, redaktorka, dziennikarka, autorka podcastu „Przed premierą". Absolwentka krytyki literackiej i komparatystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeśli akurat nie czyta, spaceruje po lesie z psem (albo trawi przeczytane na rowerze).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414015



1 RP

eprasa.pl 46280ae095



ZAGINIONA STOPA NA CEGLANEJ ŚCIEŻCE

Stoję na wydmie na Mierzei Kurońskiej i patrzę na Kłajpedę. Port, żółte, zielone, niebieskie portowe dźwigi, hale i niebieska woda Zalewu Kurońskiego, przez który zaraz wrócę promem do miasta. I na mieście na razie się skupię.

Anna Wyrwik

Jestem w Kłajpedzie po raz trzeci i wciąż nie mogę jej geograficznie ogarnąć, jakby składała się z części tak od siebie różnych, że nawet trudno połączyć je ulicami. Jest tu miszmasz stylów i kultur. Zależy, gdzie spojrzysz. Na jednym kadrze masz poniemieckie miasteczko z małymi uliczkami z kocimi łbami, przy których stoją stare kamienice z muru pruskiego. Na innym kadrze – socjalizm, szarość z płyty i surowość. Na jeszcze innym kadrze – nowoczesność, szklane restauracje, odnowione budynki z czerwonej cegły, artystyczne murale.

Czerwona jak cegła

– Eklektyzm architektoniczny Kłajpeda zawdzięcza swojej historii – tłumaczy dr hab. Liutauras Kraniauskas, socjolog z Uniwersytetu w Kłajpedzie. – Są tu postsowieckie bloki, które po wojnie budowano na całej Litwie, więc wszędzie wyglądają podobnie. Ich architektura z pewnością wpłynęła na mentalność ludzi mieszkających w nich od 40 czy 50 lat. W latach 70. wyłoniła się grupa młodych architektów, którzy stopniowo zaczęli włączać czerwoną cegłę do przestrzeni miasta, a konkretnie do budynków użyteczności publicznej, takich jak kina, kawiarnie, pałace ślubne, czy sklepy. To był świadomy wybór. Miał złagodzić monotonię i szarość betonowej architektury, a jednocześnie dostosować nowoczesne budynki do tradycji przedwojennego dziedzictwa architektonicznego regionu.



• Nida na Mierzei Kurońskiej. Chata rybacka zbudowana przez tutejszych rzemieślników latach 20. dla rybaka Martina Purwina. Można ją zwiedzać. Przed domem tradycyjna łódź – dekoracja i symbol dawnej kultury rybackiej

FOT. ANNA WYRWIK

Siedzimy w bistro Raudonų plytų takas (nazwa ta oznacza czerwoną ceglaną ścieżkę), w którym podają IPA z lokalnego browaru. Jesteśmy na starym mieście i z okien widzimy historię.

Kłajpeda jest najstarszym miastem Litwy, o którym po raz pierwszy wspomniano w 1252 r. w Kronice Memelburga. Tak nazywał się zamek, który zbudowali tu Krzyżacy.

Według legendy obecna nazwa wywodzi się z historii dwóch braci, Elniasa i Vilkasa (Jelenia i Wilka), którzy szukali nowego miejsca dla swojego plemienia znad rzeki Akmeny. Ujrzeli morze i udali się w jego kierunku, ale na drodze stanęła im wielka, błotnista ka-

eprasa.pl 46280ae095



Okolice Kłajpedy, Zalewu Kurońskiego i Mierzei Kurońskiej





• **Odlana z brązu rzeźba Czarnego Ducha wynurza się z fosy przy moście łączącym port z miastem. Według legendy z XVI w. ukazywał się on strażnikowi tutejszego zamku i kazał mieszkańcom gromadzić zapasy przed nadchodzącym głodem**
FOT. SHUTTERSTOCK

• **Port i nabrzeże Dange, marina jachtowa oraz pozostałości zamku krzyżackiego. Kłajpeda to jedyne litewskie miasto portowe nad Bałtykiem. W tle zalesiona Mierzeja Kurońska**
FOT. SHUTTERSTOCK

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

łuża. Postanowi ją pokonać na dwa różne sposoby, ale tylko jednemu z nich się udło. Elnias wiele dni szukał Vilkasa, ale znalazł tylko ślady stóp w bagnie. *Pėda* to po litewsku „stopa", a słowo *klai* pochodzi od *klaidziota*, co oznacza „zaginiony". Obecna nazwa miasta pierwszy raz pojawiła się w liście napisanym przez Wielkiego Księcia Litewskiego Witolda w 1413 r.

Kłajpeda była niemiecka, polska, sowiecka, jest litewska, a my siedzimy w bistro na starym mieście i z okien to wszystko widzimy.

Z II połowy XX w. mieszkańcy pamiętają typowe sowieckie miasto, ze starymi autobusami, mieszkaniami, na które trzeba było czekać latami, i dużą liczbą robotników portowych, przyjeżdżających tu z całego kraju.

– W Kłajpedzie było dużo hoteli robotniczych. W latach 90. po odzyskaniu przez Litwę niepodległości przemysł upadł i wielu ludzi straciło pracę. Hotele robotnicze stały się konglomeratem zubożałych grup społecznych, w których rządziły alkohol i narkotyki, i których mieszkańcy zaczęli sobie radzić, popełniając przestępstwa – mówi Kraniauskas.

Kłajpeda lat 90. była miastem bezrobocia, grup przestępczych, szybkich biznesów i ucieczki na przedmieścia tych, których tylko było na to stać.

– Marzenie klasy średniej o ucieczce z miejskiego bloku do własnego domu poza miastem jest charakterystyczne dla wielu europejskich miast – mówi Kraniauskas. – Wielu młodych wyprowadziło się na przedmieścia, a w mieście zostali starsi, przywiązani do swoich mieszkań.

Miasto się kurczy

„W 1990 r. w granicach administracyjnych miasta mieszkało prawie 205 tys. ludzi. Do tego czasu, kiedy Litwa była republiką w ramach Związku Radzieckiego, Kłajpeda rzeczywiście rozrastała się w rekordowym tempie (52 tys. [mieszkańców] w 1939 r., 203 tys. w 1989 r.)" – czytamy w artykule Vasilijusa Safronovsa, historyka z Instytutu Historii i Archeologii Regionu Bałtyckiego Uniwersytetu w Kownie, zamieszczonym na lokalnym portalu Atvira Klaipėda.

Dalej czytamy, że podczas gdy w 1992 r. w mieście mieszkało 207,1 tys. ludzi, to w 2001 r. było ich już 193 tys., w 2011 r. – 162,4 tys., a w 2021 r. – 152 tys. „Największy spadek nastąpił w II dekadzie niepodległości: w latach 1991-2001 liczba ludności miasta zmniejszyła się o 7 proc., w latach 2001-2011 – o 6 proc." – pisze Safronovs.

– W ciągu trzech dekad po 1990 r. Kłajpeda skurczyła się o jedną czwartą – mówi Martynas Vainorius, lokalny dziennikarz, założyciel i redaktor naczelny Atvira Klaipėda, z którym spotykam się w kawiarni Cremia na Placu Teatralnym.

Z artykułu Safronovsa wynika, że w samych tylko latach 2001-2011 ok. 8,5 tys. mieszkańców Kłajpedy przeprowadziło się do innych miejsc okręgu kłajpedzkiego.

Zrobił tak również Vainorius.

– Mieszkam pół kilometra od Kłajpedy, ale formalnie nie mieszkam w Kłajpedzie – mówi. – Jest jednak blisko i można szybko dojechać, bo mamy bardzo dobry transport publiczny.

Miasto portowe, miasto wielokulturowe, miasto liberalne

– Kłajpeda to typowe miasto 15-minutowe – kontynuuje Vainorius. – W Wilnie czy Kownie ludzie stoją w korkach. Tu nie ma takiego problemu.

Podobnie jak Wilno i Kowno, Kłajpeda się zmienia. Inwestorzy budują nowe mieszkania, unijne euro finansują miejską infrastrukturę, remonty starych kamienic, teatru, budowę basenu czy hali sportowej Švyturio Arena.

Pytam dziennikarza, jaki jest pomysł na to miasto.

– Kłajpeda to lokalne miasto portowe – mówi Vainorius. – Oczywiście chcielibyśmy być miastem turystycznym, ale myślę, że nie ma takiej możliwości. W mieście jest tylko kilka miejsc z dostępem do wody, czyli Zalewu Kurońskiego, bo tak to wszędzie jest port. Poza tym wprawdzie najbliższe lotnisko jest 30 km stąd, ale jest tam niewiele połączeń.

Lotnisko w Połądze (lit.Palandze) jest połączone bezpośrednio z Rygą, Londynem, Kopenhagą, dwoma miastami w Norwegii i drogimi lotami z Amsterdamem. Widać, że są to trasy nastawione bardziej na przemieszczanie się łotewskich emigrantów niż turystów z innych części Europy.

Wielu turystów, głównie Niemców, przypływa statkami wycieczkowymi, ale oni pospacerują po mieście i na te statki wracają, więc nie zostawiają w Kłajpedzie wielu pieniędzy. Inni przyjeżdżają tu na chwilę w drodze na Mierzeję Kurońską albo do Połągi. Przejdą po starym mieście, zjedzą cepeliny w jednej z restauracji położonych nad rzeką Dangą, nakręcą filmik

eprasa.pl 46280ae095



• **Mierzeja Kurońska i jej Park Narodowy słyną z ogromnych ruchomych wydm oraz lasów sosnowych. Długość: 98 km ale 50 km znajduje się na Litwie, a reszta w obwodzie królewieckim (Rosja)** FOT. SHUTTERSTOCK

podczas otwierania lub zamykania XIX-wiecznego mostu obrotowego z ręcznym mechanizmem, zrobią zdjęcie odlanego z brązu przy moście Czarnego Ducha z XVI-wiecznej legendy, w której ukazywał się on strażnikowi zamku... I to by było na tyle.

Pytanie o pomysł na Kłajpedę zadaję też Kraniauskasowi.

– W latach 90. władze miasta chciały przekształcić je z miasta robotniczego i przemysłowego w miasto kultury. Była mowa o mieście wielokulturowym, bo przecież prócz Litwinów żyje tu wiele grup etnicznych: Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Białorusini, Niemcy. Kiedyś mówiło się, że Kłajpeda powinna być jak Amsterdam. Tyle że obecnie mam wrażenie, że jest bardziej miastem z mentalnością małego miasteczka.

Według statystyk w latach 2021-25 populacja miasta wróciła do liczby z 2001 r. i wynosi obecnie ok.160 tys. mieszkańców. W Polsce Kłajpeda znalazłaby się w trzeciej dziesiątce najludniejszych miast, gdzieś między Olsztynem, Gliwicami i Bielsko-Białą a Zabrzem i Bytomiem. W Litwie jest na miejscu trzecim.

Natomiast według większości moich rozmówców jest na miejscu pierwszym wśród miast najbardziej liberalnych.

– Po II wojnie światowej miasto było prawie puste, a później zaczęli tu emigrować ludzie z różnych stron i powstała elastyczna społeczność bez jasnych struktur społecznych – tłumaczy Kraniauskas. – W Wilnie czy Kownie liczy się status społeczny i pochodzenie. Tutaj nie mają one znaczenia. Jest mniej reguł i rytuałów, za to więcej luzu i otwartości na innych.

Jest to też cecha miast portowych. Chodźmy do portu.

Klub nocny i hangar na łodzie

– Przestrzeń jest ogromna, więc umówiliśmy się z Litewskim Stowarzyszeniem Łodzi Tradycyjnych i Historycznych oraz z Litewskim Muzeum Morza, że przez pół sezonu, od października do maja, będziemy tu przechowywać łodzie. Wczoraj był dzień wodowania. Co tu się działo!

Kipras Paldauskas pokazuje mi na telefonie filmiki, na których drewniane łodzie są wywożone z hangaru.

Znajdujemy się w klubie muzycznym Herkus Kantas, w kłajpedzkim porcie, niedaleko rzeźby Romualdasa Kvintasa „Pocałunek", przedstawiającej dziewczynę ślącą pocałunek w stronę wody.

Przestrzeń faktycznie jest ogromna, a sufit wysoki. Po prawej stronie od wejścia znajduje się bar, stanowiący jakby osobne pomieszczenie za szkłem, z dywanem, starymi meblami i elementami wystroju nawiązującymi do portu i żeglugi. Po lewej stronie jest scena, na której trwa próba zespołu. Dalej ciągnie się hangar, pusty, bo już bez łodzi, ale z muralami



• **Drewniane wiatrowskazy to symbole Mierzei Kurońskiej. Kiedyś służyły do oznaczania łodzi rybackich i były umieszczane na masztach. Teraz są ozdobą krajobrazu** FOT. SHUTTERSTOCK

na ścianach, gdzie z boku stoją: stół do ping-ponga i stół do piłkarzyków. Jest też druga, mniejsza scena koncertowa. Większa pomieści 300 widzów.

Paldauskas przyjechał do Kłajpedy w latach 90. na studia na tutejszym uniwersytecie. Jest zapalonym żeglarzem, w Kłajpedzie do dziś najbardziej ceni sobie wiatr. Przez wiele lat organizował regaty i imprezy żeglarskie. Na lądzie mu jednak czegoś brakowało – miejsca, gdzie może spotkać się ze znajomi i posłuchać muzyki.

Jeśli idzie o kłajpedzkie knajpy, są one jak to miasto, czyli zależy gdzie wycelować kadr obiektywu.

Są cukierkowe kawiarnie i turystyczne restauracje. Jest bar najbardziej znanego litewskiego browaru Švyturys o loftowym rozmachu z lokalnymi daniami w menu, w tym *duona su česnaku*, czyli smażonymi chlebkami z czosnkiem, ale też ich wariacjami.

Jest Leika, ciemny dive bar z wnętrzem ozdobionym postmodernistycznymi kolażami i gadżetami z lat 90., które spokojnie mogłoby zagrać w filmie Quentina Tarantino. Przy oklejonym barze piwo o dive-barowym smaku popijają okoliczni metale.

W jednym z budynków przy rzece znajduje się Rory Pub, czyli coś pomiędzy Litwą a Irlandią. W środku tłum kłębi się niezależnie od dnia tygodnia. Faceci w białych kołnierzykach piją Guinnessa, studentki piją drinki, grupa znajomych zamawia żółto-niebieskie shoty F*CK PUTIN, z głośników lecą rockowe hity lat 70., a wszystkiemu temu przygląda się para niemieckich emerytów, studiująca przy barze mapę okolicy.

Są też kluby w porcie, jak Herkus Kantas, który Paldauskas wraz ze wspólniczką otworzył 15 lat temu.

– Nie wiedzieliśmy nic o prowadzeniu baru – wspomina. – Plan był taki, by stworzyć miejsce, do którego sami chcielibyśmy chodzić.

Zaczynali w innej lokalizacji, ale też w porcie, niedaleko stąd. Trzy lata temu przenieśli się w miejsce, gdzie teraz rozmawiamy, podczas gdy zespół cały czas próbuje na scenie.

My siedzimy w biurze na tyłach hangaru. Dalej są kolejne pomieszczenia, jest warsztat, w którym pracuje lokalny artysta, studio, w którym inny artysta uczy gry na gitarze i nagrywa.

W klubie odbywają się nie tylko koncerty, ale i spektakle teatralne, wykłady, spotkania, warsztaty.

– Herkus Kantas jest miejscem, które współtworzy artystyczną społeczność Kłajpedy – mówi Paldauskas. – Pomagamy artystom, udostępniając im przestrzeń i organizując wydarzenia.

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę"

• **Litwin wykluwa się z cepelina**
W podróż po Litwie zabierze nas gościni Alicji Dąbrowskiej – **Ewa Wołkanowska-Kołodziej,** Polka pochodząca z Wilna, fotografka i reporterka, autorka książki „Wilno. Rodzinna historia smaków".

„Miasto to coś więcej niż szkło, cegły i budynki."
Idę spotkać się z jednym z najbardziej znanych, a na pewno z najbardziej szalonym artystą z Kłajpedy, Benasem Šarką.

Jest reżyserem, aktorem, performerem. W 1991 r. założył w Kłajpedzie Teatr Gliukai.

Mówi o publiczności, która przychodzi zobaczyć, co artysta próbuje stworzyć, a on próbuje stworzyć iluzję szczęścia i opowiedzieć o niej bez słów.

Siedzimy w jego mieszkaniu w starej kamienicy. Z okien po jednej stronie widać Plac Teatralny, a po drugiej – pusty plac przygotowany pod budowę hotelu. Taka metafora. Mieszkanie wygląda, jakby Šarka od wielu lat niespecjalnie zwracał na nie uwagę. Na jasnych ścianach w przedpokoju wiszą obrazy, kuchnia też jest jasna i minimalistyczna, jak z lat 80., kilka szafek, mała umywalka, stół, na nim popielniczka, kubek, szklanka, czajnik, żółte róże.

Šarka ubrany jest w granatowy kombinezon z garniturowego materiału, na nosie ma okulary w czarnych, grubych oprawkach, w dłoni zapalonego skręta. Chodzi po pomieszczeniu, opowiadając o inspiracjach Tadeuszem Kantorem, Jerzym Grotowskim, Krystianem Lupą. Odgarnia szarą czuprynę roztrzepanych włosów i zatrzymuje się na „Malowanym ptaku" Jerzego Kosińskiego, o którym pewnie mógłby mówić kilka dni.

O swym teatrze nie chce mówić, bo woli mówić o filozofii

– Bez filozofii, bez Platona, Sokratesa, Heraklita nie moglibyśmy niczego zrozumieć – tłumaczy. – Niezależnie od tego, gdzie się urodziłeś, w Szwecji, we Włoszech, w Rumunii czy na Litwie, zawsze jest tak samo. Mamy jedną podstawę i jest nią starożytna grecka filozofia.

Co kilka zdań wtrąca też komentarz polityczny, krytykę Donalda Trumpa, Władimira Putina albo ogólnie całej sytuacji na arenie międzynarodowej. Mówi, że w każdy kraju jest taki mały Trump i mały Putin.

Po praktyczne informacje odnośnie do swojej twórczości Šarka odsyła mnie do stron internetowych. Czytam na nich, że stworzył kilkadziesiąt sztuk teatralnych i performance'ów. Czytam, że brał udział w międzynarodowych festiwalach teatralnych i artystycznych. W kwietniu tego roku na „Butohpolis" – Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Butoh w Warszawie zaprezentował performance „Przez", inspirowany dramatem „Król Lear" Williama Szekspira.

„Benas Šarka jest jedną z czołowych postaci sztuki niezależnej na Litwie, działającą na styku teatru, tańca współczesnego i performansu" – piszą organizatorzy festiwalu. – „(...) odważnie, a nieraz i ryzykownie łączy elementy performansu, tańca i teatru jarmarcznego w jedną całość". Dalej czytamy: „Według reżysera i wykonawcy, człowiek nie zmienił się od tysięcy lat, dlatego próbuje opowiadać o nim bez słów, poprzez ruch – językiem ciała i duszy, czerpiąc ze spuścizny (w jego przypadku fińskiej i litewskiej) oraz mitycznej pamięci dawnych kultur. W swoich performansach ukazuje sprzeczności tkwiące w człowieku: delikatność i brutalność, miłość i nienawiść. Wyraża je za pomocą różnych środków: żelaza, piór, futra, liny i lnianego płótna. W spektaklu ważna jest też muzyka, która pobudza wyobraźnię odbiorców".

Gdy pytam o Kłajpedę, Šarka opowiada, jak jego babcia przyjeżdżała do miasta, by sprzedawać warzywa na targu. Ale tak to unika konkretów, bo uważa, że miasto to coś więcej niż szkło, cegły i budynki. To ludzie. To człowiek. A człowiek wychodzi poza swoje miejsce. Dla Šarki wszystko się łączy, to, co jest na zewnątrz, z tym, co jest wewnątrz, dlatego potrafi odnaleźć się wszędzie.

Wychodzimy z kamienicy, by zrobić zdjęcie. Šarka wybiera na nie pień po starym drzewie, które rosło w miejscu, gdzie będą budować hotel.

– Ludzie lubią dziś bardziej pieniądze niż książki. Niestety – mówi mi na odchodne.
– Kultura zaczyna się od tego, jak postępujesz

eprasa.pl 46280ae095

▶ Benas Šarka. Reżyser, aktor, performer. W 1991 r. założył w Kłajpedzie Teatr Gliukai. Ważna postać litewskiej sztuki niezależnej

z drugim człowiekiem i jak on postępuje z tobą. Nie od słów. Fundamentem jest działanie.

Piaszczyste plaże i Kapelusz Holendra

Wielu mieszkańców Kłajpedy za największy walor swego miasta uważa bliskość morza. Jeśli idzie o plażę, to np. 20 minut jedzie się do Karklė, gdzie znajduje się Olando Kepurė, czyli Kapelusz Holendra, ponad 20-metrowy klif. Jest to teren Nadmorskiego Parku Regionalnego z pięknymi naturalnymi lasami.

Można też jechać dalej, do Połągi, najbardziej znanego kurortu nadmorskiego na Litwie. To opcja dla tych, którym nie przeszkadzają tłumy. Jednak dla tych, którzy w wakacje dają radę nad polskim morzem, Połąga może się wydać dość spokojną opcją.

Jest też Mierzeja Kurońska, która w 2000 r. została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

– To moje ulubione miejsce w okolicy – mówi Vainorius.

Można się tam dostać promem. Płaci się 23,30 euro za samochód osobowy, płynie kilka minut, a potem trzeba podjąć decyzję: w prawo, w lewo czy na wprost.

Skręcając w prawo, dojedziemy do miasta Smiltynė, do którego dopłynąć też można promem dla pieszych. Dalej jest Delfinarium i Litewskie Muzeum Morza. Jadąc na wprost, trafimy na piękną, szeroką plażę Smiltynė. Jadąc w lewo, dostaniemy się do Parku Narodowego Mierzei Kurońskiej – wjazd 10 euro, chyba że ktoś jedzie elektrykiem, to zero.

Droga przez park jest filmowa, zacieniona przez las. Po jednej stronie Zalew Kuroński po drugiej – piaszczyste plaże. Można nią dojechać do Pervalki, Neringi i Nidy.

Do Rosji dojechać nie można, a przynajmniej nie można legalnie, bo na drodze stoi znak „stop" i biało-czerwone ograniczniki.

Dom Tomasza Manna

Wszystko tu jest pod kątem prostym, uporządkowane, przystrzyżone, w dopasowanych kolorach i bez cukrowej waty. Klimat dla niemieckich emerytów, których zresztą widzę, wysiadających z kampera.

I dla niemieckich pisarzy. W latach 1930-32 w Nidzie regularnie bywał Tomasz Mann, laureat Literackiej Nagrody Nobla, autor









FOT. ANNA WYRWIK (4)

▲ Kipras Paldauskas przyjechał do Kłajpedy na studia w latach 90. Razem ze wspólniczką 15 lat temu otworzył w porcie klub muzyczny Herkus Kantas

▲ Martynas Vainorius, lokalny dziennikarz, założyciel i redaktor naczelny portalu Atvira Klaipėda mówi, że miasto się wyludnia i po 1990 r. skurczyło się o jedną czwartą

m.in. powieści „Buddenbrookowie", „Śmierć w Wenecji", „Czarodziejska góra" i „Doktor Faustus".

„Latem 1929 roku Tomasz Mann i jego żona Katia, którzy po raz pierwszy odwiedzili Nidę, zostali, jak sam pisarz wspominał, «pochwyceni nieopisaną wyjątkowością i pięknem tamtejszej przyrody, fantastycznym światem wędrujących wydm» i szybko postanowili «nabyć tu stałe miejsce zamieszkania».

W 1930 roku w Nidzie, na wzgórzu Uošves (Wzgórze Teściowej), wybudowano letni dom w stylu kłajpedzkim, według projektu kłajpedzkiego architekta Herberta Reissmanna, w którym pisarz Tomasz Mann i jego rodzina trzykrotnie spędzili lato".

Dziś w domu jest muzeum z wystawą poświęconą życiu i twórczości Manna, częścią z meblami i regałami z jego książkami na półkach oraz organizowanym co roku festiwalem literackim.

Chata rybaka i wiatrowskazy

W Nidzie jest wakacyjnie, ale bez kiczu. Choć wiadomo, że są restauracje i hotele, Inn, SPA, bary ze „steak house" i „sangrita" w nazwie, stragany z magnesami i breloczkami. Jeden z lokalsów prowadzi chatę rybaka. Tablica informuje, że została ona zbudowana w latach

• Dr hab. Liutauras Kraniauskas, socjolog z Uniwersytetu w Kłajpedzie, mówi, że projektowanie budynków publicznych z czerwonej cegły, miało ożywić postsowiecką szarzyznę

20. przez tutejszych rzemieślników dla rybaka Martina Purwina. W 1944 r. Purwin, jak większość ludzi stąd, przeprowadził się z rodziną do Niemiec. W środku chaty jest kilka starych mebli i przedmiotów, w kasie pocztówki za euro, a w przed domem stara łódź. Jest w typie must be w każdym z tego rodzaju miejsc.

Przed chatą znajdują się symbole Mierzei Kurońskiej – kolorowe, drewniane wiatrowskazy. Kiedyś służyły do oznaczania i ozdabiania łodzi rybackich. Kiedyś, czyli konkretnie od 26 czerwca 1844 r., kiedy to rybacy zostali zobowiązani do umieszczania wiatrowskazów na masztach.

Wiatrowskazy były podzielone na części i były opowieścią o ich właścicielach. Jedna z części przedstawiała symbole żywiołów (księżyc, słońce czy strzały i pióra jako symbol wiatru), inna dom właściciela statku, jeszcze inna symbole religijne, które miały chronić rybaka. Na wiatrowskazie rybak mógł umieścić, co mu dusza podpowiadała, zwierzęta, rośliny, informacje o swojej łodzi czy o swojej rodzinie, żonie i liczbie dzieci. Do tego każdy wiatrowskaz zawierał herb osady i przymocowaną na końcu materiałową chorągiewkę.

Wiatrowskazy są teraz wszędzie, także przy parkingu, na którym zostawiam samochód, by udać się na wydmę i popatrzeć na Kłajpedę.

Jaki kolor ma Kłajpeda?

Widzę dźwigi portowe, wodę, prom w oddali, stoję, patrzę na to miasto i zastanawiam się, jaki ma kolor.

Liutauras Kraniauskas uważa, że jest to czerwień, kolor cegły. Martynas Vainorius widzi tu dwa kolory – niebieski jak woda i morze oraz zielony jak las pełen sosen. Dla Kiprasa Paldauskasa Kłajpeda też jest niebieska, jak morze, a czasem jak nastrój mieszkańców, ponieważ są tu długie i deszczowe zimy, więc ludzie są smutni i niebiescy. Benas Šarka mówi, że Kłajpeda jest zdecydowanie czerwona jak cegła.

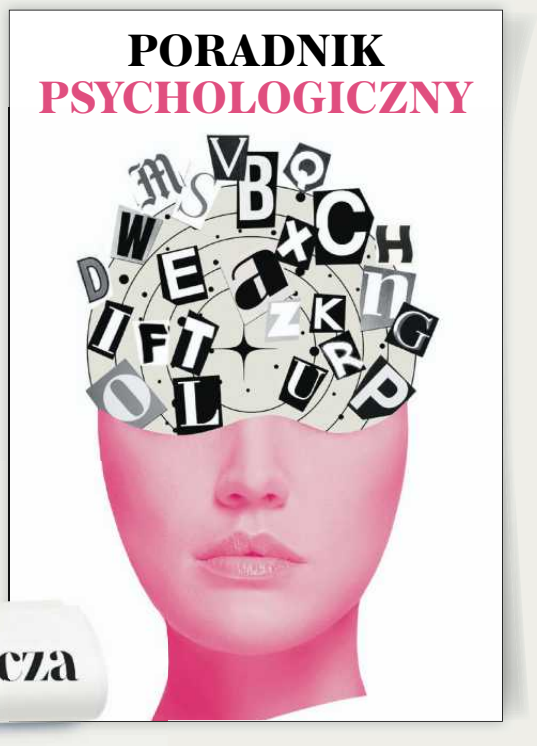
Ja wciąż nie wiem, jaki Kłajpeda ma kolor, ale na pewno wiem, jaki ma dźwięk, i jest to dźwięk portu, dźwięk blachy, stukania młotem, cofania się ciężarówki i przelatujących nad statkami mew. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

PORADNIK PSYCHOLOGICZNY
Ekspertki odpowiadają Czytelnikom

- Czy wspólne wakacje mogą stać się formą przemocy ekonomicznej?
- Czy w związku naprawdę ktoś musi „nosić spodnie", żeby wszystko działało?
- Czy komentowanie czyjegoś ciała może być formą przemocy emocjonalnej?



1 RP

eprasa.pl 46280ae095

KULTURA OBYCZAJE



Mam anegdotę na temat swojej popularności. **Mogę opowiedzieć?**

Z **MACIEJEM SIEMBIEDĄ** ROZMAWIA **DOROTA KARAŚ**
ZDJĘCIE **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

Jak zfakenewsa wypłynął sum

eprasa.pl 46280ae095

Literacka uczta z „Gustawem”

Roman Imielski

Publikować nowelę w odcinkach? Poczytnego polskiego pisarza? Przecież to szalony pomysł z dawnej epoki, w stylu Bolesława Prusa i jego „Lalki”! Właśnie rozpoczynamy taki fascynujący projekt z Maciejem Siembiedą w roli głównej. Dziś oddajemy Wam, w druku i w serwisie Wyborcza.pl, pierwszą część noweli Macieja Siembiedy „Gustaw”. W sumie będzie siedem odcinków, na przemian w soboty i środy, aż do 12 września.

To niesamowita opowieść o II wojnie światowej i przemianach, jakie dotknęły dużą część dzisiejszej Polski po 1945 r.

Historia zaczyna się w czasach III Rzeszy, kiedy wieś Weissdorf znika pod wodą. Potem na Opolszczyznę przychodzą Rosjanie, następnie już polskie państwo, ludzie przenoszą się do Kolonii, a los Gustawa Kremsera, przyjaciela głównego bohatera noweli, jest zagadką.

Więcej oczywiście nie będę ujawniał, sami Państwo przeczytacie. Jestem przekonany, że będzie to prawdziwa gratka nie tylko dla fanów pisarza znanego z „Katharsis” czy „Gołoborza”. A dla części miłośników twórczości Macieja Siembiedy „Gustaw” i snuta przez autora opowieść może być ciekawym zaskoczeniem.

I tu wrócę do Bolesława Prusa i „Lalki”. We wrześniu zobaczymy aż dwie ekranizacje tej wielkiej powieści – serialową i fabularną. Ale przecież pamiętamy, że Prus „Lalkę” publikował na łamach „Kuriera Codziennego” przez półtora roku, w odcinkach. Zaczął 29 września 1887 r., a więc niedługo będziemy obchodzić kolejną rocznicę.

W „Wyborczej” zawsze mocno promowaliśmy i promujemy dobrą literaturę. Zawsze mocno promowaliśmy i promujemy czytelnictwo. Dlatego tak bardzo cieszę się na publikację „Gustawa” Macieja Siembiedy właśnie u nas.

Jestem przekonany, że nie będą Państwo zawiedzeni. I że będziecie czekać z niecierpliwością na soboty i środy.

Ja też już nie mogę doczekać się tych publikacji i opinii naszych Czytelniczek i Czytelników.

wyborcza.pl

- **Nowela Macieja Siembiedy „Gustaw” w odcinkach w „Gazecie Wyborczej” i na wyborcza.pl!** To część najnowszej książki pisarza pt. **„Gustaw i Gadająca żaba”** (Wydawnictwo Agora). **Premiera książki 23 września.** Też w formie e-booka i audiobooka (czyta Mariusz Bonaszewski) od **12 września na Publio.pl.**



Kolejne 6 odcinków w Wyborczej i na wyborcza.pl
- 26.08 środa
- 29.08 sobota
- 02.09 środa
- 05.09 sobota
- 09.09 środa
- 12.09 sobota

W ostatnim kryminale prawie uśmiercił pan głównego bohatera cyklu Jakuba Kanię. Za co pan go tak nie lubi?
– Lubię Kanię, ale kojarzy mi się z jakimś fatum. Zawsze kiedy myślę o zamknięciu tej serii, pojawia się idealna zagadka dla niego. A ja chciałbym już powoli pożegnać się z tym cyklem i pisać rzeczy głębsze, ambitniejsze. Wygląda jednak na to, że Jakub Kania będzie żył wiecznie.

Skąd takie przekonanie?
– Stąd, że mam zapłacone nie tylko za książki, które już są, ale również za te, które będą. Poza tym skupiłem prawa do filmowania moich kryminałów, których wcześniej pozbyłem się lekką ręką, i nawiązałem współpracę z firmą producencką Aurum. Mają teraz wyłączność na kupowanie praw do kolejnych części cyklu o Jakubie Kani.

Do tego trafiłem ostatnio na historię idealną dla Kuby. Chodzi jak zwykle o skarb. W dodatku tu, gdzie rozmawiamy, w Sopocie.

Trudno sobie wyobrazić, że jest jeszcze w Sopocie jakiś nieodkryty skarb.
– Zapewniam, że jest. Jest to skarb cenniejszy może nawet niż zaginiony Rafael. Został skradziony w czasie wojny. Historia jest kompletnie zaskakująca. Więcej na razie nie zdradzę.

Historia zatopionej wioski z opowiadania „Gustaw” też zdarzyła się naprawdę?
– Zawsze opieram się na prawdziwych historiach, bo mam niedoczynność wyobraźni.

Pod Opolem leży wioska Turawa, koło której znajduje się duży zbiornik retencyjny zbudowany przed II wojną światową. Niemieccy hydrolodzy stwierdzili, że to idealne miejsce na postawienie tamy przeciwpowodziowej i małej elektrowni wodnej.

Problem w tym, że znajdowała się tam wieś. Niemcy postanowili ją zalać, ale obiecali mieszkańcom, że zbudują im piękne osiedle domów. W tym miejscu powstał ogromny zbiornik, który nazywał się Hitler See. Legenda głosi, że wieś znalazła się pod wodą w całości, razem z ulicami, domami, kościołem i remizą.

Działa na wyobraźnię.
– Łowiłem na tym zbiorniku ze starymi Ślązakami. To było najlepsze jezioro sandaczowe w Polsce. Wyciągali przy mnie ogromne sztuki, mi nie udawało się niczego złowić.

Autochtoni tłumaczyli mi: „To dlatego, że ryby tutaj mieszkają w domach”.

Żyłki i błystki zaczepiały się o zatopione budynki. Miejscowi wiedzieli, którędy szła ulica, i wyciągali wielkie sandacze.

O sumie mieszkającym w kościele Ślązacy też opowiadali?
– Z sumem była inna historia. Pracowałem wtedy w „Trybunie Opolskiej”. Było lato, sezon ogórkowy. Trzeba było znaleźć jakiś temat, bo sprzedaż spadała.

Koledzy stworzyli nieistniejącą reporterkę. Nazwali ją Dagmara Owczarek. Kolega miał sukę o imieniu Daga, która była owczarkiem. Dagmara była wszędobylska, miała ostre pióro i najlepsze tematy, nawet prezydent Opola chciał się z nią spotkać.

Wymyśliliśmy tekst o olbrzymim sumie pływającym w Zalewie Turawskim. Zrobiliśmy z tego cały serial reporterski. Pisaliśmy o porwanym przez suma jamniku, kaczkach znikających pod wodą, o wędkarzu, którego ryba ciągnęła pontonem w tę i nazad.

Zrobiliśmy nawet wywiad z ichtiologiem, który opowiadał, że sumy mogą ważyć do 150 kilogramów i żyć kilkadziesiąt lat. Grzaliśmy ten temat przez całe lato. Pod wszystkim podpisana była oczywiście Dagmara.

Nikt się nie zorientował, że robicie czytelników w balona?
– Pod koniec lata pojechaliśmy do Turawy, zorganizowaliśmy ognisko dla czytelników i przyznaliśmy się, że wyssaliśmy to wszystko z palca.

Przyznaliście się do stworzenia fake newsa!
– Chyba nawet ja to ogłosiłem. Na to wstał jeden z autochtonów: „Co ty pierdolisz, ja tego suma widziałem!”.

W Turawie nie chcieli już prawdy. Kupili legendę. Z tego wziął się „Gustaw”.

Dużo ma pan takich historii w zanadrzu?
– Jestem jak babcia, która ma swoje pudełko ze zdjęciami i co jakiś czas je przegląda. Raz się przy tym wzruszy, raz ucieszy, a raz zaskoczy, bo przypomni sobie jakąś ciekawą historię.

Tylko zamiast pudełka ze zdjęciami mam notesy. W czasach reporterskich nigdy nie nagrywałem, za to wszystko notowałem: plotki, opowieści, legendy miejskie, rzeczy do sprawdzenia.

Krzysztof Kąkolewski, wielki reporter, pod koniec swojej kariery opublikował „Dziennik tematów”. Pożegnał się w nim z pomysłami na teksty, których nie napisał.

Notował na przykład: „Pod Kielcami mieszka człowiek, który zaszczepia gruszki na wierzbie”. Albo: „Skazany na dożywocie prosi o rewizję i zmianę wyroku na karę śmierci”.
– Kąkolewski puścił pomysły w eter, do internetu wyobraźni. Ja robię to samo, tylko sam opracowuję tematy i pokazuję w gotowej formie czytelnikom. W moich notatkach czasem znajduję temat, który uniesie całą książkę, czasem historię na wątek poboczny.

To źródełko, które nie wysycha?
– Notesów jest siedem. Przypuszczam, że do końca życia nie wykorzystam pomysłów i historii, które w nich zapisałem.

„Gustaw” będzie publikowany w „Wyborczej” w odcinkach. To nawiązanie do wielkich pisarzy XIX-wiecznych, którzy tak pisali swoje dzieła: Dumasa, Prusa, Sienkiewicza?
– Na pewno będzie to ciekawy eksperyment.

Czytelnicy kojarzą Siembiedę z kryminałami i sensacyjnymi powieściami historycznymi. Do jakiego gatunku należy „Gustaw”?
– Wszystkie moje książki to po prostu opowieści. „Gustaw” nie jest kryminałem. Jest jedną z czterech historii, które zamierzam wydać w przyszłym roku, na dziesięciolecie mojej beletrystyki.

Do pięćdziesięciolecia twórczości pisarskiej już pewnie nie dożyję, więc postanowiłem świętować jubileusz wcześniej.

Wszystkie cztery historie jak zwykle będą oparte na faktach. Druga opowieść ma tytuł „Gadająca żaba”, akcja rozgrywa się w Trójmieście w czasach „Solidarności”. Bohaterem jest cinkciarz, który sprzedał kilka tysięcy dolarów ludziom z opozycji, nie wiedząc, kim są. Więcej nie powiem, żeby nie spojlerować.

Sukces „Gołoborza” zachęcił pana, żeby odstawić kryminał na boczny tor i zająć się ambitniejszymi opowieściami?
– To jest kwestia rozmiaru blejtramu. Jeśli mam do odmalowania przygodę kryminalną Jakuba Kani, zmieszczę ją na płótnie wielkości metr na metr. Jeśli pracuję nad panoramą, jak w „Katharsis” czy „Gołoborzu”, blejtram musi być większy.

Dobrze się czuję w dużych rozmiarach. Nie za bardzo lubię za to tworzyć bohaterów. Proszę zwrócić uwagę, że w obu tych powieściach nie ma protagonisty.

Może to jest pokrętna odpowiedź na pytanie o Kanię.

Czytając „Gołoborze”, miałam niedosyt wyrazistych postaci kobiecych.
– Być może rzeczywiście należało je mocniej podkreślić. Zwłaszcza że w Świętokrzyskim, w moich rodzinnych stronach, nie brakuje silnych kobiet. Nie zetknąłem się natomiast z przemocą wobec nich.

Moja babcia stamtąd pochodzi. Była niepełnosprawną panną, bez szans na męża. Poślubił ją wdowiec z piątką dzieci. Razem mieli jeszcze siedmioro.
– Kobiety miały tam bardzo ciężkie życie, pracowały na równi z facetami. Kiedy mężowie walili wódę, na ich głowie były całe gospodarstwa. Ale nie pamiętam, żeby ktoś się nad nimi znęcał. Bito dzieci, to na pewno. Żon raczej nie.

Postaram się, żeby kobiet było więcej w kolejnej kieleckiej powieści, nad którą właśnie pracuję.

„Gołoborze” świetnie się sprzedało, zostało obsypane nagrodami, docenione przez krytyków i nominowane do Nike. Nie obawia się pan, że trudno będzie to przebić?
– Nie powiem, że mnie to nie stresuje. Zdaję sobie sprawę, że w pewnym momencie nie przeskoczę już poprzeczki, którą sobie zawiesiłem. Ale przynajmniej, przejdę pod nią z podniesioną głową.

Z drugiej strony nie chciałbym odnosić co rok sukcesu.

Czy to nie jest odpowiedź asekuracyjna?
– Taka sytuacja prowadzi do przesytu. Mam teorię, że na każdego autora przypada określony zasób energii. Gdy wyda udaną książkę, jest podziwiany i chwalony, zużywa więcej energii. Przy następnej może się okazać, że wszystkie kilodżule zostały już wyczerpane.

Oczywiście że myślę o tym, jak zostaną przyjęte moje kolejne książki. Ale nie mogę się tym martwić, bo wpadnę w zupełnie obcy mi klimat. Ja lubię się dobrze bawić przy pisaniu.

Przy której części pisania najlepiej się pan bawi?
– Przy zbieraniu materiału. Nie oddałbym nikomu researchu.

Pisanie nie jest dobrą zabawą?
– Pisanie jest dobrą zabawą, gdy mam wenę. Są dni, kiedy napiszę jakieś zdanie i sam się dziwię, jak mądry jestem. Gdybym siadł i nakazał sobie, że dziś napiszę jakąś złotą myśl albo coś zabawnego, nie zrobiłbym tego. Ale czasem, gdy jestem umysłowo wygimnastykowany, nagle coś fajnego przychodzi.

Lubię pisać i pracować nad tekstem, choć wielu pisarzy uważa to za masochizm. Nie wkurza mnie redakcja. Ale zanim oddam książkę redaktorowi, sam bardzo dużo zmieniam. Czytam na przykład na głos.

Słyszałam, że psu.
– Zgadza się. Dużo wtedy słyszę. Lubię wracać do tego, co napisałem wczoraj. Nawet jak człowiek kończy pisać zadowolony z siebie, to rano na ogół to samozadowolenie mija. Czasem wystarczy poprawić jedno

Maciej Siembieda

- Dziennikarz i pisarz. Autor m.in. cyklu kryminalnego, którego bohaterem jest Jakub Kania, i sagi sensacyjnej „Katharsis”, „Nemezis”, „Kairos”. Trzykrotny laureat Nagrody Wielkiego Kalibru i sześciokrotny finalista plebiscytu Książka Roku portalu lubimyczytac.pl. Powieść „Gołoborze” została nominowana w 2026 r. do Nagrody Literackiej „Nike”.

eprasa.pl 46280ae095

zdanko albo słówko. Czasem scenę albo dialog. Zawsze coś znajdę.

Nadal pisze pan ręcznie?
– Wtedy, kiedy mam syndrom pustej kartki i pisanie mi nie idzie. Czasem dochodzę do ściany, mogę wtedy przesiedzieć przed ekranem cały dzień i albo niczego nie wymyślę, albo napiszę i wyrzucę. Przy pisaniu ręcznym tak nie mam.

To zresztą naukowo udowodnione. Posługiwanie się kartką i długopisem uruchamia inny rodzaj neuroprzekaźników niż stukanie w klawiaturę. Podobno ten sam co przy seksie.

Po ładnych kilku dekadach pracy dziennikarskiej i dziesięciu latach pisania powieści stał się pan jednym z najpopularniejszych pisarzy w Polsce. Jakie są tego zalety?
– Bardzo lubię spotkania z czytelnikami. Często właśnie podczas nich trafiam na tematy, które wykorzystuję potem w książkach. Tak było z „Wotum", „Sobowtórem" i „Upiorem".

Na każdym z takich spotkań ludzie dopowiadają też historie, które opisałem. Nie mam szans zrobić ich ciągu dalszego, ale bardzo mnie to kręci. Każda z moich książek dzięki temu o coś się wzbogaciła.

A wady?
– Mam swoje lata, zmęczony jestem. W ostatnim czasie odwiedziłem sto bibliotek. Spotkanie w Kotlinie Kłodzkiej jest przesympatyczne, ale dla mnie to dwa dni w podróży i godzinka rozmowy z ludźmi.

Mam anegdotę na temat swojej popularności. Mogę opowiedzieć?

Proszę bardzo.
– Brałem udział w festiwalu literackim w Zurychu z Wojtkiem Chmielarzem i Kasią Puzyńską. Prowadząca zapytała o rozpoznawalność. Wojtek powiedział, że czasem ludzie zaczepiają go na ulicy, w sklepie, nawet jak biega w lesie i zadają pytanie: „Przepraszam, czy pan Chmielarz?".

No a jeśli chodzi o mnie, to absolutnie przysięgam, że nigdy w życiu mi się nie zdarzyło, żeby ktoś podszedł do mnie w miejscu publicznym i zapytał: „Przepraszam, czy pan Chmielarz?".

Pisarska sława jest fajna, ale tak naprawdę to nie autorzy powinni być popularni, lecz książki. Zawsze bronię tej tezy na spotkaniach, a gdy ktoś próbuje z nią walczyć, to pytam: „Kto z państwa czytał »Greka Zorbę«? A kto pamięta nazwisko autora?".

Na czym panu jako pisarzowi zależy?
– Na tłumaczeniach moich książek. Wiosną w Niemczech ukazało się „Katharsis", zostało bardzo dobrze przyjęte. „Gołoborze" ukaże się w Czechach i na Litwie.

Zemsta, honor, zdrada, rozliczenie z przeszłością – to tematy, które powracają w pana książkach. Mało w nich miłości.
– Słabo się na niej znam, to fakt. Poza tym nie chcę traktować miłości handlowo. Ale przyznaję, że to nośny temat. Gdyby Cameron zrobił film tylko o zatonięciu „Titanica", bez historii miłosnej, w której zagrali Kate Winslet i Leonardo DiCaprio, nie osiągnąłby takiego sukcesu.

Zawsze opieram się na prawdziwych historiach, bo mam niedoczynność wyobraźni

Gdyby pisał pan powieść dziejącą się w latach 20. XXI wieku, wokół jakich konfliktów rozgrywałaby się akcja?
– Nie chciałbym pisać takiej książki. Historia, której jestem świadkiem od momentu dojrzałości do dziś, jest dość paskudna i mało budująca. Wszystko, co było piękne, zostało w dramatyczny sposób spieprzone. Nie chcę być tego piewcą.

W Polsce trwa dyskusja na temat zarobków pisarzy. Po jednej stronie mamy Unię Literacką i postulat wprowadzenia minimalnego wynagrodzenia od każdego egzemplarza książki. Po drugiej – głosy takie jak Krzysztofa Vargi, który uważa, że mamy zbyt dużo pisarzy. Jakie jest pana zdanie?
– Gdy Glapiński zaczął drukować pieniądze, w Polsce zaczęła rosnąć inflacja. Na rynku wydawniczym literatury gatunkowej, popularnej dzieje się dziś podobnie. To zjawisko psuje rynek i frustruje autorów. Znam pisarzy, którzy zarabiają po 80 groszy od egzemplarza kryminału. Proszę sobie wyliczyć, ile wynosi wtedy stawka godzinowa za pracę.

Rząd Irlandii wychodzi z założenia, że kultura przynosi państwu korzyści, i wprowadza właśnie pionierski program, w ramach którego dwa tysiące artystów dostawać będzie przez trzy lata gwarantowany dochód. Do programu zakwalifikuje się jednak ograniczona liczba twórców.
– Zbudowanie sprawiedliwego systemu jest szalenie trudne. Podobnie jak zniesienie lig w twórczości czy w sporcie. Żaden menedżer piłki nożnej nie zgodziłby się na coś takiego, bo wie, ile osób przyjdzie na mecz LZS Chrząstawa z LZS Pierwoszyno, a ile na Legię Warszawa i Lecha Poznań. Ligi tworzą się w sposób naturalny, jeśli piłkarze grają dobrze, mają co pokazać, kibice będą chcieli ich oglądać. W pisarstwie jest podobnie.

Zaraz podniosą się głosy oburzenia, że w polskiej pisarskiej Ekstraklasie gra Remigiusz Mróz. Ale ja podziwiam jego pomysł na życie i umiejętność zarobienia na swojej twórczości.

Chodzi nie o to, żeby każdy pisarz w Polsce zarabiał tyle co Mróz, ale żeby debiutująca poetka z Chrząstawy nie dostawała 80 groszy za sprzedany tomik.
– Ze swojej pracy żyje dobrze dziś w Polsce około 1 proc. pisarzy. Żyjemy w czasach wolnego rynku, a ten jest bezwzględny. Dotychczasowe dyskusje i pomysły zmierzają do tego, żeby z tego brutalnego faceta z twardą ręką zrobić łagodnego, sprawiedliwego i miękkiego misia. Czy to się uda? Nie jestem optymistą. ●

OGŁOSZENIE
Kraj/34446209



MACIEJ Gu

ODCINEK 1

Joachim Schymura od początku czuł, że to będzie dziwna apokalipsa.

Zupełnie inna od tej biblijnej, w której słychać trzask łamanych pieczęci, a potem głosy bestii i złowieszczy tętent Jeźdźców, paskudnych typów, z których najgorszy był Czwarty. Na koniu trupio bladym, a imię jego to Śmierć. I otchłań podążała za nim.

Nic z tych rzeczy.

Apokalipsa, która czekała spokojną śląską wieś Weissdorf, nie była dla nikogo zaskoczeniem. Miała w końcu wyznaczoną datę i godzinę i nikt z jej powodu nie trząsł portkami.

Ogłoszono ją pół roku wcześniej na afiszach, które wisiały na tablicy parafialnej, drzwiach domu zebrań ludowych, płocie sołtysa i w tak wielu innych miejscach, że nie szło ich przeoczyć. A nawet gdyby, to i tak o zagładzie Weissdorfu wkrótce mówili już wszyscy.

Tubylcy pogrążeni w zadumie na ławkach przed chałupami. Przyjezdni kręcący się po wsi, żeby okazyjnie kupić coś z dobytku, który miała pochłonąć otchłań. Dzieci, co jeszcze wszystkiego nie rozumiały, i starcy, co już nie rozumieli. Niemiecka nauczycielka, polski kowal i śląski proboszcz. Fojerman od pożarów, które już się nie zdarzą. Rzeźnik i brieftrager przynoszący ostatnie listy. Chichoczące panienki i strapione wdowy po żołnierzach poległych na wojnie za cesarza Wilhelma. Wiejskie parobki od pasania krów i czterej miejscowi młodzieńcy z Hitlerjugend maszerujący w podkutych trzewikach jedyną brukowaną ulicą wsi skazanej na śmierć.

Apokalipsę zapowiadała martwa cisza, która wieczorami zapadała w Weissdorfie, i megafony skrzeczące za dnia zapowiedź tego, co nieuchronne.

●

Achim wyszedł z domu, trzymając w ręku pajdę chleba polaną ciepłą wodą z czajnika i posypaną cukrem. Pchnął furtkę i po chwili znalazł się na łące pokrywającej wzgórze Schymurów jak zielony dywan, który w Weissdorfie kładziono na ołtarz polowy w Boże Ciało.

Usiadł na trawie, ugryzł pierwszy kęs i spojrzał na wieś leżącą u jego stóp.

Od kiedy sięgał pamięcią, oglądanie Weissdorfu było jego ulubioną rozrywką. W mig wiedział wszystko, co dzieje się na dole. Kto robi pranie, a kogo czeka ważna uroczystość, bo sposobi się zabić wieprzka. Która dzioucha prowadza się z nowym kawalerem i czyj synek coś przeskrobał, bo kazali mu narąbać drewna. Komu przecieka dach, a komu udały się pomidory. Kto wybiera się do miasta, bo pompuje dętki w rowerze, a kto na tamten świat, skoro drepcze do niego farosz spowity dymem kadzidła bujanego przez ministranta.

Achim był w kinie ledwo raz, ale ze szkoły już wiedział, jak robią filmy, i tu, na wzgórzu Schymurów, czuł się, jakby sam był kamerą, której nie umknie żaden ruch i obraz.

Za bajtla leżał plackiem na brzuchu, żuł źdźbło trawy i patrzył. Ale teraz, gdy miał już dziesięć lat, siadał jak dorosły, podciągając nogawki spodni, żeby nie wypchać ich w kolanach.

eprasa.pl 46280ae095

SIEMBIEDA *staw*



Obejrzał wieś i przeniósł wzrok za południową stronę wzgórza, gdzie szykowała się apokalipsa.

Jeźdźców było nie czterech, tylko ze czterdziestu. Dosiadali nie koni, ale potworów, które wyły i ryczały jak opętane. Buldożery na gąsienicach przepychały hałdy piachu, jakby to były dziecinne babki na plaży. Koparki z furią gryzły ziemię żelaznymi szczękami, chcąc chyba dobrać się do samego piekła, a dźwigi o nieludzkiej mocy unosiły bloki betonu na parenaście metrów.

Na południe od wzgórza Schymurów budowano tamę, która raz na zawsze zmieni porządek tutejszego świata. Zatrzyma rzekę Wstęgę, snującą się po okolicy, i skieruje ją do niewielkiej hydroelektrowni, a potem do sztucznego jeziora, które w razie powodzi przyjmie nadmiar wody i ulży sąsiedniemu miastu. Inżynierowie nazywali to Stausee, zbiornikiem retencyjnym, a z ich map, wykresów i obliczeń wynikało jedno: sztuczne jezioro powinno znaleźć się dokładnie tu, gdzie teraz był Weissdorf.

●

Dziesiątki razy widział w wyobraźni, jak Wstęga wdziera się do wsi.

Rozlewa się po ulicach, topi sady, wybija okna i wyważa drzwi. Panoszy się w domach i obejmuje władzę w budynkach urzędowych. Zabiera wszystko, co zdoła unieść.

Zatopił się w myślach tak głęboko, że dopiero w ostatniej chwili usłyszał, że ktoś nadchodzi od północnej strony wzgórza, niewidoczny dzięki rosnącym tam krzakom.

Gustaw. Jego jedyny kolega. Wyższy o głowę, barczysty, silny jak spychacz na budowie tamy.

Achim z żalem zerknął na chleb z cukrem. Było jeść – pomyślał – a nie gapić się na Weissdorf.

– Daj ugryźć – zagadnął Gustaw, siadając tuż obok, jakby łąka była widownią kina.

Achim bez słowa podał mu kromkę, która już do niego nie wróciła. Gustaw potrzebował na nią kilku morderczych kłapnięć swojej kwadratowej szczęki. Jak koparka gotowej unicestwić wszystko, w co można się wgryźć.

Achim nigdy nie protestował.

Od urodzenia był mizerny i trochę pokrzywiony. Dziadek mówił, że nie do końca udał się Panu Bogu. Miał prawą nogę krótszą o parę centymetrów, a oko po tej samej stronie czasami uciekało mu w głąb głowy jak u zepsutej lalki. Dzieci nie tolerowały takich jak on. Przed wyzwiskami i zaczepkami we wsi chroniło Achima wzgórze. A w szkole Gustaw. Nie wiadomo dlaczego uznał ułomka od Schymurów za swojego najlepszego przyjaciela, ale powód nie miał znaczenia. Gustaw nie zaprzątał sobie głowy przyczynami. Skutkami zresztą też nie.

Uchodził za tępego, ale budził powszechny respekt. Każda próba dokuczenia Achimowi mogła się skończyć spotkaniem z pięścią Gustawa, a kiedy zaciskał dłonie, żarty się kończyły. Przekonali się o tym nawet ci z Hitlerjugend, którzy chcieli zwerbować Gustawa do swoich szeregów. Kiedy odmówił, zaczaili się na niego po zmroku. W efekcie Weissdorf przez dwa tygodnie nie słyszał nazistowskich śpiewów i walenia zelówkami w bruk, bo wszyscy czterej junacy Führera ukrywali w domach pokiereszowane gęby.

– Już niedługo, co? – Gustaw przełknął ostatni kęs chleba z cukrem i wskazał budowę tamy ruchem podbródka.

– Yhm – potwierdził niepewnie Achim.

– Namyśliłeś się? Idziesz ze mną?

Obawiał się tego pytania. Gustaw parę tygodni temu wymyślił szalony plan. Oślepiły go złocenia, którymi pokryte były elementy kościelnego ołtarza, kamienne ramy stacji drogi krzyżowej, fragmenty chóru i nisz w bocznych nawach.

– Wszystko zabiorą, ale to zostanie – przekonywał. – Jak ludzie uciekną ze wsi, zakradniemy się do kościoła i odłupiemy złoto. A potem też uciekniemy. Ja zostanę zapaśnikiem w cyrku, a ty moim pomagierem.

– To tylko farba... – Achim próbował studzić jego zapał, ale Gustaw, gdy coś postanowił, był jak pędzący parowóz z kotłem rozgrzanym do czerwoności. Nie do zatrzymania.

– Głupiś! Żadna farba. Widział żeś farbę ze złota? To taka bardzo cienka blaszka. No... Tylko trzeba jej będzie dużo zeskrobać, co by potem przetopić w sztabkę. Ale spokojna głowa, Achim, damy radę. Jak ludzie wyjdą ze wsi, to nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Nie pójdę – odparł cicho Achim.

Gustaw popatrzył na niego swoimi małymi rybimi oczami, w których przez moment błysnął gniew.

– Tak myślałem... – sapnął. Gniew zaraz jednak zgasł. – Ale nie przejmuj się! – Klepnął Achima w plecy, aż ten dostał napadu kaszlu. – Zbiorę tyle złota, że starczy dla nas obu.

Mały Schymura bez przekonania pokiwał głową i blado się uśmiechnął. Od tej chwili naprawdę zaczął się bać.

●

Trzy tygodnie później zajął stanowisko na łące akurat w chwili, gdy w Weissdorfie rozległ się świst batów i ruszyły pierwsze furmanki. Załadowane po brzegi kredensami, krzesłami, siennikami, wiadrami i kuframi z niewiadomą zawartością ruszyły w kierunku przeciwnym do tamy, aby dotrzeć na rozstaje dróg i tam się pożegnać.

Mieszkańcy rozciągnięci w długą kolumnę, pochyleni pod ciężarem plecaków i tobołów zrobionych z prześcieradeł, wyglądali jak pielgrzymka garbusów, którzy wloką się do świętego miejsca z nadzieją na uzdrowienie. Większość dodatkowo niosła walizki lub ciągnęła za ręce zdezorientowane dzieci.

Wielu przesiedleńców miało przed sobą krótki marsz. Niedaleko wsi, za solidnym kamiennym wałem, czekało na nich nowe osiedle, naprędce nazwane Kolonią. Wypełniały je jednakowe domy zbudowane przez władze dla tych, którzy nie chcieli się oddalać. Jednakowe mury, okna, drzwi, dachy, kominy, płoty i ogródki. Stały przy jednakowych ulicach. Wyglądały jak koszary, w których odtąd wszystko będzie na rozkaz.

Ci, którym Kolonia nie przypadła do gustu, mogli wziąć pieniądze i rozpłynąć się w świecie, jak za dwa dni rzeka Wstęga rozpłynie się w sztucznym jeziorze.

Jedni i drudzy docierali do rozstajów i żegnali się zakłopotani lub pocieszali, że teraz będzie lepiej, choć nikt w to nie wierzył. Wielu płakało, ale Achim nie mógł tego widzieć ze wzgórza.

FOT. GETTY IMAGES

Wreszcie zapanowała cisza i z pozoru nie było już na co patrzeć. Widzowie w kinie przychodzą oglądać aktorów, akcję, śmiech, płacz, szczęście i gniew, nie martwą scenografię. Mimo to Achim trwał w napięciu, wypatrując zdarzenia, na które czekał najbardziej. Parokrotnie miał wrażenie, że od ściany któregoś z opuszczonych domów odrywa się cień i biegnie chyłkiem do kościoła, po chwili jednak orientował się, że to złudzenie. Zmowa słońca i wiatru, które postanowiły zakpić z obserwatora, poruszając gałęziami drzew i bezużytecznymi już okiennicami.

Do zmroku Gustaw się nie pojawił.

Tej nocy Achima dręczyły koszmary. Śniło mu się, że razem z Gustawem odłupują złoto z kościelnych ozdób, gdy nagle do głównej nawy wlewa się Wstęga i nie ma już dla nich ratunku. Jeszcze się miotają, woda unosi ich pod sklepienie, pod skrzydła namalowanych tam aniołów, ale aniołowie nie wybaczają świętokradztwa. Jeszcze oddychają, mając nad sobą kilka centymetrów powietrza, potem zachłystują się wodą i toną.

Tuż przed świtem Achim miał wizję, że Gustaw wrócił po niego. Ale to tylko dziadek szarpał go za ramię i sztorcował, że krzyczy przez sen i nie daje pospać starszym.

Zaraz po przebudzeniu, bez śniadania, wypadł na łąkę.

W Weissdorfie coś się działo. Jacyś ludzie chodzili od domu do domu, sprawdzając każdy kąt, piwnice i strychy. Nie pominęli kościoła.

Achim był pewien, że zaraz wyprowadzą stamtąd Gustawa, targając go za uszy i kopiąc w tyłek, ale do niczego takiego nie doszło. Kontrolerzy opuścili świątynię, nawet nie zamykając za sobą drzwi. Gdyby w Kościele Miłosierdzia Bożego był jeszcze Bóg, mógłby swobodnie wyjść.

Ale już go tam nie było. Odjechał na furmance z rozmontowanym ołtarzem, w wygodnym tabernakulum pokrytym złotem, które uniknęło scyzoryka Gustawa.

Achim spędził na łące jeszcze dwie godziny, ale przyjaciel się nie pojawił. Ani na ulicy opuszczonego Weissdorfu, ani w Kolonii, gdzie zamieszkała jego matka, ani nigdzie indziej.

Gustaw przepadł jak kamień w wodzie.

●

Tłusty Oberwachtmeister policji zdjął służbowe czako, po czym kraciastą chustką wytarł czoło i kark, zalane strużkami potu. Spojrzeniem, które na moment straciło surowość, podziękował matce Achima za garnuszek wody i wrócił do przesłuchania.

Achim stał przed nim wyprężony jak struna.

– To dobry chłopak – zapewnił ojciec z drugiego końca kuchni. – Powie wszystko jak na spowiedzi.

– Gadaj – warknął policjant. – Gdzie jest Gustaw Kremser?

– Nie wiem, panie starszy wachmistrzu – odparł Achim.

Grubas rozparty na krześle z dłońmi opartymi o uda odkleił ręce od spodni i uniósł w bezradnym geście.

eprasa.pl 46280ae095

– Miał mówić! – Spojrzał z wyrzutem na ojca.

– Może rzeczywiście nie wie – podpowiedział nieśmiało starszy Schymura i zwrócił się do syna: – Wiesz, Achim, czy nie?

– Nie wiem.

– Przysięgnij na krucyfiks!

Chłopak zawahał się i policjant od razu to wyczuł.

– Wie zasraniec, tylko nie chce powiedzieć.

Ojciec w sekundę zmienił taktykę, kładąc dłoń na pasku.

– Albo zaraz powiesz panu starszemu wachmistrzowi prawdę, albo tak ci spiorę dupę, że przez tydzień nie usiądziesz.

Teraz to Achim się spocił.

Co robić? – myślał gorączkowo. Wyjawić plan przyjaciela? Wezmą nurków z budowy tamy, ci wejdą w skafandrach do zatopionego kościoła i wydobędą nieżywego Gustawa. A wtedy on, Achim, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za to, że nikogo nie uprzedził i nie udaremnił szalonego planu. Ta myśl sparaliżowała go do tego stopnia, że zaczął drżeć.

– Nie mówiłem? – stwierdził z satysfakcją policjant. – Wie dobrze, co się wydarzyło z Kremserem. Nauczycielka twierdziła, że byli kamratami.

Policjant podniósł z krzesła swoje wielorybie cielsko, a ojciec znalazł się tuż przy nim z wyciągniętym do połowy paskiem.

I wtedy w głowie Achima zagrała cyrkowa muzyka towarzysząca występom klownów.

– Powiem... – Na wszelki wypadek cofnął się o krok. – Gustaw chciał uciec do cyrku.

– Gdzie? – spytał osłupiały policjant.

– Do cyrku. – Achim przełknął ślinę. – Jak ludzie opuszczą wieś i nikt się nie zorientuje. On zawsze chciał zostać zapaśnikiem i występować na arenie.

Starszy wachmistrz wymienił z ojcem zaskoczone spojrzenia.

– Prawdą jest – przypomniał sobie policjant – że do bitki to on był pierwszy. Pamiętam, jak stłukł tych czterech z Hitlerjugend. Byłem pewien – wyjaśnił ojcu – że będzie z tego sprawa polityczna, ale tamci nie złożyli skargi.

Pewnie ze wstydu, że jeden gówniarz dał im wszystkim radę. Czyli powiadasz, chłopcze – stróż prawa zmienił ton – że zaginiony Gustaw Kremser uciekł z domu, aby zostać artystą cyrkowym?

Achim ochoczo skinął głową.

– Dasz to na protokół? – upewnił się starszy wachmistrz.

– Tak jest, proszę pana.

– No, to piszemy. – Policjant zrobił krok w stronę kuchennego stołu, na którym położył zeszyt i kopiowy ołówek wyjęte ze skórzanej raportówki. – Moja rola skończona – sapnął. – Niech go szukają po cyrkach.

Tego popołudnia Achim usiadł na łące, ale nie starczyło mu odwagi, aby spojrzeć w wodę. Ocalił siebie, czuł się jednak jak zdrajca. Przez niego Gustaw nie będzie miał chrześcijańskiego pogrzebu, choć pewnie na zawsze pozostanie w kościele. Czy to wystarczy, aby Bóg wskrzesił go przed sądem ostatecznym? I czy Gustaw będzie wtedy ociekał wodą?

Nad sztucznym jeziorem nagle zerwał się wiatr, który przyniósł wspomnienie opowieści dziadka o wasermanach. Najgorszych z demonów, które biorą się z dusz topielców skazanych na wieczne potępienie.

Poczuł lodowaty dreszcz.

Zacisnął powieki, pośpiesznie się przeżegnał, wstał i czym prędzej pobiegł do domu. Był przekonany, że gdyby się odwrócił, ujrzałby wynurzającą się z wody siną postać Gustawa, który zdążył zamienić się w upiora.

●

Kolejne lato po zalaniu wsi niosło ze sobą błogi spokój. Ojciec Achima dostał podwyżkę w zakładach drzewnych grafa von Gröbena, który wspaniałomyślnie odstąpił gminie część swojej ziemi, aby można było zbudować na niej Kolonię dla przesiedleńców.

Schymurów stać było teraz na używany motocykl z przyczepą i ojciec czasami zabierał Achima na przejażdżki po okolicy. Najczęściej wybierali się na ryby. Ludzie z Kolonii chętnie łowili je tuż za nowo wybudowaną zaporą, gdzie były najłatwiejszym łupem, ale starszy Schymura tego nie pochwalał. Jeździł kilka kilometrów dalej, w miejsce, w którym Wstęga przepływała przez niewysoki zagajnik, tworząc malownicze zakole. W szuwarach stały tam spore szczupaki, każdy pilnujący swojego odcinka rzeki, a oprócz nich nie brakowało płoci i okoni.

Tamtego sierpniowego popołudnia 1939 roku rozłożyli się nad brzegiem. Przygotowywali wędki i wiązali haczyki, gdy korony okolicznych drzew najpierw się poruszyły, a potem przechyliły w tę samą stronę.

– Wschodni wiatr. – Ojciec splunął na ziemię. – Przy nim niczego nie złapiemy. Szkoda czasu.

Znał rybią magię. Uczył się jej od swojego ojca, a on od swojego i tak dalej, aż do czasów, gdy pierwszy Schymura zbudował dom na wzgórzu i zaczął chodzić z wędką nad Wstęgę. Ojciec wiedział, jak czarować węgorze, a jak karpie, żeby zainteresowały się przynętą, ale też znał ich tajemnice. Jedną z nich było prawo wschodniego wiatru, przy którym z niepojętych powodów ryby przestawały żerować.

Achim popatrzył na niego prosząco.

Od kiedy skończyły się lekcje, marzył o wyjeździe na ryby, lecz gdy marzenie się spełniło, ojciec gotów był zwinąć wędki, zanim zdążyli je zamoczyć.

– No dobrze – uległ wzrokowi syna. – Dwie godziny, nie dłużej.

Zanęcili, wrzucając do wody trochę ziarna, przygotowali ciężkie zestawy do łowienia z gruntu bez spławika i założyli na haczyki po kilka białych robaków. Może skusi się jakiś leniwy leszcz włóczący się przy dnie.

Ale się nie skusił.

Ojciec oparł się plecami o pień nadrzecznej sosny i pociągał piwo z flaszki z porcelanowym korkiem. Achim wbił wzrok w wodę, jakby chciał ją zahipnotyzować, ale nic to nie dało.

Po godzinie poczuł potrzebę, by pójść w krzaki. Poprosił ojca o kawałek gazety, w którą matka zawinęła im po bułce z kiełbasą, i zniknął.

Starszy Schymura wiedział, że zanim Achim wróci, we Wstędze upłynie sporo wody. W przydomowym ustępie potrafił siedzieć pół godziny.

Ziewając, rozejrzał się po łowisku i nagle coś przyszło mu do głowy.

Wstał i wpatrzony w trawę zrobił kilka kroków po łące. Po chwili zerwał żółtobrązowy kwiatek, do złudzenia przypominający owada. Wrócił na brzeg, sięgnął po długi leszczynowy kij do łowienia na żywca i nabił kwiatek na ostrze haczyka. Przyłożył dłoń do oczu, aby nie oślepiało go zachodzące słońce, wypatrzył płytką zatoczkę, w której grasowały żaby, i zarzucił tam wędkę.

Nie czekał nawet dziesięciu sekund.

Na kwiatek wraz z haczykiem połakomił się wielki żabi samiec, którego już po chwili starszy Schymura holował do brzegu, zerkając za siebie w stronę zarośli, czy Achim nie obserwuje jego podstępu. Ale niczego nie zauważył.

Odpiął żabę z haczyka, wyciągnął zestaw gruntowy syna i na jego końcu przywiązał płaza, wielokrotnie owijając go mocną nicią, aby się nie uwolnił. Po czym ponownie zarzucił zestaw mniej więcej w to samo miejsce, co poprzednio.

Minęło kilkanaście sekund i żaba zaczęła się szarpać, a dzwoneczek przy wędce Achima, który miał sygnalizować branie, rozdzwonił się jak szalony.

Syn wypadł z zarośli, podtrzymując w ręce spodnie.

Komicznie dobiegł do brzegu, krzycząc: „Bierze! Tato! Bierze!”, ale ojciec tylko wzruszył ramionami. Jego mina mówiła: „A co mnie to obchodzi? Twoja wędka, twoje branie”. Obojętność udawał z najwyższym trudem, czekając, aż chłopak wyciągnie z wody żabę, a on będzie mógł uśmiać się do łez na widok jego miny.

Ale w tym momencie stało się coś nieoczekiwanego.

Kołowrotek, na który Achim bez trudu nawijał żyłkę, holując zdobycz do brzegu, nagle wierzgnął, a wędka o mało nie wyskoczyła chłopakowi z rąk. Chwycił ją z całej siły, wtedy zaś wygięła się w pałąk.

– Poluzuj! – wrzasnął ojciec, płosząc ptaki szykujące się do snu w gałęziach nadrzecznych drzew. – Poluzuj, bo ci się zerwie!

Próbował odebrać synowi wędkę, ale chłopak nie pozwolił.

Czerwony z emocji popuszczał żyłkę, a gdy ryba miała szansę się uwolnić, napinał ją. Zmęczony drapieżnik, który połakomił się na żabę, próbował uskakiwać ostro w bok, ale wędkarz był czujny. Z minuty na minutę opór ryby słabł.

– To szczupak! – emocjonował się ojciec, biegając wzdłuż brzegu z podbierakiem w dłoni. – Wielki szczupak!

Mylił się.

Dziesięć minut później Achim podholował na płyciznę potwora o okropnym pysku, którego z pomocą ojca wyciągnął na brzeg i przeniósł na trawę.

To był sum.

Młody, umięśniony jak atleta i całkowicie pozbawiony łusek. Jego długie wąsy spoczywały na ziemi, a nozdrza zakończone tulejkami drgały nerwowo, podobnie jak wargi obnażające przerażające zęby w szerokich, prawie kwadratowych szczękach.

Achim, który nigdy wcześniej nie widział żywego suma, przyklęknął przy nim zaciekawiony wyglądem potwora i nagle poczuł, jak ciarki wędrują mu po plecach.

Ten kształt oczu, ten ich wyraz, to samo nieustępliwe spojrzenie. Achim dobrze je znał. Identycznie jak Gustaw ryba miała bliznę nad lewym okiem, pewnie pamiątkę po spotkaniu z innym drapieżnikiem.

– Piękna sztuka – pochwalił go ojciec. – Zakasowałeś mnie. Takiego okazu jeszcze żem nie złowił. To będziemy mieć dziś kolację!

Chłopak zerwał się na równe nogi.

– Tato! – powiedział nie swoim głosem, chwytając ojca za koszulę. – Nie zabijajmy tej ryby.

– Zgłupiałeś? – Starszy Schymura wyrwał się jak z rąk trędowatego. – Ma z pół metra. Taki jest najsmaczniejszy.

– Nie! – wrzasnął Achim. – Nie będziecie go jedli! Nie pozwolę na to!

Ojciec popatrzył na niego jak na wariata.

Przez chwilę stał kompletnie zdezorientowany, wreszcie machnął ręką.

– Ostatni raz zabrałem cię na ryby – stwierdził złowieszczo. – Nie nadajesz się. Głupota cię ogarnia.

Achim stał, dysząc ciężko z determinacji.

– Złowiłeś, to bierz go – warknął ojciec – i wrzucaj do wody. No już!

– Wrzucę, ale nie tu – odparł Achim po chwili wahania.

– A gdzie?

– Do jeziora.

Ojciec tylko popukał się w głowę.

Chłopak wyciągnął z przyczepy motocykla gumowy sak i ostrożnie włożył do niego suma wściekle kłapiącego zębami. Potem umieścił sak z rybą w przyczepie i wlał do niego wiadro wody, żeby sum miał czym oddychać.

Do zbiornika retencyjnego dojechali pół godziny później. Ojciec obserwował, jak chłopiec wyciąga sak z przyczepy i stawia go na brzegu.

– Na wzgórze wrócisz piechotą, żebyś miał czas po drodze nabrać rozumu – oświadczył stary, po czym wskoczył na siodełko motoru, kopnął rozrusznik i zniknął w chmurze śmierdzącego białego dymu.

Achim został z sumem sam na sam.

Przeciągnął go bliżej pryzmy kamieni i nakrył gałęziami, a następnie ruszył w stronę pobliskich szuwarów, gdzie chłopaki z Kolonii ukrywali czółno. Zepchnął je na wodę, podpłynął do miejsca, w którym znajdował się sak, i zataszczył go do łodzi. Ujął wiosła i skierował dziób w stronę podwodnego Kościoła Miłosierdzia Bożego.

Nawet teraz, gdy wszystko znajdowało się tam w dole, mroczne i niedostępne dla oczu, Achim potrafił nawigować po wsi choćby i po omacku. Machając wiosłami, nakładał na obraz jeziora widok Weissdorfu sprzed zatopienia i czuł się, jakby wcale nie płynął, lecz leciał.

Przemknął nad dachem stodoły Langera, która stała na wschodnim krańcu wsi niczym kamienna forteca broniąca dostępu do domostw. Zostawił pod dnem łodzi chałupy Kansych i Neumannów, sad starego Bonka i zagrodę braci Klimke niegdyś pełną dorodnych krów. Przez chwilę miał wrażenie, że dostrzega pod wodą pomalowany w czerwono-białe pasy maszt stojący obok remizy, skąd było już blisko do kościoła.

Słońce chylące się ku zachodowi świeciło jeszcze dość mocno, dlatego Achim przechylił się przez burtę i przesuwając czółno ruchami dłoni usztywnionej jak wiosło, zobaczył wreszcie wieżę świątyni. Z tej perspektywy wyglądała pokracznie, jakby straciła proporcje i lada chwila miała się zawalić.

Poczuł, że skóra cierpnie mu na plecach.

Rozchylił sak, na co sum zareagował silnym klaśnięciem ogona o dno. Chłopak wsunął ręce pod jego obłe ciało, wyczuł proporcje pozwalające zachować równowagę, uniósł rybę i wrzucił do jeziora.

Sum zastygł zdezorientowany tuż pod powierzchnią.

Patrzył.

Achim nie wytrzymał tego spojrzenia. Nie potrafił spoglądać w rybie ślepia – tak samo okrągłe i wodniste jak oczy Gustawa.

Chwycił wiosła i ruszył do brzegu ze sprawnością sportsmenów, których kiedyś oglądał na Odrze.

Trzy tygodnie później świat skończył się raz jeszcze. Wybuchła wojna. ●

• **Odcinek 2 w środę 26 sierpnia**

eprasa.pl 46280ae095

Zaczęła od roli męczennicy, a potem sama się nią stała. Piękna Amerykanka, która była twarzą francuskiej Nowej Fali, zapłaciła najwyższą cenę za nielegalne działania własnego rządu.

Maja Staniszewska

AKTORKA, KTÓRĄ ZASZCZUŁO FBI

• **Jean Seberg na jeziorze w Lasku Bulońskim, 10 marca 1957 r.**

FOT. GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 46280ae095

Kiedy w finale „Do utraty tchu”, patrząc prosto na nas, przesuwa kciukiem wokół ust i pyta: „Co to znaczy dégueulasse?”, nie można oderwać od niej wzroku. Odpowiedź na to pytanie brzmi: „wstrętna”. Tak właśnie chcieli ją pokazać ludziom agenci J. Edgara Hoovera. Obrzydzić, upodlić, uczynić przykładem. A wszystko z powodu wspierania Czarnych Panter i ruchu na rzecz równouprawnienia czarnych.

Tajna operacja FBI, mająca zdyskredytować Jean Seberg, kosztowała życie jej córeczki Niny, która zmarła dwa dni po narodzinach. Później kosztowała także życie samej Seberg. Aktorka kilka razy próbowała popełnić samobójstwo w rocznicę śmierci dziecka, aż w końcu w 1979 roku jej się to udało. Gdy znaleziono ją martwą w samochodzie zaparkowanym przy jednej z paryskich ulic, miała 40 lat.

Niepokorna dziewczyna z Iowa

W „Do utraty tchu” ma 20 lat i właśnie zostaje gwiazdą. Co ciekawe, w Europie, a nie w rodzinnych Stanach, gdzie raptem trzy lata wcześniej wpadła w łapy ogra. Takim przydomkiem aktorzy obdarzyli pochodzącego z monarchii austro-węgierskiej reżysera Otto Premingera, króla kina noir (ale też twórcę westernu „Rzeka bez powrotu” z Marilyn Monroe), który wrzeszczał na nich i upokarzał ich na planie.

Preminger szukał odtwórczyni głównej roli w ekranizacji sztuki George’a Bernarda Shawa o Joannie d’Arc. Szukał jej w USA i Europie podczas otwartych castingów dla nastolatek, na które zgłosiło się ponad 18 tysięcy dziewcząt. Ale to pochodząca z małego miasteczka Marshalltown w stanie Iowa Jean Seberg dostała rolę.

Żywiołowa, niepokorna dziewczyna z rodziny skandynawskich imigrantów jako jedyne doświadczenie miała występy w szkolnych przedstawieniach i amatorskim teatrze, czule zwanym w Ameryce „barn theatre”, bo często odbywał się w stodołach. Ale miała w sobie to coś – dziewczęcość, niewinność i siłę.

Planowała studia aktorskie na Uniwersytecie Iowa, a potem karierę na Broadwayu. Zamiast tego, jak później mówiła, „moje lekcje aktorstwa odbywały się przed największą widownią na świecie”. I pod kontrolą „ogra Otto”, który znęcał się nad nią psychicznie, a kiedy się załamywała, włączał kamerę. Na dodatek w scenie, w której d’Arc płonie na stosie, ogień wymknął się spod kontroli i dotkliwie poparzył młodziutką aktorkę. Seberg mawiała, że po pracy z Premingerem ma blizny „nie tylko na ciele”.

W szponach Premingera

„Święta Joanna”, której premiera odbyła się w 1957 roku, była katastrofą. Krytycy nie zostawili na filmie suchej nitki. Seberg jako d’Arc była śliczna i uduchowiona, ale trudno było uwierzyć, że ktokolwiek poszedłby za tym dziewczęciem wymachującym mieczem.

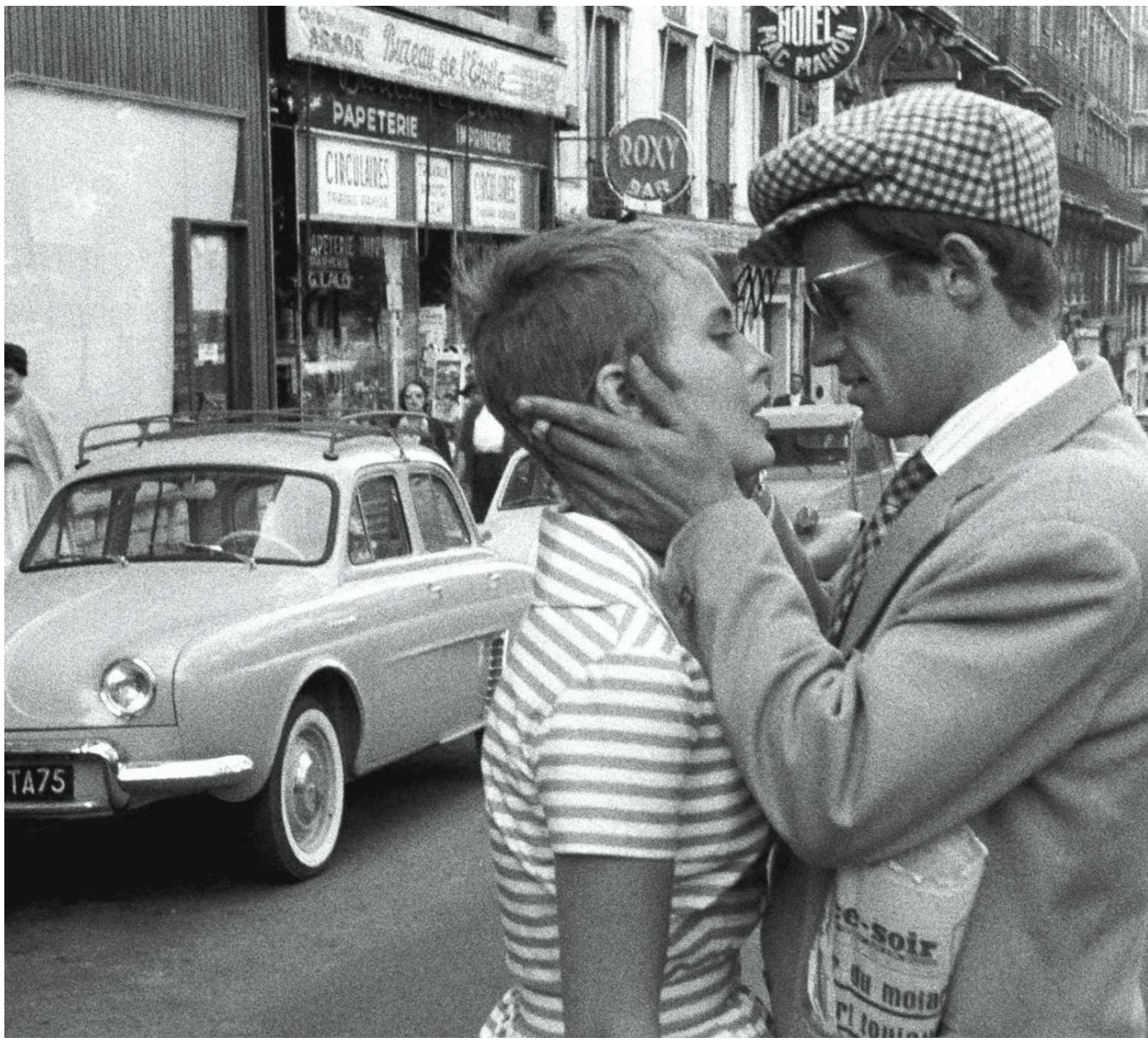
Sama mówiła, że przy tym filmie została dwukrotnie spalona na stosie – raz na planie, raz przez krytyków. Było to dla niej bardzo trudne doświadczenie.

Amerykańska publiczność dostała jednak nową gwiazdkę – uroczą dziewczynę ze Środkowego Zachodu, która zamiast utknąć za ladą apteki swojego ojca ruszyła w świat po sławę i majątek.

Sir John Gielgud, który grał z nią w „Świętej Joannie”, stwierdził, że Seberg nauczyła się być gwiazdą, zanim nauczyła się być aktorką.

Tyle że nie została w Stanach. Preminger postanowił pokazać krytykom, którzy pisali, żeby Jean „wracała na farmę”, że się mylą, a on ma rację. Zabrał ją do Francji i obsadził w głównej roli w filmie „Witaj, smutku”, adaptacji skandalizującej powieści niewiele starszej od niej Françoise Sagan.

Z krótkimi blond włosami, które stały się jej znakiem rozpoznawczym, skąpana w słońcu



• **Jean Seberg i partnerujący jej Jean-Paul Belmondo w „Do utraty tchu”. Film, który przyniósł jej wielką sławę**

FOT. PAST PERFECT

Riwiery Seberg zagrała rozpuszczoną nastolatkę, której egoizm doprowadza do tragedii. Preminger uważał, że ten film będzie dla niej nowym początkiem, ale znów – amerykańscy krytycy byli bezwzględni.

Za to we Francji Seberg zrobiła wrażenie. Także na młodym prawniku, którego poznała podczas zdjęć. Nie tylko pomógł jej uwolnić się od wpływu Premingera i podpisać nową umowę z wytwórnią Columbia, ale też został jej mężem.

„Najlepsza aktorka w Europie”

Seberg wystąpiła w komedii „Mysz, która ryknęła”, swoim pierwszym kinowym przeboju. Przekonała się, że praca na planie nie musi oznaczać wrzasków i upokorzeń. Wytwórnia wysłała ją na lekcje aktorstwa, gdzie pokazano jej, że jej osobowość jest ważna, że może, a wręcz powinna, z niej czerpać. Otworzyła się i stała lepszą aktorką.

Zresztą François Truffaut, młody krytyk pisma „Cahiers du Cinéma”, już po „Witaj, smutku” nazwał Seberg najlepszą aktorką w Europie. Nic dziwnego, że została we Francji na resztę życia i spędziła tam większość swojej kariery. To właśnie tutaj ją rozumiano i ceniono. W domu... o tym za chwilę.

Talent pokazała już w następnym filmie. Filmie, który uczynił ją nieśmiertelną, czyli w „Do utraty tchu” Jeana-Luca Godarda. Zarówno o tym obrazie, jak i o jego twórcy napisano całe tomy, więc nie będę się nimi zajmować. Skupię się na Seberg. Godard i Truffaut, którego pomysł ten pierwszy rozwinął w scenariusz filmu, znali męża Seberg i za jego pośrednictwem zwrócili się do aktorki.

Jej, żądnej wyzwań, spodobała się postać Patricii, amerykańskiej studentki w Paryżu, która romansuje z impulsywnym przestępcą, a kiedy odkrywa, że ten kogoś zabił, wydaje go policji.

„Do utraty tchu” i narodziny ikony

Na drodze stanął jednak kontrakt z Columbią. I tu znów świetnie ze swojej roli wywiązał się mąż-prawnik. Wynegocjował ze studiem udostępnienie Seberg do filmu Godarda, grożąc, że jeśli się nie zgodzi, zabierze ją do domu i nie pozwoli jej grać. Szefowie Columbii mieli do wyboru 15 tys. dolarów odstępnego albo udział w międzynarodowych zyskach filmu. Wybrali to pierwsze rozwiązanie, a potem pluli sobie w brodę.

„Do utraty tchu” okazało się bowiem oszałamiającym sukcesem, filmem przełomowym i sztandarowym obrazem rodzącej się francuskiej Nowej Fali.

Z Seberg zaś uczyniło symbol nowoczesności – z krótkimi włosami, w cygaretkach i baleriach była wcieleniem nowej kobiecości. Europejki zaczęły ją naśladować. I wciąż to robią. Gdyby dziś pojawiła się na paryskiej albo warszawskiej ulicy w ubraniach z filmu, nikomu nie przyszłoby do głowy, że tu nie pasuje.

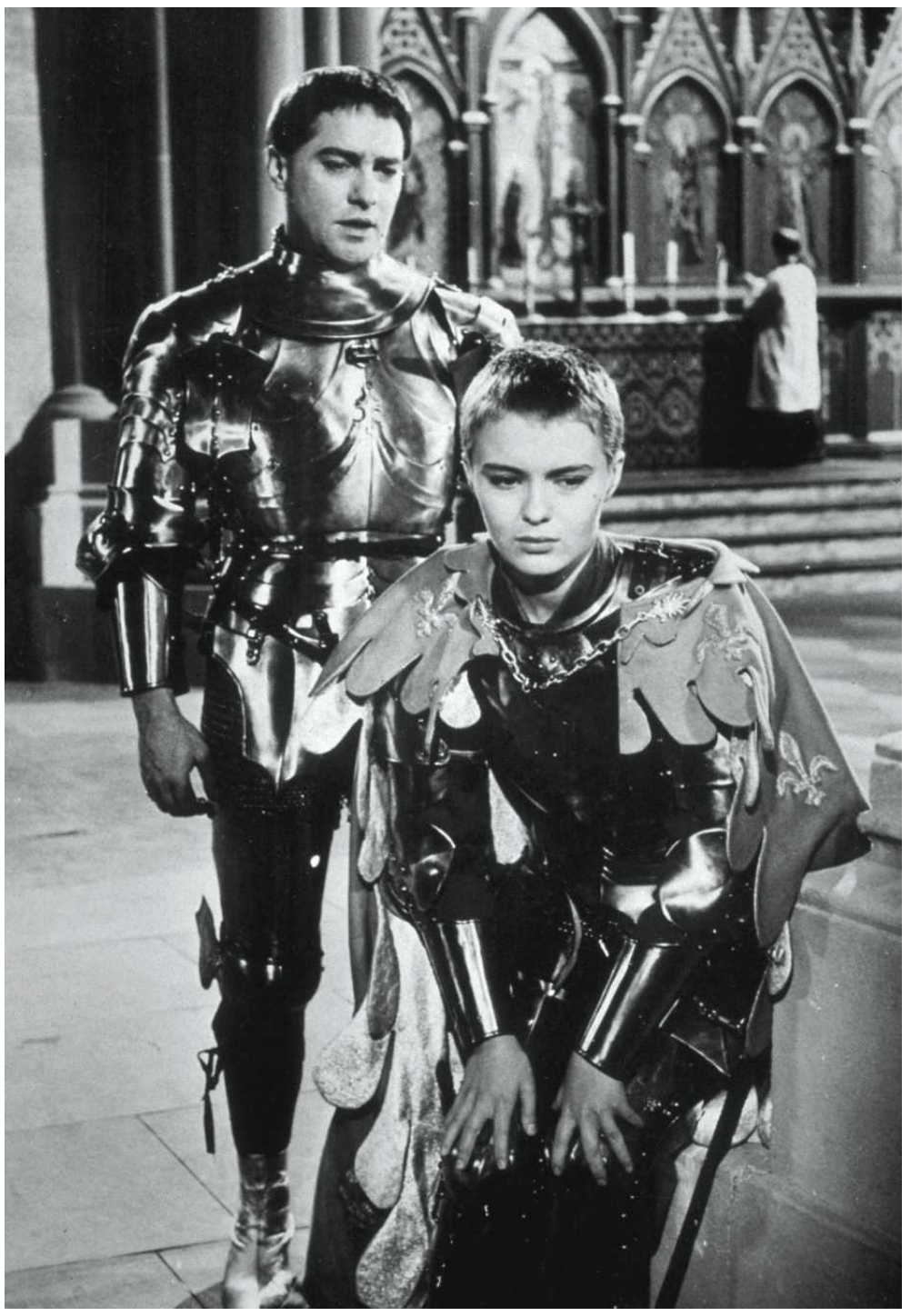
Film Godarda, choć ma już prawie 70 lat, wciąż świetnie się ogląda. Choć może dziś trudno zrozumieć, na czym polegała jego przełomowość, współczesne kino wchłonęło i zaadaptowało wiele z tego, co zrobił jako pierwszy.

Ciekawie wypada też w duecie z nowym filmem Richarda Linklatera „Nowa fala”, który opowiada historię jego powstawania. Nie jest to jednak dokument ani docudrama, lecz pełna życia i miłości do kina fabularna opowieść

W sierpniu 1979 roku zaginęła. Znaleziono ją po dziesięciu dniach na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego przy jednej z paryskich ulic

eprasa.pl 46280ae095





• **Dwukrotnie spalono mnie na stosie – raz na planie, raz przez krytyków, mówiła o roli w „Świętej Joannie" (1957)**
FOT. SUNSET BOULEVARD/CORBIS VIA GETTY IMAGES

o grupie młodych ludzi, którzy postanowili zrobić coś inaczej, po swojemu. Którzy zaryzykowali i zmienili kino na zawsze.

W rolę Seberg wciela się w „Nowej fali" jej rodaczka Zoey Deutch. Odtwarza sceny z udziałem Seberg, ale przede wszystkim z ogromnym wdziękiem i naturalnością gra ją poza planem. Jako osobę pełną wątpliwości co do sposobu pracy Godarda, zdezorientowaną jego chaotycznością, stawiającą mu się, co ten zresztą docenia. Razem z Linklaterem i francuską obsadą, w której wyróżnia się grający Belmonda Aubry Dullin, składa hołd arcydziełu i jego twórcy, ale nie robi tego na kolanach. Za to osiąga najważniejszy cel – sprawia, że chce się natychmiast obejrzeć „Do utraty tchu".

Chronić czarnych obywateli

Seberg zagrała też inna amerykańska aktorka, znana z odważnych kreacji i równie odważnych wypowiedzi, Kristen Stewart. W filmie z 2019 roku zatytułowanym po prostu „Seberg" przedstawiła punkt zwrotny w życiu aktorki – moment, w którym z powodu wspierania Partii Czarnych Panter zainteresowało się nią FBI. Biuro pod wodzą J. Edgara Hoovera zajmowało się tropieniem wrogów Ameryki, do których, jego zdaniem, należeli także walczący o równouprawnienie czarnych obywateli.

Civil Rights Act z 1964 roku zniósł co prawda ostatecznie segregację rasową i zakazał dyskryminacji ze względu m.in. na kolor skóry, ale zmiany zachodziły powoli.

Obok ruchu obywatelskiego nieposłuszeństwa, na którego czele stał Martin Luther King Jr., pojawiały się bardziej radykalne grupy, jak właśnie Partia Czarnych Panter, która powstała, by chronić czarnych obywateli przed brutalnością służb, w tym policji. Z czasem rozwinęła się w lewicową organizację, którą Hoover uznał za zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. Nakazał więc, by grupa kontrwywiadowcza prowadząca program COINTELPRO, w ramach którego m.in. śledzono i podsłuchiwano Kinga, zajęła się także nią.

Co ma z tym wspólnego Jean Seberg? Pochodząca z protestanckiej rodziny dziewczyna już jako 14-latka zapisała się do NAACP – Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Popierania Ludności Kolorowej, największej organizacji walczącej o prawa obywatelskie, założonej na początku XX wieku. Ludzie, którzy ją znali, wspominali, że zawsze stawała w obronie słabszych. Była odważna i pyskata.

Los aktorki jest niepewny

W latach 60. większość czasu spędzała jednak we Francji. Poznała dyplomatę i pisarza, bohatera wojennego Romaina Gary'ego, i związała się z nim, mimo że był od niej o 24 lata starszy, a oboje mieli małżonków. W 1962 roku Seberg urodziła syna, Alexandre'a Diega, którego przez prawie rok ukrywano nie tylko przed światem, ale nawet przed rodziną, ponieważ rodzice pobrali się dopiero kilka miesięcy po jego narodzinach.

Seberg zastanawiała się, czy będzie jeszcze grać. Doskonale zdawała sobie sprawę, że los aktorki jest niepewny. Ale przychodziły kolejne propozycje, w tym film, który w USA przyniósł jej w końcu uznanie.

Był to ambitny melodramat „Lilith", w którym zagrała pacjentkę ze schizofrenią – jednocześnie uwodzicielską i odpychającą, dojrzałą i dziecinną, zdolną owijać sobie wokół palca mężczyzn, a zwłaszcza terapeutę granego przez Warrena Beatty'ego oraz pacjenta, w którego wcielał się Peter Fonda. Kreację Seberg powszechnie chwalono, film jednak nie odniósł sukcesu.

Między 1963 a 1969 rokiem zagrała w pięciu amerykańskich i sześciu europejskich filmach. W jej życiu pojawiło się jednak coś innego niż kino. I ktoś inny niż mąż.

Gdy w 1968 roku przyjechała do Stanów, by zagrać w musicalowym westernie „Pomaluj swój wóz" z Clintem Eastwoodem i Lee Marvinem, poznała Hakima Jamala, charyzmatycznego członka Partii Czarnych Panter. Zaczęła od wspierania organizacji finansowo i pojawiania się na organizowanych przez nią wydarzeniach. Z czasem nawiązała z Jamalem romans.

Nie była święta. Niezbyt szczęśliwa w małżeństwie z Garym piła coraz więcej i często go zdradzała. Legenda głosi, że gdy Gary dowiedział się o jej romansie z Eastwoodem na planie „Pomaluj swój wóz", wyzwał aktora na pojedynek. Ten jednak odmówił.

„Powinna zostać zneutralizowana"

Romans z Jamalem postanowiło jednak wykorzystać FBI. Międzyrasowe związki w USA wciąż były tabu. Międzyrasowe małżeństwa zalegalizowano zaledwie rok wcześniej i musiał to zrobić Sąd Najwyższy, ponieważ poszczególne stany broniły się przed tym.

Upublicznienie romansu białej aktorki (w wewnętrznych dokumentach Biura opisywanej jako „rozwiązła i zboczona biała aktorka") i czarnego rewolucjonisty mogło nie tylko zszargać reputację i zniszczyć karierę Seberg, ale też wywołać efekt mrożący wśród innych znanych osób pragnących publicznie wspierać ruchy emancypacyjne.

Aktorce założono podsłuch w telefonie i śledzono ją. W końcu agenci odkryli, że jest w ciąży. Postanowili wysłać listy do dziennikarzy plotkarskich gazet w Hollywood i jako ojca dziecka wskazać „członka Czarnych Panter".

Centrala się zgodziła: „Jean Seberg wspiera finansowo Partię Czarnych Panter i powinna zostać zneutralizowana".

Gdy ciąża stała się wyraźnie widoczna, anonimowy list wysłano do „Los Angeles Times", gdzie trafił do dziennikarki Joyce Haber, a ta postanowiła opublikować soczystą plotkę. Naczelny gazety zalecił jedynie usunięcie nazwiska Seberg z artykułu, opisano ją jednak tak, że czytelnik nie miał wątpliwości, o kogo chodzi. Dziennikarze nie sprawdzili anonimowego donosu, nie skontaktowali się z aktorką, ponoszą więc częściową odpowiedzialność za to, co stało się później.

Wysoka cena plotki

Gdy temat podchwycił „Newsweek", już podając nazwisko aktorki, a po nim setki amerykańskich tytułów, Seberg nie potrafiła poradzić sobie z sytuacją. Piła coraz więcej, brała środki uspokajające. W końcu w sierpniu 1970 roku zaczęła rodzić, trzy miesiące przed terminem. Dziecko zmarło po dwóch dniach. Pogrzeb z otwartą trumną, zorganizowany po to, by wszyscy rozsiewający plotkę, ale i ci, którzy się nią żywili, mogli zobaczyć kolor skóry Niny i zastanowić się nad sobą, odbył się w Marshalltown. Prasa jednak tym razem dziwnie nie dopisała.

Seberg i Gary, który publicznie uznał dziecko, zapowiedzieli pozew przeciwko „Newsweekowi". Złożyli go we Francji i wygrali. Ale żadne pieniądze nie były w stanie wymazać cierpienia aktorki. Seberg zmagała się z nim przez lata. Po rozwodzie z Garym ponownie wyszła za mąż, ale nowy związek nie przyniósł jej szczęścia. Gary ją wspierał, a wspólnie opiekowali się synem.

Seberg chorowała na depresję, piła i uzależniła się od leków. Katastroficzny film „Port lotniczy", w którym była częścią gwiazdorskiej obsady, odniósł spektakularny sukces, ale nie przełożyło się to na jej karierę. Grała w kolejnych filmach, ale żadna z tych ról nie została już zapamiętana. Kilka razy w rocznicę śmierci córeczki próbowała popełnić samobójstwo.

Zniszczona przez FBI

W sierpniu 1979 roku zaginęła. Znaleziono ją po dziesięciu dniach na tylnym siedzeniu samochodu zaparkowanego przy jednej z paryskich ulic. Śmierć 40-letniej aktorki uznano za samobójstwo wskutek przedawkowania.

Gary zwołał konferencję prasową, na której stwierdził: „Jean Seberg została zniszczona przez FBI". Co ciekawe, kilka dni później FBI przyznało się do swojej roli w tej sprawie (Hoover od kilku lat już nie żył). W oświadczeniu napisano: „Czasy, kiedy FBI wykorzystywało kompromitujące informacje do zwalczania zwolenników niepopularnych spraw, już dawno minęły. Na zawsze zrezygnowaliśmy z takich praktyk". Czy ktoś w to uwierzył, to już zupełnie inna sprawa.

Tragedia Jean Seberg, choć rozegrała się pół wieku temu, dziś okazuje się niezwykle aktualna. W sieci plotki, teorie spiskowe i fałszywe oskarżenia rozchodzą się bez żadnej kontroli, a do tego dołączają materiały wideo stworzone przy użyciu AI, które trudno odróżnić od prawdziwych. Wobec dezinformacji jesteśmy coraz bardziej bezbronni, a prywatność coraz trudniej chronić.

Czy zdobędziemy się na odwagę jak Seberg i postawimy się? ●

• „Do utraty tchu", reż. Jean-Luc Godard, w wybranych kinach i do wypożyczenia w Apple TV
• „Nowa fala", reż. Richard Linklater, w kinach

eprasa.pl 46280ae095



BANAN CO 10 MINUT

Trening jelit, zakazany monitoring live glukozy, RED-S czyhający na kolarzy – znany fizjolog oprowadza po laboratorium nowego nadsportowca.

Radosław Leniarski

Niedawno Tadej Pogačar wygrał w imperialnym stylu Tour de France, a Katarzyna Niewiadoma przyjechała druga w najważniejszym wyścigu kobiet. To były piękne chwile: na trasie jadą w pełnym słońcu kolarki i kolarze, pedałują, pocą się w pięknych okolicznościach przyrody, niepowtarzalnych, spoglądają na siebie, przyspieszają, rwą tempo, wracają do peletonu, odpadają z niego – ten niby zwyczajny świat kolarzy jest iluzją, bo tak naprawdę jest bodaj najbardziej bezwzględnym, przeliczonym, skalibrowanym, naukowo zniuansowanym poligonem doświadczalnym organizmu człowieka.

Ten wywiad jest niepokojący i fascynujący zarazem. Dr Sebastian Sitko, fizjolog z Uniwersytetu w Saragossie, autor książki „Cycling 2.0", otwiera nam wrota laboratorium, w którym tworzy się nowego nadsportowca. Hiszpański naukowiec obala mity o permanentnym głodzeniu, zdradza kulisy zakazu monitorowania *live* glukozy, zapowiada rewolucję, która zastąpi pomiar mocy, wyjaśnia groźną tajemnicę RED-S, i tłumaczy, dlaczego bez zaawansowanego treningu jelit żadnego rekordu na Alpe d'Huez dziś już nikt nie pobije.

Z **DR. SEBASTIANEM SITKO,** NAUKOWCEM I EKSPERTEM DS. FIZJOLOGII SPORTU ROZMAWIA **RADOSŁAW LENIARSKI**

Zacznę lekkostrawnie. Groźne pytania zostawię na później. Ile „normalnego" pożywienia musiałby zjeść Tadej Pogačar, żeby być gotowym na etap na Alpe d'Huez?
– Zacznijmy od skali problemu, bo ona jest kluczowa. Ciężki etap wysokogórski to dla zawodnika pokroju Pogačara wydatek rzędu 5-6 tysięcy kilokalorii w samym ściganiu, a doliczając podstawową przemianę materii i całą aktywność dnia, spokojnie dochodzimy do 7-8 tysięcy kcal na dobę. Nikt tego fizycznie nie przełknie, a już na pewno nie strawi.

I tu jest sedno. Problemem nie jest suma na koniec dnia – to można rozłożyć na śniadanie, obiad, kolację i dojeść. Problemem jest jedzenie w trakcie wysiłku. Podczas etapu zawodnik musi dostarczać dziś nawet 120 gramów węglowodanów na godzinę, czyli około 480 kcal na godzinę, przez cztery-pięć godzin. Gdyby chciał to zrobić bananami, musiałby zjeść mniej więcej jednego banana co dziesięć minut, jadąc pod górę z tętnem 180. To niewykonalne – i dlatego żele i płynne odżywki nie są fanaberią, tylko fizjologiczną koniecznością. Skoncentrowane węglowodany to jedyny sposób, żeby wcisnąć tyle energii w żołądek, który przy tej intensywności ma mocno ograniczoną wydolność. „Normalne" jedzenie robi robotę na śniadaniu i po etapie. W trakcie – nie ma szans.

No dobrze, ale banany są zdrowe – w racjonalnej ilości, rzecz jasna. Jaki wpływ na kolarzy mają żele i batony energetyczne? Podobno peleton atakuje próchnica.
– To dobry przykład na to, że w sporcie nic nie jest za darmo. Dobrze, zacznijmy od zębów, bo badania są tu jednoznaczne – uzębienie kolarzy zawodowych bywa w gorszym stanie niż w populacji ogólnej, mimo że mówimy o ludziach obsesyjnie dbających o organizm. Mechanizm jest prosty i brutalny: przez wiele godzin dziennie zawodnik trzyma w ustach roztwory o wysokim stężeniu cukru, często kwaśne, przy jednoczesnym odwodnieniu i spadku wydzielania śliny, która normalnie jest naszą naturalną ochroną. Cukier plus kwas plus brak śliny to idealne środowisko dla próchnicy i erozji szkliwa. To nie kwestia zaniedbania higieny – to koszt zawodu.

Drugi front to układ pokarmowy. Jelito nie jest z gumy i ma swoje granice wchłaniania. Kiedy dostarczamy węglowodany szybciej niż jelito potrafi je przetransportować, niewchłonięty cukier zostaje w świetle jelita, ściąga wodę osmotycznie i zaczynają się problemy – wzdęcia, skurcze, biegunki, tak zwane „nudności wysiłkowe". Dlatego nie da się z dnia na dzień przejść na 120 gramów na godzinę; do takich ilości trzeba jelito wytrenować, o czym pewnie jeszcze porozmawiamy. Dochodzi jeszcze proporcja cukrów – dlatego nowoczesne odżywki mieszają glukozę z fruktozą, bo korzystają z dwóch różnych szlaków transportowych i pozwalają wchłonąć więcej bez rozstroju żołądka.

Jelitu nie można nic kazać. Z grubsza jest zbudowane z mięśni gładkich, a one działają poza naszą świadomością. Jak wygląda trening jelitowy?
– Dokładnie tak samo jak trening każdego innego narządu – przez stopniowe, powtarzalne przeciążanie. Jelito jest zaskakująco plastyczne: liczba transporterów odpowiedzialnych za wchłanianie cukrów rośnie, jeśli je regularnie zmuszamy do pracy. Jeśli natomiast ktoś normalnie je oszczędza, a nagle na starcie próbuje wcisnąć 120 gramów na godzinę, kończy się to katastrofą żołądkowo-jelitową.

W praktyce robi się to etapami. Najpierw zawodnik przyzwyczaja żołądek do samego rytuału regularnego jedzenia na rowerze – coś słodkiego co kilkanaście minut, na poziomie 60-90 gramów węglowodanów na godzinę. Kiedy to jest komfortowe, zwiększamy udział fruktozy w mieszance, bo, mówiąc obrazowo, dla glukozy jest w jelicie więcej „drzwi" niż dla fruktozy, więc dołożenie tej drugiej otwiera dodatkowy kanał wchłaniania. Ostatni krok to docelowe ilości, czyli okolic 120 gramów na godzinę, na treningach o intensywności zbliżonej do wyścigu – bo przy dużym wysiłku krew odpływa od układu pokarmowego do mięśni i żołądek działa zupełnie inaczej niż przy spokojnej jeździe. Ten proces trwa tygodnie i jest równie zaplanowany, jak trening mocy. Nikt nie improwizuje odżywiania na etapie królewskim.

Trochę zaczynam się bać o kolarzy, o naszą Kasię Niewiadomą-Phinney. I jeszcze ten RED-S w peletonie. Gdzie jest granica między „optymalizacją wagi" a destrukcją hormonalną i kostną?
– RED-S, czyli względny niedobór energii w sporcie, to jedno z najpoważniejszych zagrożeń w kolarstwie, a przez lata było wypierane ze świadomości. Sedno zjawiska jest takie: jeśli zawodnik czy zawodniczka systematycznie dostarcza mniej energii niż wydatkuje, organizm nie ma z czego finansować funkcji, które z jego punktu widzenia nie są „niezbędne do przetrwania tu i teraz". I zaczyna je wyłączać – w pierwszej kolejności układ rozrodczy i hormonalny. U kobiet najbardziej czytelnym sygnałem jest zanik miesiączki [Niewiadoma o tym sama pisała – w 2023 r. na stronie Welovecycling – rl], ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Pod spodem jest spadek estrogenów, a za nim demineralizacja kości, która potrafi być nieodwracalna. Trzydziestoletnia sportsmenka z gęstością kości siedemdziesięciolatki – to nie jest teoretyczny scenariusz.

I tu odpowiadam na najtrudniejsze pytanie: gdzie kończy się legalna optymalizacja, a zaczyna destrukcja. Granica przebiega dokładnie tam, gdzie deficyt energetyczny przestaje być krótkim, kontrolowanym narzędziem, a staje się przewlekłym stanem. Rozsądna redukcja masy przed docelową imprezą, prowadzona z monitoringiem hormonów, gęstości kości, jakości snu i regeneracji, jest optymalizacją. Ciągłe niedojadanie „bo wa-

eprasa.pl 46280ae095



Tadej Pogačar, najwybitniejszy współcześnie kolarz na trasie tegorocznego Tour de France. On też, by wygrywać, potrzebuje choćby specjalistycznej diety

FOT. REUTERS/ STEPHANIE LECOCQ

ga to moc" to autodestrukcja – i najgorsze, że przez jakiś czas daje efekty, więc jest kusząca. Organizm najpierw jedzie szybciej, a rachunek przychodzi później, w postaci złamań przeciążeniowych, spadku odporności, wahań nastroju i wypalenia.

Co do trendu – tak, to się na szczęście zmienia i mówiłem o tym nie bez powodu. Najlepsze zespoły odchodzą od prostego dyktatu „im lżejszy, tym lepszy" na rzecz myślenia o dystrybucji i jakości masy mięśniowej oraz o odporności organizmu na zmęczenie. Bo stosunek mocy do masy dalej się liczy, tylko że zawodnik wychudzony do granic jest kruchy – łatwiej choruje, gorzej się regeneruje, częściej się łamie i szybciej gaśnie w trzecim tygodniu wielkiego touru. Zdrowie zaczyna być traktowane jako parametr wydolnościowy, a nie coś, co się poświęca dla wyniku. To duża zmiana filozofii.

Gdyby miał pan wskazać jedną technologię lub parametr, który w ciągu najbliższych pięciu lat zrewolucjonizuje kolarstwo tak jak pomiar mocy – co by to było?
– Postawiłbym na ciągły, nieinwazyjny pomiar tego, co dzieje się w mięśniu w czasie rzeczywistym – czyli utlenowanie mięśni, mierzone metodą NIRS, w połączeniu z algorytmami, które przetwarzają to na decyzje. Powiem, dlaczego akurat to. Pomiar mocy był rewolucją, bo po raz pierwszy pokazał, ile pracy zawodnik realnie wykonuje – obiektywnie, watt po watcie. Ale moc mówi nam o efekcie, o tym, co wychodzi na zewnątrz. Nie mówi, jakim kosztem wewnętrznym to powstaje i jak blisko granicy jest w danej chwili organizm.

Utlenowanie mięśni domyka tę lukę. To okno do metabolizmu w akcji – widać, kiedy mięsień wchodzi w strefę, z której nie ma już powrotu, jeszcze zanim zawodnik to poczuje. Połączmy to z inteligentnym doborem tempa i odżywiania, dopasowanym indywidualnie do konkretnego organizmu, a dostajemy zupełnie nowy poziom precyzji. Drugim gorącym kandydatem jest to, co roboczo nazwałbym „odpornością na zmęczenie" – czyli zdolność utrzymania mocy w zmęczeniu, w czwartej godzinie etapu, a nie na świeżo. Dziś dopiero uczymy się to mierzyć, a właśnie ten parametr coraz częściej wygrywa wyścigi. Wygrywa ten, kto najmniej zwalnia, a nie ten, kto ma najwyższy jednorazowy szczyt mocy.

Czy UCI, federacja kolarska, dobrze zrobiła, zakazując CGM w peletonie? Podobnie zrobiono z egzogennymi ketonami. Gdzie jest granica nauki we współczesnym kolarstwie?
[CGM, Ciągły Monitor Glikemii, to podskórny sensor bioanalityczny, który w trybie rzeczywistym mierzy stężenie glukozy w płynie śródtkankowym i bezprzewodowo przesyła dane na licznik rowerowy, działając jak precyzyjny wskaźnik poziomu paliwa metabolicznego, co pozwala idealnie zoptymalizować strategię żywieniową i uniknąć nagłego wyczerpania zapasów glikogenu (tzw. odcięcia prądu) – rl].

[Egzogenne ketony to dostarczane z zewnątrz związki chemiczne (zwykle w formie estrów lub soli beta-hydroksymaślanu), które po wypiciu błyskawicznie podnoszą poziom ciał ketonowych we krwi, stanowiąc alternatywne i wysoce efektywne źródło energii dla mózgu oraz mięśni, co pozwala na oszczędzanie cennych zapasów glikogenu mięśniowego podczas długotrwałego wysiłku tlenowego – rl]

– Zacznę od faktów, bo tu jest sporo nieporozumień. UCI zakazało w rywalizacji stosowania urządzeń mierzących parametry metaboliczne – glukozę, mleczan – już od 2021 roku. Zespoły korzystały z tego głównie na treningach i część chciała wprowadzić to do wyścigów. Argumenty federacji były trojakie: żeby kolarstwo pozostało nieprzewidywalne i nie zmieniło się w Formułę 1, w której wszystko liczy komputer; żeby nie odbierać zawodnikom umiejętności słuchania własnego ciała; oraz kwestie kosztów, równego dostępu i prywatności danych.

Rozumiem tę argumentację, ale jako fizjolog mam mieszane uczucia. Z perspektywy bezpieczeństwa zawodnika to raczej krok wstecz, bo akurat ciągły podgląd glukozy pomaga uniknąć zarówno nagłego „głoda", jak i tego przewlekłego niedoboru energii, o którym mówiliśmy przy RED-S. To narzędzie chroniące zdrowie. Z drugiej strony rozumiem obawę, że sprowadzimy sport do wykonywania poleceń z ekranu.

Z ketonami sytuacja wygląda inaczej – byłem autorem przeglądu badań naukowych na ten temat. UCI nie może ich zakazać, bo nie są na liście substancji zakazanych WADA, więc formalnie są legalne. Federacja jednak odradza ich stosowanie, argumentując brakiem twardych dowodów na realną poprawę wyników. Środowiska walczące o czyste kolarstwo idą dalej i mówią wprost o „medykalizacji" sportu – o tym, że zdrowych ludzi zaczyna się faszerować substancjami na wszelki wypadek. I tu jest właśnie ta granica, o którą pan pyta. Dla mnie nauka w sporcie kończy się w momencie, w którym przestajemy wspierać zdrowy organizm w wydobyciu jego potencjału, a zaczynamy go farmakologicznie „nadpisywać". Cienka linia dzieli optymalizację od medykalizacji, a różnica sprowadza się do pytania: czy to jeszcze służy zdrowiu zawodnika, czy już tylko wynikowi kosztem zawodnika?

Współczesny kolarz zmienia się pod wpływem nauki – diety i treningu – ale jak bardzo?
– Zmienia się fundamentalnie, i to w ciągu jednego pokolenia. Po stronie żywienia dokonała się prawdziwa rewolucja węglowodanowa. Jeszcze kilkanaście lat temu jedzenie na rowerze na poziomie 60 gramów na godzinę uchodziło za sufit możliwości. Dziś czołówka jedzie na 120 gramach i to jest jeden z głównych powodów, dla których ostatnie edycje wielkich tourów są najszybsze w historii. Zawodnik, który nie „gaśnie", bo ma pełne zapasy energii, po prostu jedzie mocniej do samego końca. Odeszliśmy też od filozofii permanentnego głodzenia na rzecz precyzyjnego dopasowania podaży energii do obciążeń treningowych.

Po stronie treningu największą zmianą jest indywidualizacja i pomiar. Trenujemy dziś konkretne systemy energetyczne w konkretnych strefach, mierzymy praktycznie wszystko – moc, tętno, sen, zmienność rytmu serca, regenerację – i na tej podstawie precyzyjnie dawkujemy obciążenia. Kolarz przestał być kimś, kto po prostu „wyjeżdża" formę setkami kilometrów. Stał się projektem prowadzonym przez sztab: fizjologa, dietetyka, trenera, czasem psychologa. Efekt jest taki, że dzisiejszy dwudziestolatek wchodzi do peletonu z poziomem przygotowania, który dawniej był dostępny dopiero po latach.

Czy nauka i współczesne kolarstwo zmierzają do tego, że na końcu z taśmy zejdzie kolarz „płuca i nogi", a reszta zminimalizowana do niezbędności?
– To bardzo sugestywny obraz i rozumiem, skąd się bierze – ale odpowiedziałbym: i tak, i nie, a to „nie" jest tu ważniejsze. Owszem, selekcja premiuje określony fenotyp: duży pułap tlenowy, wysoki stosunek mocy do masy, ekonomia jazdy, smukła sylwetka. W tym sensie kolarz górski faktycznie ewoluuje w stronę „silnika z minimalnym nadwoziem".

Ale i tu jest sedno – ta wizja ma wbudowany limit, i to biologiczny. Organizm to system naczyń połączonych. Nie da się bezkarnie „zminimalizować reszty", bo to właśnie „reszta" decyduje, czy silnik dowiezie formę do mety. Kości muszą być mocne, żeby udźwignąć obciążenia i nie pękać. Układ hormonalny i odpornościowy musi działać, żeby przez trzy tygodnie się regenerować i nie chorować. Głowa musi wytrzymać. Kolarz sprowadzony do samych „płuc i nóg" byłby konstrukcją skrajnie kruchą – błysnąłby raz i rozsypał się w drugim tygodniu touru. Dlatego, paradoksalnie, im lepiej rozumiemy fizjologię, tym bardziej odchodzimy od tego wąskiego wzorca w stronę zawodnika kompletnego i odpornego. Pożądany model przyszłości to nie chodzący pułap tlenowy, tylko organizm, który potrafi tę wysoką wydolność utrzymać dzień po dniu, w zmęczeniu, bez rozpadania się. Wygrywa trwałość, nie sama surowa moc.

Kiedyś ludzie też się nie rozpadali. Zaczęliśmy od Pogačara, a jak wyglądała dieta Eddy'ego Merckxa?
– To fascynujący kontrast z tym wszystkim, o czym mówiliśmy – właściwie inna planeta. Merckx i jego pokolenie jedli przede wszystkim mięso, i to w ilościach, które dziś wyglądają absurdalnie. Sam Merckx wspominał, że dzień zaczynali o wpół do siódmej rano, przed wyścigiem, od śniadania z serem i szynką, a potem też steków. Steki jadło się po kilka razy dziennie, do tego zupy, wieczorem ryby, makaron. Panowało przekonanie, że mięso „daje siłę", a węglowodany były w tym myśleniu drugorzędne – czyli mniej więcej odwrotnie niż dziś. Sam Merckx zresztą po latach przyznał, że to było „kompletne szaleństwo".

Kluczowa różnica nie tkwi jednak w samym jadłospisie, tylko w podejściu. Wtedy nie było nauki o odżywianiu wysiłkowym, nie było żeli, izotoników, planowanego jedzenia na rowerze ani dietetyków w zespołach. Jedzono intuicyjnie, to, co uchodziło za „wzmacniające", a w trakcie wyścigu zdarzało się dojadanie przypadkowych rzeczy, łącznie z odrobiną alkoholu. Efekt był taki, że zawodnicy ścigali się w permanentnym niedoborze węglowodanów, czyli w stanie, który dziś nazwalibyśmy jazdą „na oparach". I tu jest cała pointa: Merckx był absolutnym geniuszem mimo tej diety, a nie dzięki niej. Aż strach pomyśleć, co osiągnąłby ktoś o jego talencie z dzisiejszą wiedzą o żywieniu. To najlepiej pokazuje, jak ogromną drogę przeszło kolarstwo. ●



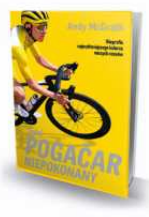
Trzydziestoletnia sportsmenka z gęstością kości siedemdziesięciolatki – to nie jest teoretyczny scenariusz

DR SEBASTIAN SITKO

Dwie ikony kolarstwa – globalna i krajowa. Acz nie tylko, bo choć Rafał Majka nie osiągnął tyle, co Tadej Pogačar, kolarz wszech czasów (no, może wciąż wicekolarz wszech czasów, ale lada moment prześcignie samego „Kanibala" Mercxa), to mało kto w światowym peletonie może pochwalić się kilkoma wygranymi górskimi etapami Tour de France, dwukrotnym tytułem najlepszego górala Wielkiej Pętli i medalem olimpijskim.

Wywiad-rzeka **„Rafał Majka. Zawsze z przodu"** ukaże się pod koniec września, a opowieść o genialnym Słoweńcu **„Tadej Pogačar. Niepokonany"** już jest w księgarniach, na stronie wydawnictwa Znak, a w formie e-booka lub audiobooka na Publio.pl



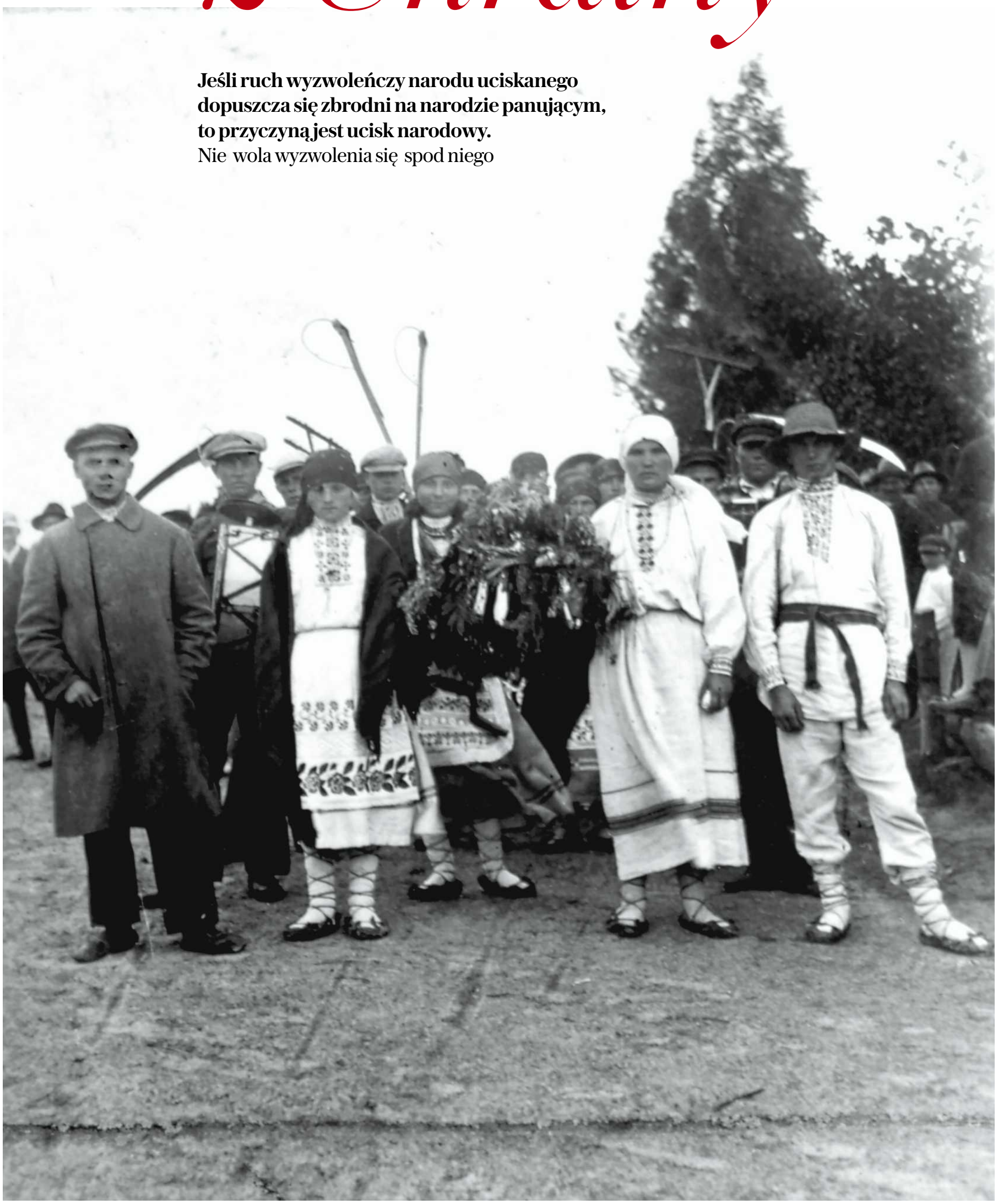


eprasa.pl 46280ae095

ADAM MICHNIK POLECA

DOBRZY LUDZIE *z Ukrainy*

Jeśli ruch wyzwoleńczy narodu uciskanego dopuszcza się zbrodni na narodzie panującym, to przyczyną jest ucisk narodowy.
Nie wola wyzwolenia się spod niego



eprasa.pl 46280ae095

Zbigniew Marcin Kowalewski*

Irena Krzywicka spostrzegła kilka lat przed II wojną światową, że „wschodnie kresy były zawsze poniekąd koloniami Polski", ale kto ją dziś czyta?

Podobnie jak antropologa Józefa Obrębskiego, który pokazał, jak „na ziemiach tych polskość w samej swojej genezie historycznej wiązała się z uciskiem i niewolą chłopską", jak jej oparciem „był rabunek: dzika i niszczycielska eksploatacja" chłopstwa ukraińskiego, jak polski pan „musiał być konkwistadorem w permanencji; musiał zwalczać nieustannie chłopski cichy opór i skryty sabotaż, niszczący znienawidzone, choć stwarzane przez chłopa, wartości pańskie". Nie mówiąc już o Kraszewskim, który nazwał polski wyzysk chłopów ukraińskich „zdzierstwem nieludzkim, widnym prawie wszędzie", zwłaszcza w potwornych warunkach ich egzystencji.

Trzeba było aż dzieła takiego zagranicznego historyka jak Daniel Beauvois, aby dotarło do nas (ale czy dotarło?), że stworzyliśmy w ciągu stuleci układ, który „przypomina nade wszystko system kolonialny właśnie".

Ukraiński nacjonalizm – polski wkład

Kiedy doba nowoczesnych państw narodowych ogarnęła wreszcie nawet Europę Wschodnią, odrodzone państwo polskie stanowiło siłą rzeczy nietrwałą, anachroniczną anomalię. Ogłosiło się bowiem państwem narodowym, choć obejmowało terytorium wielonarodowe. Na połowie tego terytorium Polacy stanowili zdecydowaną mniejszość, a dwa inne narody, ukraiński i białoruski, stanowiące na tej połowie przytłaczającą większość, podzieliła granica państwowa. Zbudowało się zatem na potężnej minie, która prędzej czy później musiała wybuchnąć.

Mocny grunt pod ukraiński nacjonalizm integralny stworzyło samo państwo polskie. Minę starano się rozbroić na sposoby przeciwskuteczne: asymilacją państwową w srogo scentralizowanym państwie, wykluczającym autonomię narodową, albo asymilacją narodowo-wyznaniową i eksterminacją – tak przez endecję bardzo sugestywnie nazywaną.

Endeckie zamysły „polityki eksterminacyjnej" wobec Ukraińców nacjonaliści ukraińscy zawsze pilnie śledzili. Napędzały ich nacjonalizm integralny, a zarazem zasilały go doktrynalnie.

W połowie lat 50. XX wieku termin „nacjonalizm integralny" wprowadził do badań nad Organizacją Nacjonalistów Ukraińskich (OUN) i pojęcie zarysował John Armstrong [historyk i historyk idei]. Od tego czasu dopracowali je istotnie, choć jeszcze zapewne nie do końca, tacy uczeni jak Alexander Motyl, Myroslav Shkandrij, Roman Wysocki, Trevor Erlacher, a najbardziej, 60 lat po przetarciu drogi przez Armstronga, Ołeksandr Zajcew.

Waga tego pojęcia polega na tym, że pozwala odgraniczyć ruchy typu faszystowskiego czy nazistowskiego narodów państwowych od radykalnie nacjonalistycznych ruchów uciskanych narodów bezpaństwowych – odgraniczyć nawet wtedy, kiedy te drugie podlegają inspiracjom ideowo-politycznym tych pierwszych, jak to było w przypadku OUN.

Nacjonalizm integralny, wraz z nieodłączną odeń dynamiką czy tendencją eksterminacyjną, pojawił się, avant la lettre, już w tak wczesnym ruchu antykolonialnym jak rewolucja haitańska na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy o faszyzmie nikt nie słyszał.

„Obca narośl pasożytnicza"

Dynamikę taką, którą uważam za definiującą ten nacjonalizm czy stanowiącą o jego naturze, ze szczególną mocą uruchamia w nacjonalizmie narodu bezpaństwowego zarówno kolonializm osadniczy narodu panującego, jak i rażąca dysproporcja narodowościowa w dostępie do ziemi, niekorzystna dla narodu bezpaństwowego, stanowiącego zarazem na własnym terytorium przytłaczającą większość.

Na samym Wołyniu w międzywojniu 15-proc. mniejszość polska niepodzielnie panowała nad 70-proc. większością ukraińską (nawet w powiatach w 90 proc. zamieszkanych przez Ukraińców starostą mógł być tylko etniczny Polak) i władała prawie 35 proc. ziemi uprawnej, kiedy chłopstwo ukraińskie gnieździło się w gospodarstwach karłowatych.

Rzecz znamienna: podczas „akcji antypolskiej" Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) jej komendant „Kłym Sawur" zarządzi „rozparcelowanie kołchozów, sowchozów, folwarków i gospodarstw po byłych kolonistach polskich między bezrolnymi i małorolnymi gospodarstwami indywidualnymi".

Przed wojną członek kierownictwa OUN płk Mykoła Sciborski pisał: „Polska, całkowicie ignorując podstawowe interesy chłopstwa zachodnioukraińskiego, stara się obsadzać Galicję i Wołyń kolonistami (przeważnie byłymi wojskowymi), mając na uwadze zarówno swoją ekspansję gospodarczą, jak i swoje zadania polityczno-strategiczne". Dlatego „do tej wrogiej kolonizacji i jej skutków władza nacjonalistyczna odniesie się z całym bezkompromisowym zdecydowaniem. Ta obca narośl pasożytnicza na naszym organizmie narodowym zostanie wyrwana z korzeniami".

Podobnie władza ta, zapowiadał, postąpi w przyszłej Ukrainie poradzieckiej wobec osadników rosyjskich. „Należy przewidywać, że duża część tych osiadłych w Ukrainie moskiewsko-polskich i innych przybyszów zostanie materialnie i fizycznie wyniszczona już na pierwszych etapach rewolucji. Resztki wrogiej kolonizacji władza nacjonalistyczna zlikwiduje drogą ustawodawczo-administracyjną", deportując kolonistów.

Mimo to w oczach Stepana Bandery, przywódcy młodego krajowego pokolenia, Sciborski prawdziwym nacjonalistą nie był: Bandera piętnował go za to, że jest jednym z emigracyjnych przywódców OUN ożenionych z Żydówkami. Wśród integralnych nacjonalistów byli jednak też tacy, którzy uważali, że „antysemityzm to nóż w plecy naszej rewolucji".

Kiedy w 1940 r. OUN się rozłamie, Sciborski znajdzie się po przeciwnej, melnykowskiej stronie, która w „akcję antypolską" się nie zaangażuje. [Melnykowcy – frakcja OUN-M, jej przewodniczącym był Andrij Melnyk].

Wraz z kilkoma innymi młodymi działaczami OUN Mychajło Kołodziński odbył szkolenie wojskowe we Włoszech u ustaszów – skrajnych nacjonalistów chorwackich i uległ ich wpływom, choć wybiórczo: nie przejął ich teorii rasowych, ale u nich wpadł na pomysł opracowania na użytek OUN doktryny wojennej. Ogłosił ją przed śmiercią – w marcu 1939 r. rozstrzelały go wojska węgierskie, anektując Ukrainę Karpacką.

OUN nigdy nie przyjmie formalnie tej doktryny za własną. Była w niej myśl, że w toku ukraińskiego powstania ogólnonarodowego należy „przyjąć pomoc mniejszości narodowych, takich jak Tatarzy, Niemcy czy Bułgarzy", ale „zniszczyć wrogie siły żywe". Do nich należą „te wszystkie mniejszości, które odnoszą się wrogo do niepodległości Ukrainy" – „Polacy, Moskale i Żydzi".

Podczas okupacji niemieckiej to ta doktryna będzie przyświecała kolejno dwóm działaczom krytycznym wobec kierownictwa OUN za to, że opierało się zamysłom budowy w podziemiu armii ukraińskiej.

Najpierw Iwanowi Kłymiwowi „Łegendzie", w 1941 r., na początku wojny niemiecko-radzieckiej, twórcy Ukraińskiej Narodowej Armii Rewolucyjnej (UNRA), która pod okupacją niemiecką będzie istniała parę tygodni, faktycznie jedynie w stanie zalążkowym, a on sam umrze później na gestapowskich torturach.

Następnie Dmytrowi Klaczkiwskiemu „Kłymowi Sawurowi" i tym, z którymi przeforsuje on zamysł wołyńskiej „akcji antypolskiej": z Wasylem Iwachowem „Sonarem" i Iwanem Łytwynczukiem „Dubowym".

Eksterminacja. Kto to wymyślił?

W kwestii ukraińskiej Stronnictwo Narodowe „nie tylko podtrzymuje całkowicie swoją przedwojenną w tym zakresie politykę eksterminacyjną, lecz wybitnie ją radykalizuje" i „zapowiada wobec Ukraińców eksterminacyjną politykę przesiedleńczą, na wzór akcji przesiedleńczej prowadzonej przez reżimy hitlerowski i faszystowski".

Tak w Komendzie Głównej AK charakteryzowano ówczesne stanowisko endecji w kwestii ukraińskiej. Było ono dobrze znane w OUN. Zatem – tak rozumowali Kłym Sawur, Sonar i Dubowy – to, „kto kogo", zależy od tego, „kto szybciej": państwo polskie, teraz tylko podziemne, sił na to na razie nie ma; my na Wołyniu, ze swoją przytłaczającą większością narodową, mamy. Wojsko, które stworzymy, zapewni nam skuteczność.

Historia ruchów wyzwoleńczych narodów kolonialnych i uciskanych w XX wieku pokazuje, że im bardziej ruchy te były zhegemonizowane przez jakieś organizacje polityczne, tym bardziej organizacje te stawały się niejednorodne, wielonurtowe ideowo i politycznie, od prawa do lewa. Kooperowały w nich, nieraz wręcz antagonistycznie, nurty rywalizujące ze sobą o dominację, co często ujawniały nagle kryzysowe sytuacje.

Nieraz dochodziło w nich do „odwrócenia dominanty" – utraty pozycji dominującej przez jedne nurty i uzyskania takiej pozycji przez dotychczas zdominowane. Historia algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FLN) czy Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA) to jedne z wielu dobrych przykładów takich dynamik wewnętrznych.

Kiedy w 1929 r. OUN zawiązała się na swoim kongresie wiedeńskim, Moskwa za pośrednictwem Kominternu i z pomocą komunistów polskich wyrugowała właśnie z Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy (KPZU) większościowy, odmawiający podporządkowania się jej „szumskizm" [od nazwiska Ołeksandra Szumskiego], tj. nurt faktycznie niepodległościowy.

„Wyjaśniając wzlot ruchu nacjonalistycznego w Galicji w drugiej połowie lat 20., nie można ignorować równoczesnego upadku ruchu komunistycznego", zauważył już dawno Marko Bojcun [politolog]. Co więcej, o ile bojowe środowiska młodzieży ukraińskiej w Polsce miały dotychczas w podziemiu do wyboru dwa nurty radykalne: nacjonalistyczny i komunistyczny, o tyle teraz ten drugi utracił zupełnie swoją siłę magnetyczną. Niemało spośród tych, którzy wcześniej wybraliby KPZU, poszło więc do OUN.

Powtórzyło się to po 1933 r., po Hołodomorze w Ukrainie radzieckiej, kiedy prawda o nim dotarła do Galicji: pewna część z tych, którzy odeszli wtedy z KPZU lub zrezygnowali ze wstąpienia do niej, zasiliła szeregi nacjonalistów.

Nie znaczy to, że przeistoczyli się w nacjonalistów integralnych. Wręcz przeciwnie, często przyczyniali się do jeszcze dalej niż dotychczas idącej heterogenizacji OUN i zaostrzali antagonistyczne strony kooperacji w jej łonie. Jak zobaczymy, Mychajło Stepaniak to przykład pod tym względem emblematyczny: „komunista i członek kierownictwa OUN" – tak w 2011 r. określi się go na łamach ukraińskiej „Istorycznej Prawdy".

Inny emblematyczny przykład to Iwan Mitryngа, który, gdyby nie stalinowska rozprawa z „szumskizmem" w KPZU, wahałby się, czy pójść do niej, czy do OUN. Przed wojną kierował wpływową frakcją, w jednych sprawach tonącą jeszcze w nacjonalizmie integralnym, a w innych kontestującą go już radykalnie z lewa.

Już wtedy głosił, że „OUN może zdać egzamin przed historią tylko jako ruch rewolucyjny, który ideowo będzie bliski masom ludowym Ukrainy, a zwłaszcza proletariatowi Donbasu i innych ośrodków przemysłowych" Ukrainy radzieckiej. I że nowa rewolucja ukraińska „narasta wśród kadr samego bolszewizmu, a bolszewizm nigdy nie wytępi jej nowych sił, gdyż on sam rodzi je nieustannie", tak jak zrodził już jej wieszcza Mykołę Chwylowego.

W 1941 r. Mitrynga wraz ze swoimi ludźmi, podobnie jak inne „grupy ekspedycyjne" świeżo wyodrębnionego odłamu banderowskiego OUN – odtąd wyłącznie o tym odłamie będzie mowa – ruszył w ślad za wojskami niemieckimi do Ukrainy radzieckiej. Powrócił stamtąd już nie jako nacjonalista, lecz, jak teraz się samookreślił, „rewolucyjny demokrata".

Odtąd mitryngowcy będą głosić, że OUN może mieć poparcie we wschodniej Ukrainie tylko pod warunkiem, iż nie będzie promowała ani dyktatury narodo-

W 1943 r. część czołowych działaczy OUN uznała, że „UPA skompromitowała się swoimi bandyckimi działaniami przeciwko polskiej ludności".

Byli w mniejszości

• **Wołyń, 1934 r. Ukraińscy chłopi w strojach regionalnych**
FOT. NAC

eprasa.pl 46280ae095

wej, która uchodzi tam za faszystowską, „ani nawet ustroju burżuazyjno-demokratycznego, lecz wzywała do utworzenia niepodległego ukraińskiego państwa rad".

Rad, tej pierwszej i jedynej do tego czasu formy demokracji, jaką kiedyś, podczas rewolucji 1917 r., poznały masy i narody imperium rosyjskiego: demokratycznie wybieranych i wielopartyjnych, zanim uległy bolszewizacji.

Pod hasłem: „jedynie w niepodległej Ukrainie obronimy i pogłębimy zdobycze społeczne rewolucji październikowej" mitryngowcy wkrótce odeszli z OUN. Tak się od niej odróżnili, że z wyjątkiem samego Mitryngi, zabitego podczas wojny, na powojennej emigracji cała ich ekipa kierownicza, w tym Borys Ławycki (późniejszy bliski współpracownik Jerzego Giedroycia, „bardzo cenny" w jego oczach), założy razem z niepodległościowymi marksistami ukraińskimi wspólną partię pod jakże mitryngowską nazwą Ukraińskiej Partii Rewolucyjno-Demokratycznej (URDP).

Ani Mitrynga, ani Stepaniak nie doczekali się do dziś żadnej monografii czy choćby zbioru swoich pism, bo historyków, tych zwłaszcza, którzy uprawiają politykę historyczną, ich myśl i działalność polityczna obezwładniająco peszy.

Wśród wielu innych faktów, o których będzie tu mowa, nie odnotowują też np. faktu, na który wskazał Timothy Snyder, a który potwierdził historyk Per Anders Rudling: że przed wojną na Wołyniu doszło do intensywnej współpracy OUN z KPZU, która była tam zaskakująco mało stalinowska. Na Polesiu zaś, latem 1939 r., organizacja komunistyczna, która przetrwała rozwiązanie KPZU (wraz z polską partią) przez Stalina, utworzyła nawet razem z OUN krótkotrwałą wspólną organizację wojskową.

„Terror to zły pomysł"

To, jak bardzo zróżnicowana była OUN, wyszło na jaw w pierwszą rocznicę proklamowania przez nią – krótkotrwałej – państwowości ukraińskiej natychmiast po zajęciu Lwowa przez wojska niemieckie w czerwcu 1941 r. Ich ofensywie i odwrotowi wojsk radzieckich towarzyszyły wtedy fale morderczych pogromów antysemickich, rozpraw z komunistami i aktów antypolskiej przemocy.

W podziemnej oficjalnej publikacji OUN ukazał się podpisany pseudonimem bilans wydarzeń sprzed roku, z surową krytyką wielu poczynań nacjonalistów. Widać, że krytyka była w OUN na tyle szeroka, iż kierownictwo uznało za wskazane czy konieczne dać jej kontrolowany upust.

Autor, stwierdziwszy, że „takie uczucia jak zemsta nie mają nic wspólnego z prawdziwą działalnością polityczną", ostro potępił terror wobec „Polaków, Żydów, Ukraińców rzymskokatolickich", a także Ukraińców „zrusyfikowanych i spolonizowanych w dużych miastach". „Poza tym, zauważył, jeśli ktoś był ideowym komunistą, to uczyń zeń nacjonalistę".

„Jeśli chodzi o Żydów, na długo przed wojną wyraźnie wprowadzono zasadę, że nasze podejście do nich jest skrajnie negatywne, ale nie uczestniczymy w żadnych pogromach. Mimo to były takie przypadki, że politycznie niewyrobione elementy ukraińskie dały się wciągnąć w akcje pogromowe".

W OUN każdy czytelnik rozumiał, że faktycznie nie chodzi o „przypadki" i nie o „niewyrobione politycznie elementy", które „dały się wciągnąć", lecz że jest to głos tych, którzy piętnują czynny udział i przewodnictwo wielu nacjonalistów w pogromach.

W lipcu 1943 r. Ukraińcy kierujący OUN wydali odezwę do Polaków: „Wspólny los, który nas złączył, i nasza walka z zaborcami z Berlina i Moskwy o własne państwa wymagają porozumienia obu narodów"

Bez obszarników, bez komunistów

W 1943 r. OUN znalazła się w sytuacji kryzysowej. W Galicji kierownicze sfery OUN przeżywały w tym czasie głębokie rozterki polityczne. Dotychczasowe tkwienie w podziemiu wielu uznało za paraliżujące i bezskuteczne, i domagało się przyjęcia kursu na walkę zbrojną. Mykoła Łebed', pod nieobecność uwięzionego w Sachsenhausen Bandery pełniący obowiązki przewodniczącego, głośno opierał się myśli o wznieceniu wojny partyzanckiej. W obliczu narastającej krytyki zrezygnował ze stanowiska.

Objął je – w kolegialnym już tym razem biurze kierownictwa – Roman Szuchewycz, reprezentujący w organizacji czynnik wojskowy. Jednocześnie wiał ze wschodu wiatr przemian ideowych. Ci, których wysłano na okupowaną przez Niemców Ukrainę radziecką, rozszerzyli działalność OUN nie tylko na Kijów, ale nawet na wielkoprzemysłowe skupiska robotnicze Donbasu. Stamtąd zaczęli postulować zmiany ideowe i programowe.

Precz z hasłem „Ukraina dla Ukraińców" – meldowali. Ludzie tu go nie akceptują, uważają za szowinistyczne. Nacjonalizm kojarzą z faszyzmem. Chcą „niepodległej Ukrainy bez obszarników i kapitalistów i bez dyktatury partii komunistycznej", z demokracją rad. Nie ma co szukać tu oparcia w starym pokoleniu petlurowskim; trzeba szukać go w młodym, ukształtowanym już w ZSRR, w tym zwłaszcza wśród najbardziej upolitycznionej młodzieży komsomolskiej (zgodnie z hasłem: „jest ideowym komunistą, uczyń zeń nacjonalistę"). Tej, do której przemawiają idee komunisty-niepodległościowca Chwylowego, który na znak protestu przeciw Hołodomorowi popełnił w 1933 r. samobójstwo. Pójdą z nami, za ideą niepodległości, ale pod warunkiem zmiany programu.

Potwierdziło się to, o czym dużo wcześniej mówił Mitrynga. Nacjonalizm integralny nie miał tu żadnych szans na poparcie i tu OUN go odrzuciła. Po wojnie, na emigracji, książkę poświęci temu doświadczeniu Łew Szankowski; o swoim własnym, donbaskim, szeroko i wielokrotnie opowie Jewhen Stachiw.

Ukraińcy: UPA się skompromitowała

Wasyl Kuk, wysłany tam z Galicji i teraz kierujący z Dniepropietrowska siatką podziemną OUN w południowo-wschodniej Ukrainie, poparł te coraz bardziej przemożne głosy swoich działaczy. W sierpniu 1943 r. ich delegacja na Nadzwyczajny III Zjazd OUN zażądała uchwalenia nowego programu, którego projekt przedstawiła. Mocno poparli ją delegaci wołyńscy.

Zjazd uchwalił, że w szeregach OUN „chłopi, robotnicy i inteligencja" walczą „o wyzwolenie narodowe i społeczne", o państwo ukraińskie „bez obszarników, kapitalistów i bolszewickich komisarzy", „o bezpłatne przekazanie chłopom zachodnich rejonów Ukrainy wszystkich ziem obszarniczych, klasztornych i kościelnych", „o to, aby wielki przemysł był własnością narodowo-państwową, a drobny – spółdzielczo-komunalną" i „o udział robotników w kierowaniu zakładami pracy".

A także „o wolność druku, słowa, myśli, przekonań, wyznania i światopoglądu", „o pełną równość kobiety z mężczyzną", „o pełne prawo mniejszości narodowych do kultywowania własnej kultury narodowej", „o równość wszystkich obywateli Ukrainy niezależnie od ich narodowości".

Była to uchwała bezprecedensowa. Na papierze obalała w OUN nacjonalizm integralny. Na papierze, gdyż dokładnie w tym samym czasie doznał on na Wołyniu paroksyzmu.

Kłym Sawur na własną rękę utworzył tam UPA i ogłosił, że jej komenda główna jest powstańczą władzą zwierzchnią na całą Ukrainę. Wcielił OUN do UPA jako jej aparat polityczny, zdegradował do roli organizacji zaplecza i rozpuścił w jej strukturach. Innymi słowy, OUN utraciła na Wołyniu polityczne zwierzchnictwo nad ruchem nacjonalistycznym, a Kłym Sawur i podporządkowana mu UPA faktycznie przestali podlegać centralnemu kierownictwu organizacji.

Sytuacja „w obozie nacjonalistycznym była bardzo skomplikowana: wołyńska OUN likwidowała OUN organizacyjnie", opowie Ławycki, „»wschodnia« OUN likwidowała OUN ideologicznie, przestawiając całą swoją mentalność i ideologię na nowe tory, a galicyjska OUN wśród swarów też szukała właściwie czegoś nowego", ale „przygnębiona i oportunistycznie niepewna, nadal gotowała się, jak zwykle, w swoim własnym sosie".

W lipcu 1943 r. kierownictwo OUN wydało odezwę do Polaków, głoszącą, że „wspólny los, który nas złączył, i nasza walka z zaborcami z Berlina i Moskwy o własne państwa wymagają porozumienia obu narodów", że na gruncie „wspólnego frontu walki wszystkich narodów ujarzmionych" porozumienie powinno gwarantować „wolne państwa narodowe narodów ukraińskiego i polskiego na ich terytoriach etnograficznych". Tymczasem Kłym Sawur, znów na własną rękę, wszczął „akcję antypolską" – morderczą czystkę etniczną, nazwaną przez polskich historyków rzezią wołyńską.

Kiedy do Galicji dotarły wieści o „akcji antypolskiej", w centralnym kierownictwie, już bardzo zdezorientowanym, co dzieje się na Wołyniu, Łebed' i Stepaniak uznali, że „UPA skompromitowała się swoimi bandyckimi działaniami przeciwko polskiej ludności". Byli w mniejszości, bo przecież zajęcie takiego stanowiska spowodowałoby niechybnie rozłam z nacjonalistami na Wołyniu.

„Wzajemne mordy masowe"

Stepaniak, „szumskista", był działaczem KPZU, którą opuścił w latach 30. z pozycji radykalnie antystalinowskich i niepodległościowych. Uczynił to w bardzo szczególnych okolicznościach, o których opowie jego przyjaciel Ławycki.

Kiedy w 1936 r. w jego rodzinnych Brzeżanach nacjonaliści zabili działacza chłopskiego – „szumskistę", „uprzedzając (a może wykonując) wyrok śmierci, wydany na tego wiernego Ukrainie komunistę przez agentów stalinowskich", Stepaniak, „tragicznie przeżywając krótkowzroczność działaczy nacjonalistycznych, postanowił wstąpić do ich organizacji, aby od wewnątrz wpływać na nią i należycie ukierunkowywać jej walkę".

Jako adwokat bronił nacjonalistów przed polskimi sądami i współpracował z nimi, np. na ich szkoleniach prowadząc wykłady o radzieckiej NEP, o naturze reżimu stalinowskiego i jego rządach w Ukrainie.

Pod pierwszą okupacją radziecką dołączył do OUN. Wkrótce dokooptowany do kierownictwa, cieszył się wśród nacjonalistów dużym autorytetem. Opracowywał plany państwotwórcze, jako zdolny negocjator prowadził w imieniu OUN m.in. rozmowy z greckokatolickim metropolitą Andrzejem Szeptyckim i z podziemiem akowskim.

Wraz z Wasylem Mudrym, przedwojennym wicemarszałkiem polskiego Sejmu, starał się skupić ukraińskie środowiska niepodległościowe wokół planu budowy ponadpartyjnej instytucji, którą później, już bez jego udziału, Szuchewycz, Mudry i inni utworzą jako Ukraińską Główną Radę Wyzwoleńczą (UHWR).

Był przekonany, że choć, jak mówił, OUN „skompromitowała się" swoją wcześniejszą współpracą z hitlerowskimi Niemcami, jest to jedyna siła polityczna, na gruncie której jest szansa na budowę nowej, rewolucyjnej organizacji niepodległościowej, do której dążył. Pozostał marksistą.

W kierownictwie orędował za rozwiązaniem OUN, stworzeniem nowej organizacji i przygotowaniem powstania zbrojnego przeciwko okupantowi niemieckiemu, tak aby wybuchło ono przed wkroczeniem Armii Czerwonej do zachodniej Ukrainy.

Rozumował w sprawie powstania podobnie jak uczynią to płk Jan Rzepecki i gen. Leopold Okulicki, kiedy będą parli w Komendzie Głównej AK do wznieczenia powstania warszawskiego. Natomiast budowie UPA i planom wojny partyzanckiej na zapleczu wojsk radzieckich, kiedy wkroczą, był wraz z Łebediem przeciwny, gdyż uważał, że prowadzić jej się nie da.

To on, po dymisji Łebedia, przekonał kierownictwo do wyboru Szuchewycza na nowego przewodniczącego. Szuchewycz odszedł jednak od popartego wcześniej przez kierownictwo planu przygotowania powstania i opowiedział się za rozbudową UPA, udzielając tym samym poparcia Kłymowi Sawurowi.

Stepaniak sprzyjał negocjacjom z mitryngowcami w sprawie ich powrotu do OUN. Ci stawiali warunki: żądali krytyki dotychczasowych zasad ideowo-programowych OUN i całej dotychczasowej polityki, odcięcia się od „akcji antypolskiej" UPA, ukarania winnych tej akcji, odżegnania się od nacjonalizmu i zmiany nazwy organizacji.

Wkrótce Stepaniak popadł więc z Szuchewyczem w konflikty, także na tle swoich równie uporczywych co nieskutecznych dążeń do porozumienia z polskimi siłami politycznymi, z którymi niestrudzenie starał się rozmawiać.

Kiedy w październiku [1943 r.] Szuchewycz wyjechał na Wołyń, aby dojść do porozumienia z Kłymem Sawurem, pod jego nieobecność Stepaniak przekonał kierownictwo OUN do wydania komunikatu o masakrach na Wołyniu. Sprzyjał temu Łebed'.

W komunikacie, rozpowszechnionym w Galicji w formie plakatu, napiętnowano – bez wskazania, rzecz jasna, na UPA – „wzajemne mordy masowe" na Wołyniu. Twierdzono, że doszło do nich dlatego, iż „zarówno po jednej, jak i po drugiej, polskiej i ukraińskiej stronie znalazły się elementy", które z inspiracji niemieckiej i radzieckiej „dały się zaprząc do obcego wozu", oraz że „wszelkie samowolne akty terroru, skądkolwiek by pochodziły", OUN „będzie uważała za obcą robotę agenturalną i zdecydowanie je zwalczała".

Rozszerzyć czystkę na Galicję

Szuchewycz wrócił w grudniu z Wołynia po zawarciu porozumienia z Kłymem Sawurem. Uzgodnili, że jako przewodniczący OUN obejmie on zarazem stanowisko komendanta głównego UPA, natomiast Kłym Sawur, dotychczasowy komendant główny, pozostanie dowódcą UPA na Wołyniu. Szuchewycz zapobiegł zatem groźbie wołyńskiej dysydencji.

W zamian za zachowanie jedności OUN, pod presją Kłyma Sawura zgodził się zaangażować działającą w Galicji Ukraińską Samoobronę Ludową (UNS), która teraz też przyjęła nazwę UPA, w „akcję antypolską" na swoim terenie. Co prawda okazywał pewną wstrzemięźliwość na tym polu w porównaniu z tym, co działo się na Wołyniu, ale nie zmienia to

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 46280ae095

istoty rzeczy: kazał rozszerzyć czystkę etniczną na Galicję.

Za karygodne uznał wydanie pod jego nieobecność komunikatu w sprawie wydarzeń wołyńskich, który wprawdzie formalnie obciążał odpowiedzialnością obie strony i nie wymieniał UPA, w istocie jednak stanowił akt odcięcia się od „akcji antypolskiej". Wziął zań odwet na Stepaniaku: żandarmerii UPA rozkazał wywieźć go, jeszcze do niedawna kierownika OUN w Galicji, na Wołyń – na reedukację polityczną.

Popełnił błąd. Stepaniak wszedł tam bowiem wkrótce w porozumienie z Wasylem Kukiem, który powrócił ze wschodniej Ukrainy w obliczu natarcia Armii Czerwonej, oraz z Jakowem Busłem, który kierował na Wołyniu aparatem politycznym OUN, wcielonym teraz jako referat polityczny do wołyńskiej komendy UPA. Buseł sprzyjał ideom mitryngowskim i był faktycznie, choć dotychczas dyskretnie, oponentem Kłyma Sawura.

Okazało się, że na „akcję antypolską" Kuk i Buseł zapatrują się podobnie jak Stepaniak, co już połączyło ich ze sobą, i że w ogóle pod względem ideowym mają bardzo zbieżne poglądy. Trójka ta, po raz pierwszy w historii OUN, stworzyła trzon rozproszonego dotychczas i niewidocznego lewego skrzydła. Zamierzała „odwrócić dominantę": po linii zmiany programowej, jaka formalnie już zaszła, pogłębić ją i zradykalizować oraz w ogóle przestawić OUN na inny tor, rozwiązując ją i tworząc na jej miejsce nową Ludowowyzwoleńczą Organizację Rewolucyjną.

Jeszcze w styczniu 1944 r. Kłym Sawur mianował Busła swoim pierwszym zastępcą, który pod jego nieobecność wykonuje za niego wszystkie należące doń obowiązki, stojąc na czele zarówno UPA, jak i OUN na Wołyniu. Buseł wydał zaraz podległym mu referentom politycznym w terenie instrukcję: po wkroczeniu wojsk radzieckich „polityczny kierunek naszej pracy od samego początku będzie antyreżimowy. Całą propagandę skierować przeciwko Stalinowi i NKWD – przeciwko reżimowi. Zadaniem tej chwili będzie włączenie do walki z bolszewizmem elementu rosyjskiego.

Robimy to – głosił – drogą popularyzacji naszej idei: »Wolność narodom i człowiekowi« – głosimy i prowadzimy walkę z imperializmem bolszewickim, a nie z narodem rosyjskim". Nie z narodem rosyjskim – po linii generalnego odwrotu od nacjonalizmu integralnego.

W niepodległej Ukrainie będzie demokracja

Kiedy wiosną na Wołyniu linia frontu oddzieliła Kłyma Sawura od głównych sił UPA i stracił on z nimi łączność, pierwszą rzeczą, którą uczynił Buseł, było pozbawienie Dubowego dowództwa Okręgu Wojskowego „Zahrawa" (jednego z trzech wołyńskich okręgów UPA) i w ogóle odsunięcie go od pracy wojskowej. Wcześniej Buseł bezskutecznie domagał się tego od Kłyma Sawura.

Grzegorz Motyka wskazuje, że Dubowy miał duży wpływ na jego decyzje w sprawie „akcji antypolskiej", że był wraz z Kłymem Sawurem i Sonarem (teraz już nieżyjącym) jednym z trzech, którzy zdecydowali o niej, i że na jego terenie zginęło 40 proc. Polaków zamordowanych do czerwca 1943 r. na Wołyniu.

Historyk John-Paul Himka potwierdza, że dowodzony przez Dubowego okręg „cechowały bardziej systematyczne zabójstwa niż inne regiony". Jak widać, Dubowy ponosił teraz obok samego Kłyma Sawura największą odpowiedzialność za czystkę etniczną, w tym za wielkie masakry w osiedlu polskich robotników w Janowej Dolinie i w bazie polskiej samoobrony w Hucie Stepańskiej. Wymiar polityczny tego posunięcia Busła, a faktycznie całej trójki, był doniosły: godził w Kłyma Sawura, z jego „akcją antypolską" włącznie.

W połowie lipca, pod okupacją radziecką, Kuk, Buseł i Stepaniak zwołali pod Dermaniem zjazd dziesięciu działaczy, na który specjalnie wydano broszurę Stepaniaka „W nowej rzeczywistości", jej pełny tekst (w piśmie OUN „Ideja i Czyn" opublikowano jedynie fragmenty).

Wyłożywszy obszernie analizę natury Związku Radzieckiego jako „machiny państwowej imperializmu rosyjsko-bolszewickiego i obrońcy interesów tego imperializmu, tj. ucisku i wyzysku człowieka i narodów", Stepaniak stwierdził, że „przygotowanie i przeprowadzenie rewolucji ukraińskiej oznacza przygotowanie i przeprowadzenie rewolucji w całym ZSRR".

A zatem oznacza, po pierwsze, że „wyjście z ukraińskiego zaścianka na szeroką arenę rewolucji w całym ZSRR to historyczna konieczność", a po drugie, że koniecznością jest budowa „rewolucyjnej organizacji politycznej", zdolnej podołać „olbrzymiemu zadaniu historycznemu – odegraniu roli organizatora i kierownika rewolucji".

Nie można, pisał dalej Stepaniak, przeprowadzić jej „jedynie drogą zbrojnego wystąpienia naszej organizacji i UPA oraz podobnych organizacji innych narodów". Aby bowiem była zwycięska, „do walki musi stanąć cały lud, muszą stanąć wszystkie jego siły", toteż „trzeba w pełni zrewolucjonizować obecną Armię Czerwoną, rozbić administrację państwową i doprowadzić do przejścia całej masy żołnierskiej i najlepszych, niezdemoralizowanych przez reżim, wiernych ludowi, ideowych dowódców i pracowników administracji na stronę rewolucji. Tylko w ten sposób cały lud może dostać do rąk broń i z powodzeniem skierować ją w stronę swojego srogiego wroga".

Przy tym należy „bezwzględnie zwalczać skłonności do ograniczania się w całej naszej pracy rewolucyjnej do wsi", gdyż „w historii ruchów rewolucyjnych nie było dotychczas przypadku dokonania przewrotu rewolucyjnego przez wieś i ze wsi zdobycia miast". Miasta w Ukrainie były mocno zrusyfikowane lub spolonizowane. Na nie należało koniecznie rozszerzyć rewolucyjną pracę polityczną i dążyć do objęcia nią jak najszerszego elementu miejskiego.

Na zjeździe, na miejsce OUN, utworzono Ludowowyzwoleńczą Organizację Rewolucyjną (NWRO), ze wspomnianą trójką jako centralnym kierownictwem pod przewodnictwem Kuka. NWRO aspirowała do kierowania rewolucją w całym ZSRR, uznając za nieodzowny udział w niej samego narodu rosyjskiego.

Stepaniak wpadł wkrótce w ręce NKWD. Trzy tygodnie po zjeździe pojawił się Kłym Sawur. Pozornie pogodził się z tym, co się stało – na Wołyniu działała NWRO, a nie OUN. Kiedy Szuchewycz i Kuk oraz ich ludzie znaleźli się po tej samej stronie linii frontu i wznowili ze sobą łączność, obie strony spotkały się późną jesienią na naradzie, na której Kłym Sawur wymógł rozwiązanie NWRO i powrót jej działaczy i struktur na łono OUN.

W zamian Kuk i Buseł wymogli, że odtąd OUN naprawdę będzie trzymała się w praktyce programu z 1943 r., co dotychczas po stronie Szuchewycza i jego ludzi wcale nie było oczywiste. Stanie się to bardzo ważne, kiedy okaże się, że z zagranicy Bandera program ten odrzuca. Spór przegra, a w 1950 r. krajowa podziemna OUN uzupełni program: potwierdzając, że jest „przeciwna powrotowi do systemu obszarniczo-kapitalistycznego", zapewni, że w niepodległej Ukrainie ustrojem politycznym będzie demokracja, w tym „wolność organizacji politycznych i społecznych".

Nacjonalizmu nie chcieli

Na emigracji, w latach powojennych, Łewycki napisze (kursywa w oryginale):

„Z *przejściowym* charakterem rozłamanej [na banderowców i melnykowców] OUN związany był w latach 1940-1944 nie tylko sprzeczny charakter *ideologii* OUN(b). Z tego jej nieokreślonego jeszcze charakteru wynika także *jej zadziwiająca taktyka i praktyka polityczna tych lat*.

Ta praktyka OUN *to suma ogromnych przeciwieństw*, gdzie najszlachetniejsze wysiłki, na jakie tylko może zdobyć się człowiek, szły w parze ze zwykłą zbrodnią, bratobójstwem i terrorem. Bohaterski opór wobec okupanta szedł w parze z czynami, które okrywają hańbą honor Ukraińca. Są to fakty, których nie można ani przemilczać, ani wymazać z naszej niedawnej historii.

Należy jednak zrozumieć, że praktyka ta wynikała z niejednorodnej struktury ideowej OUN, z jej całego *przejściowego* charakteru. Stąd też brał się w szeregach OUN różnorodny materiał ludzki: »dobrze« czuli się tu prymitywni, wychowani na starych dekalogach fanatycy nacjonalistyczni obok *całkiem* nowych ludzi, którzy wychowali się już na gruncie nowych idei. W procesie rozwoju historycznego te nowe elementy całkowicie zapełniły szeregi ukraińskiego ruchu wyzwoleńczego".

Choć zabraknie umysłu politycznego na miarę Stepaniaka, Buseł, przy poparciu Kuka, będzie szkolił i promował tych nowych ludzi. Po jego śmierci z rąk NKWD w 1945 r. – pół roku po śmierci Kłyma Sawura – zadanie to przejmie Kuk, wówczas już jako wiceprzewodniczący OUN, a po zabiciu Szuchewycza przez NKWD w 1950 r. ostatni przewodniczący, aż do schwytania go przez Sowietów w 1954 r.

To ci nowi ludzie – tacy jak Petro Fedun „Połtawa" i Osyp Diakiw „Hornowy", młodzi nacjonaliści rewolucyjno-demokratyczni – przeprowadzą radykalną przebudowę ideową organizacji. Połtawa, jako kierownik aparatu ideologicznego, zakaże z poparciem kierownictwa wykorzystywania na szkoleniach i reedycji przez wydawnictwa podziemne tego wszystkiego, co OUN opublikowała przed 1944 r., z jedynym wyjątkiem uchwały programowej z 1943.

„Nasz światopogląd z lat 1929-1939", tj. nacjonalizm integralny, wyjaśni, „zbankrutował już wtedy, kiedy w polskich więzieniach nie wolno nam było dyskutować z komunistami, bo oni bili nas argumentami, a jeszcze bardziej zbankrutował w 1941 r., kiedy poszliśmy na Wschód".

W trwającej debacie wewnętrznej nad zmianą nazwy organizacji i usunięciem z niej odwołania do nacjonalizmu – wymagałoby to niemożliwego w podziemiu zwołania zjazdu delegatów – będzie postulował zachowanie nazwy historycznej, lecz nieodzownie uzupełnionej. Miałaby brzmieć tak: „Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – Niepodległość, Demokracja, Socjalizm".

W gułagu i z gułagu Stepaniak będzie uporczywie, przez kilkanaście lat, starał się budować NWRO. „Idee Stepaniaka" – czytamy w raporcie KGB o jego łagrowej działalności politycznej – podzielają byli przywódcy OUN w Obozie Pracy Poprawczej m. Workuty".

Skąd się bierze zbrodnia

„W dziejach ludzkości istnieje coś podobnego do odpłaty za wyrządzone zło, a regułą owej historycznej odpłaty jest to, że jej oręż wykuwa nie pokrzywdzony, lecz sam sprawca krzywdy".

Kto to napisał? Jacek Kuroń w sprawach polsko-ukraińskich kontrowersji historycznych? Chyba naprawdę można się pomylić. Nie, Marks.

„Gwałty popełnione przez zbuntowanych sipajów w Indiach to rzeczywiście przerażające, ohydne, niedające się wprost opisać czyny", pisał dalej, lecz „jakkolwiek haniebne jest postępowanie sipajów, jest ono tylko odbiciem w skondensowanej formie zachowania się samej Anglii w Indiach".

Kiedy w połowie XIX wieku sipaje, indyjscy żołnierze angielskich wojsk kolonialnych, obrócili broń przeciwko swoim oficerom, dokonali również masakr tysięcy angielskich i angloindyjskich cywilów, z kobietami i dziećmi włącznie. Jako bojownicy pierwszej w Indiach wojny o niepodległość są w indyjskim panteonie narodowym.

Sam sprawy takie, których w historii jest mnóstwo, stawiam tak: jeśli ruch wyzwoleńczy narodu uciskanego dopuszcza się zbrodni na narodzie panującym, to przyczyną jest ucisk narodowy, a nie wola wyzwolenia się spod niego. ●

Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza".



FOT. WSZ83/CC BY-SA 4.0

***Zbigniew Marcin Kowalewski**

• Rocznik 1943, bada ruchy rewolucyjne i wyzwoleńcze. Ostatnio wydał: „Ukraińskie rewolucje" (2023), „To nie jest kraj dla wolnych ludzi. Sprawa polska w rewolucji haitańskiej" (2024). Od lat 80. jego eseje o historii OUN i UPA ukazują się po angielsku, francusku, hiszpańsku, polsku i ukraińsku.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Horacy*

Do Leukonoe

Nie dociekaj nie nasza to rzecz Leukonoe
kiedy umrzeć mam ja kiedy ty nie odsłaniaj
babilońskich arkanów Co ma być niech będzie
Czy wiele zim przed nami czy właśnie ostatnia
pędzi morze Tyrreńskie na oporne skały
rozważnie klaruj wino nadzieję odmierzaj
na godziny – czas biegnie zazdrosny o słowa –
i weseląc się dziś nie dowierzaj przyszłości





***Horacy (Quintus Horatius Flaccus)** – 65-8 p.n.e., najwybitniejszy z liryków rzymskich. W latach 44-42 uczestniczył w wojnie domowej po stronie zabójców Cezara, kilka lat później wszedł w krąg literacki Mecenasa
Autor „Pieśni", „Epod", „Satyr" i „Listów" poetyckich. Liryka Horacjańska wywarła znaczny wpływ na polską poezję renesansową (Kochanowski) i barokową (Sarbiewski), motywy horacjańskie są obecne w polskiej i nie tylko polskiej poezji do dziś.

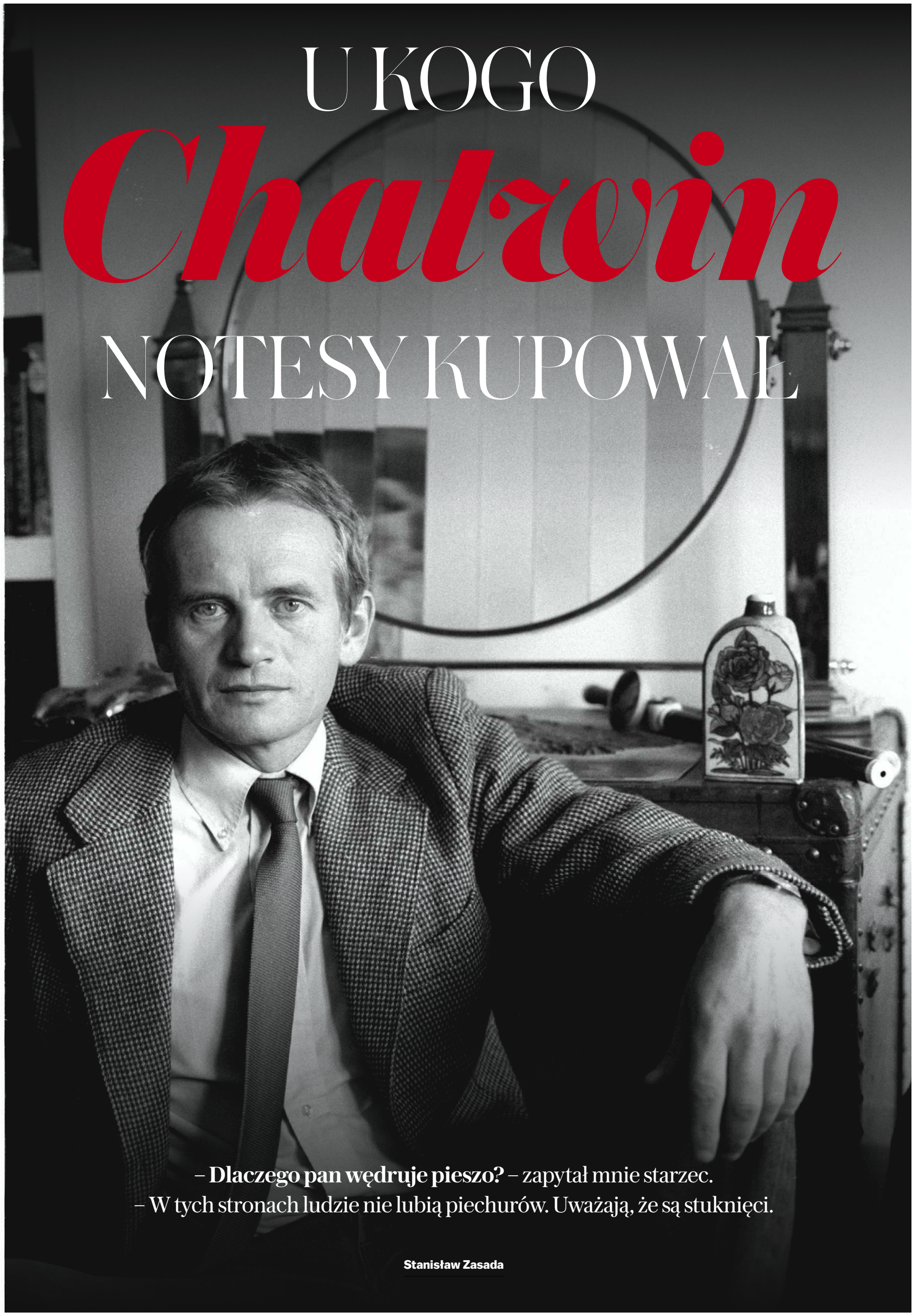
Utwór (pieśń 11 z księgi I) za: Horacy, **„Dwadzieścia dwie ody"**, przekł. Adama Ważyka, oprac. Stanisław Stabryła, Ossolineum, Wrocław 1991.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 46280ae095

ALE HISTORIA

U KOGO Chatwin NOTESY KUPOWAŁ



– Dlaczego pan wędruje pieszo? – zapytał mnie starzec.
– W tych stronach ludzie nie lubią piechurów. Uważają, że są stuknięci.

Stanisław Zasada

• **Bruce Chatwin (1940-1988), angielski podróżnik, dziennikarz, reportażysta i powieściopisarz. Najważniejsze książki: „W Patagonii" (1977), „Na czarnym wzgórzu" (1982), „Utz" (1988, finalista Bookera). W 2008 roku „The Times" uznał go za jednego z 50 największych brytyjskich pisarzy po 1945 roku**

FOT. SOPHIE BASSOULS/ SYGMA VIA GETTY IMAGE

1 RP

eprasa.pl 46280ae095

„Nie ma już prawdziwych moleskinów” – usłyszał w paryskiej papeterii na lewym brzegu Sekwany. Była połowa lat 80. zeszłego wieku. Czasu zostało mu niewiele.

PLAN

Cel był ambitny: znaleźć w Paryżu sklepik, gdzie słynny reporter kupował kultowe notesy. Jeśli to ten, o którym myślę – byłem tam nie raz. Może pamiętają jeszcze angielskiego obieżyświata? Trochę wątpliwe – 40 lat, jak był ostatnio. Ale powinni jego legendę znać przynajmniej.

Poszukiwanie śladów pisarza okaże się trudniejsze. Tak jak pełen zagadek był Bruce Chatwin.

TELEGRAM

„Wyjechałem do Patagonii na sześć miesięcy”.

Telegram wysłać miał do domu aukcyjnego Sotheby’s w Londynie. Można o tym przeczytać na okładce polskiego wydania „W Patagonii”. Tylko że nie pracował już w Sotheby’s – od paru lat był dziennikarzem szacownego „The Sunday Times”. Chodziło pewnie o list, który nadał z Południowej Ameryki do kolegi z redakcji. „Zamierzam spędzić Boże Narodzenie w samym środku Patagonii. Zbieram tam materiały do pewnej opowieści dla siebie, czegoś, co zawsze chciałem napisać” – w grudniu 1974 roku pisał z Limy do Francisa Wyndhama.

Trzy lata później wyda „W Patagonii”: opowieść o wędrówce na kraniec Ameryki Południowej.

Podróżuje pociągiem, autostopem, konno, pieszo. „– Dlaczego pan wędruje pieszo? – zapytał mnie starzec. – Nie umie pan jeździć konno? W tych stronach ludzie nie lubią piechurów. Uważają, że są stuknięci”.

Spotyka Indian i emigrantów. Jak tę rosyjską lekarkę: wyszła za Polaka, „każde zaoszczędzone peso wydawała na książki”. „Mandelsztam, Cwietajewa, Pasternak, Gumilow, Achmatowa, Sołżenicyn – sypała tymi nazwiskami z takim nabożeństwem, jakby odmawiała litanię”.

W Buenos Aires rozmawia z kobietą, która znała Che Guevarę. „ – Jak większość Argentyńczyków, był bardzo macho – wyznała. – Ale nie sądziłam, że zajdzie aż tak daleko”.

W La Placie czyta wyblakłe graffiti z maja 1968: „Isabel Perón albo śmierć!”, „Dobry intelektualista to martwy intelektualista”, „Śmierć angielskim piratom!”.

W Gaiman młody pianista gra mu mazurka Chopina.

W Punta Arenas amerykański baptysta każe modlić się za Pinocheta. A były nazista – „Walter Rauff to ten, który wynalazł objazdowe komory gazowe” – pakuje do metalowych puszek białe mięso krabów.

W Ushuaia, najdalej położonym na południu mieście świata, mija dawne więzienie, „pewniejsze niż więzienia na Syberii”. I burdel. „Gdy go mijałem, uszminkowana kobieta wyrzucała śmieci. Miała na sobie czarny chiński szal, haftowany w różowe peonie z aniliny. Rzuciła mi: Qué tal? (Jak się masz?) i uśmiechnęła się; był to jedyny szczery i wesoły uśmiech, jaki widziałem w Ushuaia”.

Rozpytuje o kapitana Charley’a Milwarda: żeglarz, rozbitek. W drodze do jego owczej farmy w Valle Huemeules zatrzymuje się w barze – Milward był tu ostatnio w roku 1919. „Właścicielka baru pamiętała jego wąsy”. Częstują go połową jagnięcego udźca. „ – Nie dam rady tyle zjeść. – Ależ da pan radę, da”.

Szuka śladów Butcha Cassidy i Sundance’a Kida: na przełomie stuleci napadali na banki i pociągi na Dzikim Zachodzie, przed wymiarem sprawiedliwości uciekli aż tutaj. Chatwin odwiedza rozpadający się dom, który z drewnianych bali postawił Cassidy; teraz własność Indianki. „– Może pan by kupił ten dom? – zapytała”. Stary Niemiec opowiada mu, że jego krewni znali dobrze obu gringo. „– Prawdziwi dżentelmeni – odparł. – Byli zaprzyjaźnieni z moją rodziną, to moi wujowie ich pochowali”. Ale może to legenda, bo okoliczności śmierci Butcha nie są pewne.

„Dopiąłem celu tej komicznej wyprawy” – pisze pod koniec, bo w jaskini znalazł resztki rudawej sierści. Przekonany jest, że należała do wymarłego leniwca. Po to przyjechał.

ABORYGENI

„Arcydzieło podróży, historii i przygody” – komplementuje opowieść Chatwina „New York Times”.

Wielbiciele Chatwina ruszą z książką do Patagonii. Rozczarują się: to zapis impresji, obrazków ze spotkanymi ludźmi – żadna relacja z podróży. Nie da się z nią wędrować jak z przewodnikiem.

„Ktoś, kto czyta »In Patagonia«, nie powinien oczekiwać, że opisani tam ludzie wyglądają tak jak w rzeczywistości. Chatwin odrzucił tradycyjne dla dawnego reportażu żądania wierności faktom i używał technik, którymi posługują się autorzy powieści” – to Susannah Clapp, jego redaktorka.

Przekonają się o tym żona Chatwina i jego biograf – Nicholas Shakespeare. Na przykład rosyjska lekarka, którą odwiedzą, wcale nie ma książek Osipa Mandelsztama, ale Agathy Christie.

„Był to nowy rodzaj pisarstwa, który z literatury faktu uczynił gatunek bardziej pojemny i bogaty” – Clapp podsumuje styl Chatwina. A Ryszard Kapuściński „obwini” za przyczynienie się do „zmącenia gatunków”. Też tak będzie pisał.

A Chatwin? Napisze jeszcze jedną reporterską książkę: „Pieśni stworzenia” opowiadają o pierwszych mieszkańcach Australii – Aborygenach. Wierzą, że świat powstał ze... śpiewu. „Aborygeńskie mity na temat stworzenia świata mówią o totemicznych przodkach, którzy przemierzali cały kontynent w Epoce Snu i wyśpiewywali nazwy wszystkiego, co stanęło im na drodze: ptaków, ssaków, roślin, gór, oczek wodnych; i w ten sposób nadawali im istnienie”.

Jak to u Chatwina – sporo dygresji. Cytuje Mistrza Eckharta, Pascala, Baudelaire’a, Blake’a, Rilkego, Prousta. I ulubionego Rimbauda: „Od dawna chwaliłem się, że zawładnąłem wszystkimi krajobrazami, jakie tylko są możliwe...”.

Podobno to jego najlepsza rzecz. Ale gdy nominują ją do Thomas Cook Travel Book Award – zaprotestuje, że to nie książka podróżnicza, tylko literacka fikcja. Poprosi o wycofanie nominacji.

Dołoży jeszcze trzy powieści. Bohaterem jednej jest brazylijski handlarz niewolników: w Zachodniej Afryce założy dynastię mulatów. Powieść „Wicekról Ouidach” przeniesie na ekran Werner Herzog. W główną rolę wcieli się Klaus Kinsky. Bohater innej to niemiecki Żyd: mieszka w Pradze i zbiera rokokowe figurki z porcelany. Po śmierci Utza (tak się nazywa), kolekcja przepada, narrator próbuje rozwikłać zagadkę. Przy okazji opisuje życie w komunistycznej dyktaturze. Za „Utza” dostanie nominację do Bookera. Obok „Szatańskich wersetów” Salmana Rushdiego.

Nie skończy książki o nomadach. Wędrowanie – jego obsesja. „Za dużo czasu spędzamy w zamkniętych pomieszczeniach” – uważał. Wędruje ze skórzanym plecakiem. Zanim umrze, odda go Herzogowi – przyjaźnili się. Reżyser zrobi o nim film: z Herzogiem widz wędruje po śnieżnej Patagonii, bezdrożach Australii, południowej Walii, gdzie Bruce mieszkał z żoną w ruinach średniowiecznego zamku.

Plecak Chatwina to ważny szczegół – Herzog zabiera go w podróż śladami pisarza. Raz ochroni filmowca przed odmrożeniem, może śmiercią: w Patagonii zamieć śnieżna zaatakowała go na grani, nie miał namiotu ani śpiwora. Okopał się w małej jaskini, dwie doby przesiedział na plecaku.

Na plakacie filmu „Nomada. Na tropie Bruce’a Chatwina” reżyser usiadł na skale, patrzy przez lornetkę. Przed nim skórzany, znoszony plecak.

SZEKSPIR

Anglik, musiał tu przychodzić – kalkuluję. Anglojęzyczna księgarnia „Shakespeare and Company” przy Rue de la Bucherie 37 w Dzielnicy Łacińskiej. Nabrzeże Sekwany, naprzeciwko wyspa Cité z katedrą.

Na pierwszej stronie zapisywał nazwisko, adres i obietnicę nagrody dla znalazcy. „Gdybym zgubił paszport, nie byłoby jeszcze nieszczęścia, ale zgubienie notatnika stanowiłoby prawdziwą katastrofę”. Przez dwadzieścia lat podróżowania po kilku kontynentach stracił dwa

Pierwszą „Shakespeare and Company” otworzyła koło Odeonu sto lat temu Sylvia Beach, Amerykanka. Dobra znajoma Jamesa Joyce’a, Thomasa Stearnsa Eliota, Francisa Scotta Fitzgeralda, Ernesta Hemingwaya, Gertrudy Stein. Wypożyczała anglojęzyczne tytuły. „W tamtych czasach nie było pieniędzy na kupowanie książek” – wyzna Hemingway; przeczyta u niej Turgieniewa, Gogola, Czechowa. Potem będzie je sprzedawała. Ceniła modernistyczną literaturę: gdy wydawcy uznali „Ulissesa” za powieść obsceniczną, wydała ją Beach. W 1941 roku niemiecki oficer chciał kupić u niej „Finnegans Wake”, kolejną eksperymentalną powieść Joyce’a. Odmówiła. Naziści zamknęli księgarnię.

Jej rodak George Whitman też handluje książkami. W 1951 roku przyjeżdża do Paryża, kupuje dom przy ulicy Rzeźników 37. Tak powstała księgarnia „Le Mistral”. Kilkanaście lat później właściciel zmieni nazwę na „Shakespeare and Company” – to w hołdzie dla zmarłej rodaczki. No i przypadała czterechsetna rocznica urodzin Szekspira.

U Whitmana też spotyka się paryska bohema literacka: Baldwin, Cortazar, Ginsberg. Czemu Chatwin nie miałby przychodzić? Zawsze tu tłoczno. W dzisiejsze popołudnie też. Trochę jak księgarnia, trochę jak antykwariat, a trochę jak czytelnia: można stanąć albo usiąść byle gdzie i czytać zabraną z półki książkę.

Powinni mieć Chatwina. Jest! Tom „The Songlines” (angielski tytuł „Ścieżek śpiewu”) stoi obok Kapuścińskiego. Chcę znaleźć fragmenty o moleskinach. Rezygnuję jednak.

W takim tłoku materiału zbierać się nie da.

BRONTOZAUR

„W jadalni mojej babki stała oszklona komoda, a w niej leżał kawałek skóry” – zaczął „W Patagonii”.

„Kawałek skóry” miał pochodzić od prehistorycznego brontozaura, którego szkielet zakonserwował lodowiec. U wejścia do Cieśniny Magellana znalazł go

eprasa.pl 46280ae095

kuzyn babki – ów żeglarz Charley Milward. Okaże się, że nie chodziło wcale o brontozaura, lecz o jego dalekiego krewnego – mylodonta. Ale dla Bruce'a to pretekst, żeby ruszyć w podróż.

Rocznik 1940. Gdy przychodzi na świat w Sheffield, jego ojciec jest na morzu – służył w marynarce wojennej. Gdy samoloty ze swastyką zrzucają bomby na Coventry, matka chroni się z kilkumiesięcznym Brucem na wsi.

„Kochani Mamusiu i matusiu, mam nadzieję, że czujecie się dobrze" – ośmio-, dziewięcioletni zaczyna listy ze szkoły z internatem (ortografia nigdy nie będzie jego atutem). „Nie przykłada się zbyt pilnie do nauki, a jego uwaga szybko się rozprasza" – raportuje rodzicom dyrektor.

Dziewiętnastoletni. Skończył college, dostał pracę w londyńskim Sotheby's. Specjalista od antyku, sztuki współczesnej i impresjonistów. Jeździ do Aten, Nowego Jorku, na Kretę, Sardynię, do Sudanu. Rozpoznaje falsyfikaty. Wróżą mu, że zostanie prezesem. A on rezygnuje z posady. Gdy przychodzi do „Timesa", tłumaczy się, że nie umie pisać – przecież zatrudnili go jako konsultanta od sztuki.

– W życiu nie słyszałem podobnej bzdury – słyszy od redaktora Wyndhama. To do niego napisze z Limy, że jedzie do Patagonii.

Z tą nieumiejętnością pisania zgrywał się. Wyzna kiedyś: „Jak każdy obibok, chciałem pisać".

Pierwszy tekst dla „Timesa" jest o Madeleine Vionnet, francuskiej projektantce mody, która preferowała sukienki o skośnym kroju. Niedługo potem jedzie do Paryża: mieszka tam irlandzka architektka Eileen Gray. Na ścianie widzi mapę Patagonii – Gray namalowała ją gwaszem.

– Zawsze chciałem tam pojechać – mówi Chatwin.

– Ja też. Niech pan pojedzie tam za mnie.

Tekst o Gray nie powstanie. Ale do Patagonii pojedzie.

Od dawna żonaty. Elizabeth poznał w Sotheby's. Będzie ją zdradzał z kobietami i mężczyznami. Elizabeth będzie wyrozumiała.

Większość życia spędzi w drodze. Elizabeth też będzie wyrozumiała.

RIMBAUD

Gdzie nie był?

W Beninie trafia na zamach stanu. Biorą go za najemnika.

„– Najemnik! – powiedział, wskazując na naszywaną kieszeń moich spodni w kolorze khaki. Kapral miał gąbczaste dziąsła i cuchnęło mu z ust.

– Nie – odpowiedziałem nagle. – Jestem turystą.

– Najemnik! – wrzasnął i uderzył mnie w twarz. Niezbyt mocno, ale na tyle, żeby zabolało".

W Moskwie odwiedza Nadieżdę Mandelsztam. Wdowa po wielkim poecie leży w łóżku, w pomiętej pościeli. Przywiózł jej szampana, kryminały i dżem. Pierwsze dwa dary przyjęła obojętnie.

„Kiedy jednak wyjąłem trzy słoiki dżemu z sewilskich pomarańczy, dzieło mojej matki, zgasiła papierosa i uśmiechnęła się.

– Dziękuję ci, kochanie. Dżem to moje dzieciństwo".

Z Indirą Gandhi objeżdża Indie w kampanii wyborczej. Zostaje zaatakowany.

„Należycie opatrzony, poszedłem na popołudniową konferencję prasową, gdzie pani G. jak zwykle rozdawała filiżanki z herbatą.

– Wielkie nieba, panie Chatwin, co się panu stało? – spytała.

– Obrzucono mnie kamieniami, pani Gandhi.

– To właśnie spotyka ludzi, którzy mi towarzyszą".

W Himalajach szuka yeti.

Ma w sobie coś z Arthura Rimbauda. Tamten też nie mógł usiedzieć na miejscu. W Brukseli uganiał się za miłością, w Paryżu widziano go na barykadach komunardów, błąkał się po Londynie; zaciągnął do armii holenderskiej, popłynął na Jawę, zdezerterował. Mieszkał na Cyprze, na Półwyspie Arabskim, w Etiopii handlował strzelbami, skórą, kawą.

„Co ja tu robię?" – pisał z Afryki.

Życie Rimbauda też stało się legendą. („Ja to ktoś inny").

Też kochał się w kobietach i mężczyznach. „Pokochałem wieprza" – to o starszym o dziesięć lat poecie Verlainie. Tak samo łamał literackie konwenanse.

„Bełkocząc w delirium strumieniem poetyckich obrazów, których jego siostra Isabelle, chociaż miała pod ręką kartkę i ołówek, nie uznała za stosowne zapisać" – Chatwin o końcu Rimbauda.



• **Anglojęzyczna księgarnia „Shakespeare and Company" przy Rue de la Bucherie 37 w Dzielnicy Łacińskiej** FOT. STANISŁAW ZASADA

W 1891 roku umarł w marsylskim szpitalu. Też młodo.

MOLESKIN

Mógł kojarzyć się z modlitewnikiem. Oprawiony w ceratę imitującą skórę, o zaokrąglonych rogach, z kremowymi kartkami i materiałową zakładką. Koniecznie spięty gumką, żeby nie otwierał się bez potrzeby i żeby nie wysypywały się z niego poupychane w środku luźne kartki. Takich notesów używać mieli van Gogh, Picasso, Apollinaire, Sartre. A po nich Chatwin.

Hemingway nie rozstaje się z nimi. W „Ruchomym święcie" co rusz:

„Notesy w niebieskich okładkach, dwa ołówki i temperówka (scyzorykiem za dużo się marnowało), stoliki z marmurowymi blatami, zapach café crème, zapach porannego mycia podłóg i zamiatania oraz szczęście – to wszystko, czego potrzebowałeś"; „wyjąłem z kieszeni marynarki notes i ołówek i zacząłem pisać"; „zamknąłem opowiadanie w notesie, włożyłem go do wewnętrznej kieszeni".

„Notes z gumką, jakiego używał Hemingway" – mówili podobno kupujący.

Chatwin nazwał je moleskinami.

INTROLIGATOR

„Wyciągnąłem z kieszeni czarny, oprawiony w imitację skóry notes, którego kartki przytrzymywała gumka.

– Ładny notes – zauważył.

– Kupiony w Paryżu – powiedziałem. – Teraz już takich nie robią.

– W Paryżu? – powtórzył, unosząc brew, jakby uważał to za bardzo pretensjonalne".

Trzeci rozdział „Pieśni stworzenia". Rozmówca Chatwina nazywa się Arkady Volchok, syn rosyjskiego emigranta, jego przewodnik po Australii.

W rozdziale trzydziestym o moleskinach cała strona.

Bruce jest w hotelu, zabiera się do pracy. Z „obsesyjną skrupulatnością" rozkłada swoje „paryskie" notatniki. Wyjaśnia, że po francusku nazywają się carnets moleskines – po prostu: moleskiny. „Za każdym razem, gdy byłem w Paryżu, kupowałem sobie świeży zapas tych notatników w papetrie przy rue de l'Ancienne Comédie".

Na pierwszej stronie zapisywał nazwisko, adres i obietnicę nagrody dla znalazcy. „Gdybym zgubił paszport, nie byłoby jeszcze nieszczęścia, ale zgubienie notatnika stanowiłoby prawdziwą katastrofę".

Przez dwadzieścia lat podróżowania po kilku kontynentach stracił dwa. „Jeden w autobusie w Afganistanie. Drugi zabrali mi funkcjonariusze brazylijskiego wywiadu, którzy w przypływie jasnowidzenia stwierdzili, że notatki na temat ran barokowej rzeźby Chrystusa są tak naprawdę szyfrowym zapisem tego, jak traktują więźniów politycznych".

Przed wyjazdem do Australii chce zrobić zapas. Właścicielka papeterii mówi, że ma jednego dostawcę – rodzinną firmę z Tours.

„ – Chciałbym zatem kupić sto – powiedziałem Madame. – Tyle wystarczy mi na całe życie".

Kobieta obiecuje, że zadzwoni do Tours. Każe przyjść o piątej po południu.

Za chwilę kolejne rozczarowanie.

„W czasie lunchu miałem nieprzyjemne zdarzenie. Szef kelnerów w Brasserie Lipp nagle przestał mnie poznawać".

O piątej po południu stawia się znów w papeterii.

„Właściciel firmy umarł, a jego spadkobiercy ją sprzedali. Zdjęła okulary na nosie i powiedziała z żalem:

– *Le vrai moleskine n'est plus*".

(Polski tłumacz Paweł Lipszyc zostawił francuską wersję zdania).

Miłośnicy detali zapamiętali fragment o moleskinach.

LEKTURA

Dzisiaj jestem przed otwarciem. Kilka osób też tak pomyślało: stoję za nimi przed „Shakespeare and Company".

Z regału z Chatwinem i Kapuścińskim biorę „The Songlines". Biegnę na drugie piętro – tam można poczytać. Przez małe okno Notre Dame na wyciągnięcie ręki. Na stoliku maszyna do pisania i egzemplarz „Ulissesa". Na innym – tom listów Oscara Wilde'a.

Zabieram się do „The Songlines". Otwieram na trzecim rozdziale, gdzie Arkady Volchok zachwyca się „ładnym notesem" Bruce'a. W pamięci mam polski tekst, znajduję zdanie wypowiedziane przez Rosjanina: „Nice notebook, he said".

Rozdział „Trzydziesty", gdzie Bruce opisuje, jak usłyszał od paryskiej sprzedawczyni, że prawdziwych moleskinów już nie ma. Po francusku: „Le vrai moleskine n'est plus".

Odkładam książkę koło Kapuścińskiego.

KAWIARNIA

Nie tylko Arkademu opowiadał o paryskich notesach.

„– Pochodzisz z Patagonii? – zapytał, przerywając milczenie.

– Nie, urodziłem się na Północy.

– To lepiej. Nawet w ćwierci nie można wierzyć w to, co mówią Patagończycy. To najwięksi w świecie kłamcy – zauważył, sięgając po piwo. Poczułem się zmuszony odeprzeć cios.

– Nauczyli się kłamać od Anglików".

Z Luisem Sepúlvedą się tak przekomarza. To chilijski pisarz i podróżnik, więzień Pinocheta. Spotkali się w Café Zurich w Barcelonie.

Sepúlveda opisze to w książce „Express Patagonia". Też ruszył śladem Chatwina.

„Wspominam to wszystko, kiedy czekam, siedząc na beczce wina i zapisując notatki w zeszycie w kratkę, który Bruce podarował mi właśnie z okazji tej podróży. Nie jest to pospolity zeszyt. To zabytek muzealny, autentyczny moleskin, jakże ceniony przez takich pisarzy jak Celine czy Hemingway; nie ma już takich w sklepach papierniczych".

Chatwin też przekazał mu instrukcję obsługi: radził ponumerować strony, zapisać ze dwa adresy w różnych miejscach świata i obiecać znaleźne.

„Kiedy zauważyłem, że to wszystko wydaje mi się zbyt angielskie, Bruce stwierdził, że właśnie dzięki tego typu ostrożnościom Anglicy nadal łudzą się, że są imperium".

Sepúlveda o Chatwinie i jego moleskinach rozpisuje się na kilku stronach.

„Myślę, że kiedy wykupił wszystkie moleskiny w starym paryskim sklepie papierniczym przy Rue de l'Ancienne Comédie, jedynym, który je sprzedawał, Bruce nieświadomie przygotowywał się do długiej, ostatniej

eprasa.pl 46280ae095

podróży. Co, u diabła, zanotuje w nich, gdziekolwiek się znajdzie?”.

Gdy na wyspie Chiloé stawiają przed nim litrowy dzban wina, przypomina sobie, jak Chatwina poczęstowano baranim udźcem. Sepúlveda zapamiętał opowieść Anglika tak:

„– Poproszę o coś lekkiego – zwrócił się do kelnera.

Podano mu połówkę pieczonego baraniego udźca, a kiedy protestował, mówiąc, że chce coś lekkiego, usłyszał jedną z tych odpowiedzi, które nie dopuszczają jakiejkolwiek repliki:

– To był bardzo chudy baran. Na całej wyspie nie znajdzie pan lżejszego stworzenia”.

Rozmowa w Café Zurich przeciągnęła się. Długo gadali o dwóch legendarnych bandytach z Dzikiego Zachodu, których śladów Chatwin szukał w Patagonii. Chilijczyk opisze to potem: „Towarzyszyli nam dwaj starzy gringos, choć tylko my mogliśmy ich widzieć. Skoro było nas czterech przy stole, więc nikt nie powinien się gorszyć, że opróżniliśmy dwie butelki koniaku”.

Mocno zalani, planowali podróż na kraniec świata.

PAPETERIA

Z „Shakespeare and Company” na Rue de l’Ancienne Comédie kilkanaście minut. Wąska, wyłożona brukiem, z Café Procope – najstarsza kawiarnia Paryża. Jan Jakub Rousseau i Voltaire rozprawiali tutaj o oświeceniowych ideach, Robespierre kłócił się z Dantonem, jak daleko może pójść rewolucja, a Chopin przychodził tu z George Sand.

Mnie interesuje papierniczy sklep. Za kutą z żelaza bramą, która przedziela uliczkę, drewniany szyld: „Grimart”. W witrynie kuszą pióra: wieczne i do maczania w kałamarzu, atramenty, bibularze, oprawione w skórę notesy, czerpany papier. Wszystko ręczna robota. Sprzedawczyni przytakuje, że Chatwina zna z książek. Ale gdy pytam, czy kupował tutaj moleskiny, wysyła mnie do sklepu za rogiem. Jakby nie rozumiała, że nie po notesy przyszedłem. Lecz po legendę.

Za kilka dni znowu jestem. Sprzedawca, czterdziestolatek, o Chatwinie nie słyszał. O legendzie związanej z moleskinami – też nie. Za każdym pytaniem odsyła mnie do sklepu z moleskinami. Za rogiem.

Czuję się trochę jak Bruce, gdy kelner z Brassserie Lipp przestał go poznawać.

MEDIOLAN

Dwudziesty wiek kończy się. Chatwina nie ma od kilku lat.

Pomysłowy przedsiębiorca z Mediolanu wznawia produkcję moleskinów. „Spadkobierca i następca legendarnego notatnika używanego przez artystów i myślicieli przez ostatnie dwa stulecia” – chwali się firma.

Moleskiny można dziś kupić w każdym papierniczym, w dobrych księgarniach. W różnych wariantach: jeden z papierem do zapisywania nut.

Ten, który ja mam, jest w wersji kalendarza. Na pierwszej stronie po angielsku informacja, że w razie zagubienia znalazcę prosi się o odesłanie notesu (miejsce na imię, nazwisko, adres właściciela). Trzeba wpisać sumę znaleźnego. W dolarach.

PLECAK

– Tyle jest rzeczy, które chcę zrobić – żali się Elizabeth. Opatulony szalem, siedzi przy piecu w Oksfordzie.

Z niemieckim poetą Hansem Magnusem Enzensbergerem umawiał się na spacer wzdłuż Muru Berlińskiego. Z Luisem Sepúlvedą na podróż na kraniec świata. Tymczasem stale mu zimno, ma chrypkę. Przetaczają mu krew. Nie chce się przyznać, że to AIDS. Łudzi się, że malaria. Zakażenie zaatakowało mózg. Zrobił się gadatliwy, snuje fantastyczne plany.

A to chce przejść na prawosławie i pójść do klasztoru: „Jeżeli kiedykolwiek czegoś żałowałem, to tego, że nie mogłem zostać zakonnikiem”. A to rzuca się na zakupy. Raz chce kupić konia: „Oczywiście musi to być klacz arabska, może nie konkursowa, ale rozpłodowa”. Skupuje dzieła sztuki. „W Nowym Jorku kupiliśmy woskowy model Neptuna Giovanniego da Bologna – to bez wątpienia jedna z najpiękniejszych małych rzeźb, jakie istnieją”, „Kupiliśmy też niewiarygodny niemiecki rysunek z połowy piętnastego wieku”.

Pisze ostatnie listy. W sierpniu 1988 roku do australijskiej pisarki Ninette Dutton: „Tak naprawdę to wcale nie jestem chory, poza tym, że miałem nierozpoznaną przez 13,5 miesiąca malarię i nawrót grzyba, przy którym konieczna była transfuzja krwi, a pielęgniarka wstrzyknęła mi krew prosto z lodówki, kompletnie rujnując tym sposobem nerwy w nogach i dłoniach”.

W październiku do amerykańskiego pisarza Paula Theroux: „Jestem w zasadzie przykuty do łóżka i strasznie by mnie ucieszyła wizyta, jeśli Ci pasuje”.

W listopadzie opuszcza Anglię, jedzie do Prowansji. „Jest cudownie ciepło i słonecznie, co zdecydowanie poprawia człowiekowi humor” – 29 grudnia pisze do Nicholasa Shakespeare’a. Właściwie to Elizabeth pisze, on dyktuje (jak Rimbaud siostrze).

Nie pojechał na wręczenie Bookera (nagrodę dostał Peter Carey). Porażkę znosi mężnie. „Nie przejmuję się po prostu Bookerem, bo to kompletna loteria”.

Zaprasza Wernera Herzoga. „Był też jedynym człowiekiem, z którym mogłem rozmawiać w cztery oczy o czymś, co nazwałbym świętym aspektem chodzenia”.

– Werner, ja umieram – mówi reżyserowi.

– Tak, jestem tego świadom.

– Musisz nosić mój plecak, właśnie ty musisz go nosić.

Trzy tygodnie później umiera w Nicei.

Prawie sto lat wcześniej w Marsylii umarł Rimbaud. Z Nicei to tylko dwieście kilometrów. Dla obieżyświata – kawałeczek.

LEGENDA

Znajduję sklep z moleskinami, do którego wysyłali mnie sprzedawcy z papierniczego przy Starej Komedii. Jest na małej uliczce Saint André des Arts.

– Znam Chatwina – Daniel, młody sprzedawca o latynoskiej urodzie, chętnie wdaje się w rozmowę. Czytał „W Patagonii”, słyszał historię o moleskinach. – Chodził po okolicznych księgarniach, antykwariatach i pytał o ulubione notesy – opowiada. Firmowy sklep z moleskinami istnieje od kilkunastu lat. Daniel nie kryje, że trochę z powodu legendy związanej z Chatwinem otwarto go w tym miejscu. Zachęca, żebym popytał w pobliskich księgarenkach. Może ktoś pamięta angielskiego podróżnika, jak wypytywał o notesy?

Chatwin pisał o papeterii przy l’Ancienne Comédie. Ale idę sprawdzić.

Po drugiej stronie ulicy szyld „Livres” reklamuje antykwariat. W witrynie coś z ducha Chatwina: książka o Beninie (tam wzięli go za najemnika), katalog z Sotheby’s. Sprzedawczyni znudzona: pracuje tutaj od połowy lat osiemdziesiątych, czytała Chatwina. Ale mówi to bez przekonania. Żeby tutaj przychodził i pytał o moleskiny? Nie pamięta.

Przerwałem jej rozmowę ze znajomą. Może też chciała się mnie pozbyć? ●

Korzystałem z książek: Bruce Chatwin „Co ja tu robię” (tłum. Paweł Lipszyc), Bruce Chatwin „W Patagonii (tłum. Robert Ginalski), Bruce Chatwin „Pieśni stworzenia” (tłum. Paweł Lipszyc), Bruce Chatwin „Pod słońcem. Listy” (tłum. Jolanta Kozak), Ernest Hemingway „Ruchome święto” (tłum. Miłosz Biedrzycki), Luis Sepúlveda „Express Patagonia” (tłum. Adam Elbanowski), Paul Theroux „Stary Ekspres Patagoński. Pociągiem przez Ameryki” (tłum. Paweł Lipszyc), Sylvain Tesson „Lato z Rimbaudem” (tłum. Agata Kozak).

Wczoraj, czyli dziś

Królu, unikaj Warszawy!

Miasto jest brudne, powietrze w nim śmierdzi gnojem, trupami i wyziewami, o chorobę łatwo.

Maciejewska



Ludziom, którzy „żyją dla szczęścia swych państw, godzi się bardziej starannie dbać (o zdrowie) i starannie unikać tego, co by zagrażało zdrowiu i życiu”, twierdził trzy wieki temu wrocławski lekarz.

Władza to wielki ciężar, szybko niszczy organizm dźwigającego to brzemię, więc takiego pacjenta trzeba traktować z większą rewerencją – uważał Balthasar Ludwig Tralles, wrocławski lekarz. Uwielbiał możnych tego świata, dzięki ich chorobom miał królewskie koneksje. Gdy w 1757 r. najmłodszy brat króla Fryderyka II zapadł we Wrocławiu na zapalenie płuc, doktor Tralles go wyleczył puszczaniem krwi. I szybko się pojawił korowód utytułowanych pacjentów.

Generał Jan Lipski jechał w 1778 do Trallesa po ratunek, bo go „zawiało” podczas polowania na niedźwiedzie, prymas Poniatowski radził się, jakie pić wody „na defekt jego”, który chętnie byśmy poznali, ale dyskrecja lekarska obowiązuje, książę Karol Radziwiłł chciał wyleczyć oczy, a hetmanowa Kossakowska, wdowa po zdrajcy powieszonym w czasie insurekcji kościuszkowskiej, do końca życia przechowywała niczym skarb recepty przepisane przez wrocławskiego medyka.

Tacy pacjenci karmili ego Trallesa, ale ukoronowaniem jego sukcesów w świecie władzy było zaproszenie wystosowane przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Monarcha zaproponował intratną posadę archiatry, czyli lekarza naczelnego, ale takie kariery medyczne zawsze były obarczone ryzykiem, więc Tralles podziękował, wymawiając się wiekiem. Miał już szósty krzyżyk, ale 30 lat życia przed sobą, więc mógł długo uzdrawiać polską elitę. Przede wszystkim jednak bał się – czego nie ukrywał – żejako ewangelik będzie dyskryminowany. Żeby się jednak władca nie obraził, napisał „Rady zdrowotne wrocławskiego lekarza dla króla polskiego” (tłum. Kazimierz Orzechowski, Wrocław 2010), w których zawarł, co król ma robić, żeby żyć długo i zdrowo.

Po pierwsze: unikać Warszawy. Tralles napisał, że tamtejsze powietrze śmierdzi gnojem, trupami i wyziewami z zakładów rzemieślniczych. Miasto jest brudne jak stajnie Augiasza, a w brudnym mieście o chorobę łatwo. „Niech sobie zapamiętają ci, którzy w smrodzie znajdują usprawiedliwienia dla smrodu i łudzą się, że gnicie można powstrzymać ciepłem, dzięki letniemu upałowi, i ogniem, bo przeciwnie, ono zwiększa się w ten sposób i rozszerza” – irytował się medyk.

Jeśli z Warszawy wyprowadzić się nie można, należy często wyjeżdżać. Najlepiej do Włoch lub do Francji, bo tamtejsze powietrze „nie zna surowości” i „swych mieszkańców czyni zdrowymi i długowiecznymi”.

Oczywiście ciężko potem w morowe powietrze wracać, ale nie należy się tym przejmować, skoro – jak twierdzą Włosi – państwo najlepiej funkcjonuje wtedy, gdy akurat rządu nie ma w ogóle.

Po drugie, król powinien właściwie się ubierać i odżywiać. Latem wybierać kreacje w kolorze białym i purpurowym (bo odbijają promienie słoneczne), zimą w niebieskim. Dla Trallesa numerem jeden jest biel. „Męska toga, jak wynika z różnych wzmianek u Cycerona, była biała. To znaczy, że len w swoim naturalnym kolorze był powszechnym strojem wszystkich obywateli”.

Po trzecie: dbać o głowę. Głowa rządzącym jest szczególnie potrzebna, więc powinni ją oszczędzać i chronić przed zimnem oraz silnymi podmuchami wiatru. Trallers zaleca – za włoskim lekarzem Bernardinem Ramazzinim — żeby zakładać peruki, bo to „zbawienna głowa dla uczonych, zwłaszcza starych, których naturalne ciepło stygnie i których naga czaszka nie ma włosów”. Albo ma ich zbyt mało.

Wystrzegać się także należy „dymu z węgli” i picia „spirytualiów”, choć zaznaczył, że „nie ma nic piękniejszego, jak człowiekowi spalonemu przez gorące, zewnętrzne powietrze (...) dodać do wody pitnej nieco wytrawnego wina, jak Mozelskie czy Reńskie”.

Trzeba też pamiętać – co dla zapracowanych polityków może być kłopotliwe – że głowę osłabiają nie tylko „gwałtowne wstrząsy umysłu i pokusy rozkoszy”, ale także „medytacje wysokiego lotu” i „tajemne kontemplacje”.

Znaczy, im mniej władza myśli, tym zdrowiej. Wrocławski doktor radzi dyplomatycznie: „narzuć właściwą miarę studiom i pracom, a zarazem oszczędzaj cały czas Twoją najbardziej wykształconą i zapracowaną głowę”. Po prostu nie myśl. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

eprasa.pl 46280ae095

Nagonka na dyrektora Muzeum POLIN

JAK INFORMACJĘ ZMIENIĆ W HEJT

Reakcje po wypowiedzi prof. Dariusza Stoli o Ukraińskiej Powstańczej Armii i Narodowych Siłach Zbrojnych świadczą wyłącznie o zgłupieniu polityki i mediów.

Maciej Górny

Ta historia zaczęła się w poniedziałek, 10 sierpnia. Dariusz Stola, historyk XX wieku, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, wystąpił w publicystycznym programie Polsat News. Rozmawiano o pamięci, Ukrainie i polityce historycznej. Relacja z tej rozmowy trafiła na stronę tej stacji i kilku innych mediów. Leady używane przez redakcje wybijały na ogół jeden wątek. Stola uznał za nierealistyczne oczekiwanie, że Ukraina upora się z trudnym dziedzictwem UPA już, teraz kiedy trwa wojna.

Tłumaczył: „Gdybyśmy prowadzili tę debatę, mówiąc tak: drodzy ukraińscy przyjaciele, uważamy, że bohaterowie UPA, których wybraliście sobie na patronów waszej jednostki wojskowej, nie są dobrymi patronami dla was samych. My mieliśmy podobnych ludzi. U nas się to nazywało Narodowe Siły Zbrojne i ONR. Byli wrogami demokracji i wrogami mniejszości narodowych. I uważamy, że byliby to źli bohaterowie dla polskiej jednostki wojskowej. My wam tego nie narzucimy. I wiemy, że teraz macie ważniejsze sprawy niż dyskusja o tej przeszłości. Ale zgłosimy się do was w trzy miesiące po zakończeniu wojny".

Następnego dnia treść informacji wyraźnie się skurczyła, za to jej zasięg wzrósł. Media – najczęściej prawicowe – podawały, cytując za „Do Rzeczy", że „w optyce dyrektora Muzeum POLIN prof. Dariusza Stoli Obóz Narodowo-Radykalny i Narodowe Siły Zbrojne to byli ludzie podobni do UPA". Niektóre notki zaznaczały, że teza historyka jest zaskakująca bądź kontrowersyjna, wciąż jednak bez podejmowania z nią dyskusji.

Po upływie kolejnego dnia porównanie UPA do NSZ dotarło do najaktywniejszych uczestników polskiej debaty publicznej – na jej i nasze nieszczęście. Na tym etapie Dariusz Stola doczekał się nie tyle krytyki, co potępienia. 12 sierpnia Robert Bąkiewicz ocenił jego wypowiedź na łamach „Do Rzeczy" jako „absolutne przegięcie". Poseł Matecki wtórował koledze, nagrywając wezwanie do „zniknięcia" Stoli z instytucji utrzymywanych przez polskiego podatnika. Opis swojej mowy oskarżycielskiej opatrzył sentencją „wara od polskich bohaterów!".

Profesor Stanisław Żerko, który chyba przegapił informację o obecnym stanowisku Stoli, we wpisie na „X" uznał jego opinię za akt zemsty na Polsce za zwolnienie z pracy. Obserwujący profil historyka ochoczo podchwycili i rozwinęli ten wątek. W mediach społecznościowych Polsatu spora grupa obywateli opisała dosadnie, za kogo Stolę uważa i komu Stola ich zdaniem służy. Internetowe fora prawicowych mediów także zakwitły twórczością raczej nie wartą przytaczania.

TRÓJSKOK MEDIALNY

Medialny żywot wywiadu Dariusza Stoli przeszedł trzy fazy. W pierwszej ukazały się dość wierne relacje z odpowiednimi cytatami. Żadna z nich nie wywołała burzy ani nie stała się klikalnym niusem. W drugim etapie temat podchwyciły inne media, które jednocześnie okroiły go z treści i podbiły ten fragment, który – jak sądzę – uznały za najbardziej obiecujący rynkowo. W kontekście ostatnich sporów polsko-ukraińskich i symbolicznych policzków, które wymierzają sobie prezydenci obu państw, takim fragmentem jest bez wątpienia porównanie UPA i NSZ.

Do tak wystawionej piłki ruszyło całe grono napastników, zarówno ci, których udział w nagonce na dyrektora POLIN dało się przewidzieć, jak i tacy, po których się tego nie spodziewano.

Dzięki posłowi Mateckiemu i jego trosce o fundusze publiczne, w ciągu kilku dni przeszliśmy szlak od rozmowy z historykiem w programie publicystycznym do żądania, żeby tego historyka wywalić z instytucji publicznych. Mamy wakacje i temu zapewne można zawdzięczać, że temat nie pojawił się jeszcze w Sejmie.

Taki trójskok medialny nie jest niestety w polskiej debacie publicznej niczym wyjątkowym. Po wszystkich jej stronach buzują emocje i nie trzeba wiele, żeby podnieść temperaturę w swojej „bańce". Interes w judzeniu jednych na drugich mają media, bo kontrowersja jest klikalna. To pewnie dlatego, zanim aktywował się Matecki, na stronach informacyjnych pokazały się urywki z rozmowy ograniczone do kawałka jednego zdania. Tego nie dało się już przeoczyć. Taki mechanizm przerabiania informacji w awanturę jest naszym nieszczęściem, jedną z przyczyn narastającej głupoty i infantylizmu, które sprzyjają łatwemu oburzaniu się, a potwornie utrudniają myślenie. Niestety opłaca się uczestnikom. Jak sądzę, wśród uczestników nagonki na Dariusza Stolę znajdują się ludzie, którzy biorą w niej udział nie z wyrachowania, tylko z umysłowego lenistwa i ochoty na tanio opłaconą atencję.

PORÓWNANIA MAJĄ SENS

Gdyby członkowie tego chóru oburzonych zastanowili się nad treścią wywiadu w Polsat News, niektórzy być może uznaliby go za zbiór całkiem rozsądnych myśli. Nie trzeba być historykiem, żeby z grubsza zrozumieć, na czym polega komparatystyka historyczna. Nie, nie jest to narzędzie lewackiej indoktrynacji, tylko zasłużona dyscyplina z długą przeszłością. Podobnie, jak krytycy Stoli, komparatyści nie sądzą, że każde porównanie ma sens.

Jak pisali trzydzieści lat temu Heinz-Gerhard Haupt i Jürgen Kocka rozstrzygającą rolę w tej kwestii odgrywają pytania, które historyk zadaje swojemu materiałowi. Umiejętnie dobrane porównanie pomaga dostrzec zjawiska, na które nauka dotychczas nie zwracała uwagi, a dzięki poszerzonej perspektywie nagle stają się widoczne. Po drugie, komparatystyka pozwala zidentyfikować rzeczywiste anomalie rozwojowe, zjawiska faktycznie wyjątkowe; zwraca uwagę na potencjalne możliwości rozwoju wypadków, kierunek, w którym zmierzaliśmy, ale dotarł tam kto inny. Po trzecie daje nowe, często nieoczekiwane wyjaśnienia znanych już wydarzeń. Po czwarte wreszcie pozwala na krytyczną ocenę naszego myślenia o przeszłości, jej reprezentacji w nauce i w debacie publicznej. W kolejnych latach ten program badawczy został uzupełniony koncepcjami, które w większym stopniu uwzględniają płynność granic pomiędzy obiektami porównania: państwami, narodami, czy kulturami. Jedna z takich koncepcji, zaproponowana przez Michaela Wernera i Bénédicte Zimmermann „histoire croisée" do katalogu Haupta i Kocki dorzuca historię relacji i interakcji. Jeśli porównujemy sąsiednie kraje czy narody, pamiętajmy o bezpośrednich związkach między nimi.

Jak ma się do tego porównanie NSZ z UPA? Obie organizacje zbrojne opierały się na ideologii nacjonalizmu integralnego, dążąc do utworzenia jednorodnego etnicznie państwa narodowego (w przypadku NSZ także jednorodnie katolickiego; UPA była pod względem wyznaniowym nieco bardziej inkluzywna). Interesowały się sobą nawzajem i naśladowały. Łączył je stosunek do demokracji, oczywiście wrogi, a także odrzuce-



• **Prof. Dariusz Stola, historyk, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN**
FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak ma się do tego porównanie NSZ z UPA? Obie organizacje zbrojne opierały się na ideologii nacjonalizmu integralnego, dążąc do utworzenia jednorodnego etnicznie państwa narodowego, w przypadku Narodowych Sił Zbrojnych także jednorodnie katolickiego; Ukraińska Powstańcza Armia była pod względem wyznaniowym nieco bardziej inkluzywna

eprasa.pl 46280ae095



nie trwałych sojuszy. Obie walczyły zarówno przeciwko Niemcom, Sowietom i ich lokalnym pomagierom, jak i między sobą. Oddziały jednej i drugiej organizacji okazjonalnie kolaborowały z hitlerowcami. Jedni i drudzy podjęli walkę przeciw sowietyzacji ich kraju, przy czym Ukraińcy toczyli ją dłużej i na większą skalę. Wreszcie zarówno NSZ, jak i UPA demonstrowały swoją wrogość wobec mniejszości w praktyce, mordując Żydów, Polaków i Ukraińców. Na tej drodze UPA zaszła najdalej, przeprowadzając w 1943 roku zorganizowaną masakrę polskiej ludności Wołynia. Celem czystek etnicznych było „oczyszczenie” narodowego terytorium z obcych, czyli polskiej mniejszości.

Porównanie obu tych organizacji jest nie tylko uzasadnione ich ideologią, praktyką działania i analogiczną sytuacją geopolityczną, w której funkcjonowały. Komparatystyka pozwala nam też dostrzec potencjał polskiej historii, który na szczęście się nie zrealizował. Polskie radykalnie prawicowe podziemie nigdy nie uzyskało pozycji tak silnej, by w praktyce zrealizować czystki etniczne na dużym terytorium. Dzięki komparatystyce, czytając pisma programowe tego obozu, nie musimy spekulować, jak słowa przerodziłyby się w czyn. Porównanie z UPA daje nam na takie pytanie stosunkowo prawdopodobną odpowiedź. Uwypukla zbrodniczy potencjał ideologii nacjonalizmu.

Burza, która zupełnie bez sensu rozpętała się po słowach Dariusza Stoli, przynosi nam jeszcze jedną cenną naukę, tyle że już nie o historii, a o współczesności. Mimo że Narodowe Siły Zbrojne nie są fundamentem polskiej tożsamości, a ich obraz w świadomości Polaków pozostaje niejednoznaczny, na odsiecz nacjonalistom ruszyli patriotyczni komentatorzy. Nic nie pokazuje lepiej od tej reakcji, że Stola ma zupełną rację, sądząc, że krytyka UPA ma teraz małe szanse powodzenia. Ukraińska polityka nie jest ani trochę mądrzejsza od polskiej, a tocząca się tam wojna zupełnie nie sprzyja krytyce narodowych mitów. Ten, kto się na to poważy, ryzykuje reakcję silniejszą i bardziej dolegliwą niż polski historyk krytykujący NSZ. To zadanie naszych ukraińskich koleżanek i kolegów, konieczne, ale raczej nie przynoszące im profitu.

TO NIE JEST HISTORIA O UKRAINIE

Wbrew pozorom cała ta sprawa nie dotyczy historii Polski i Ukrainy. Dariusz Stola nie powiedział nic, co by kwestionowało stan naszej wiedzy ani też co by uzasadniało nagonkę medialną. Postąpił po prostu tak, jak historyk i świadomy obywatel powinien: użył swojej wiedzy, żeby próbować pomóc zrozumieć świat, w którym żyjemy. Pozostał przy tym w zgodzie z prawdą historyczną i zasadami historycznego warsztatu.

To, co powinno nas naprawdę martwić, to łatwość, z jaką jego słowa wpadły w tryby medialnej machiny, która karmi się politycznymi kontrowersjami. Mówiąc górnolotnie, w interesie Polski warto byłoby Stoli posłuchać i chwilę pomyśleć. A co jeśli sprzeciw wobec porównania UPA z NSZ, który część z nas odczuwa, nie opiera się na racjonalnych przesłankach? Być może po drugiej stronie polsko-ukraińskich sporów o przeszłość odnajdziemy podobne emocje? Jak przekonamy naszych rozmówców, że nasze oburzenie jest więcej warte niż ich?

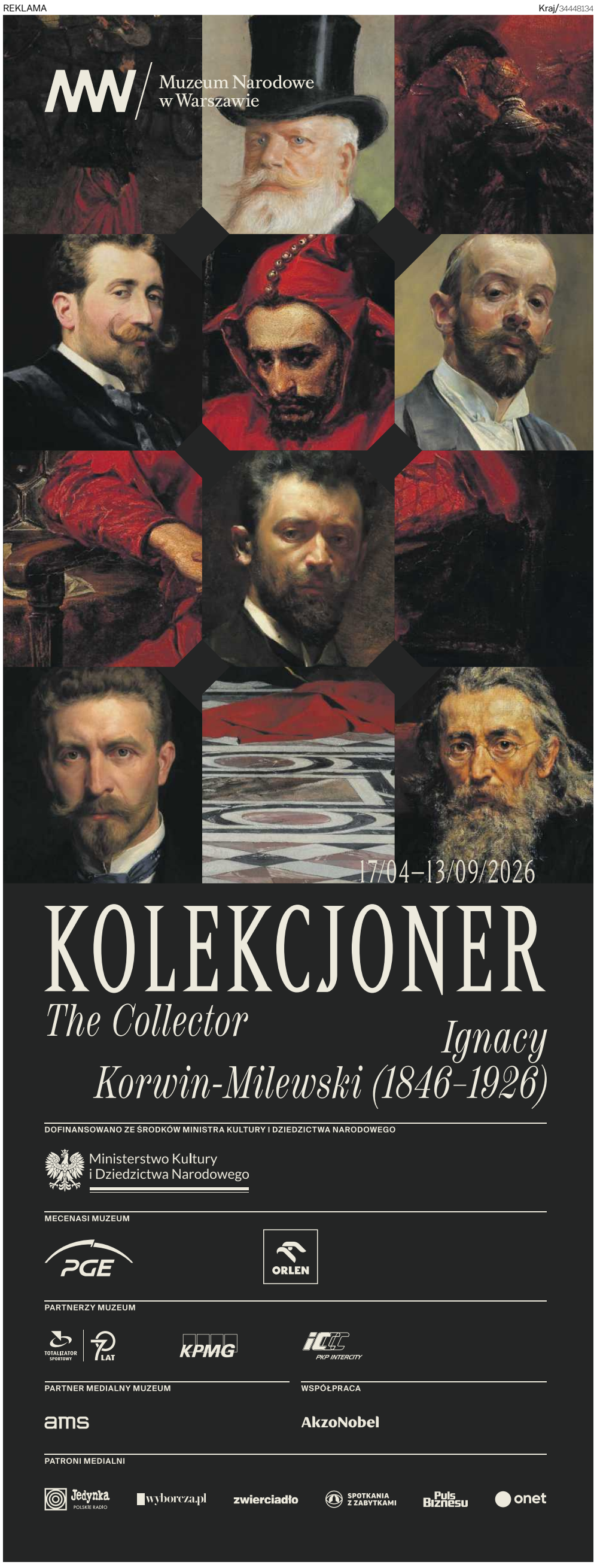
Konfrontowanie tych emocji z faktami, pokazywanie ich w perspektywie szerszej niż nasz naród albo nasza partia, to ważna część pracy historyków. Byłoby nam wszystkim lepiej, gdyby ich za to nie ogłaszano zdrajcami. ●

Prof. Maciej Górny

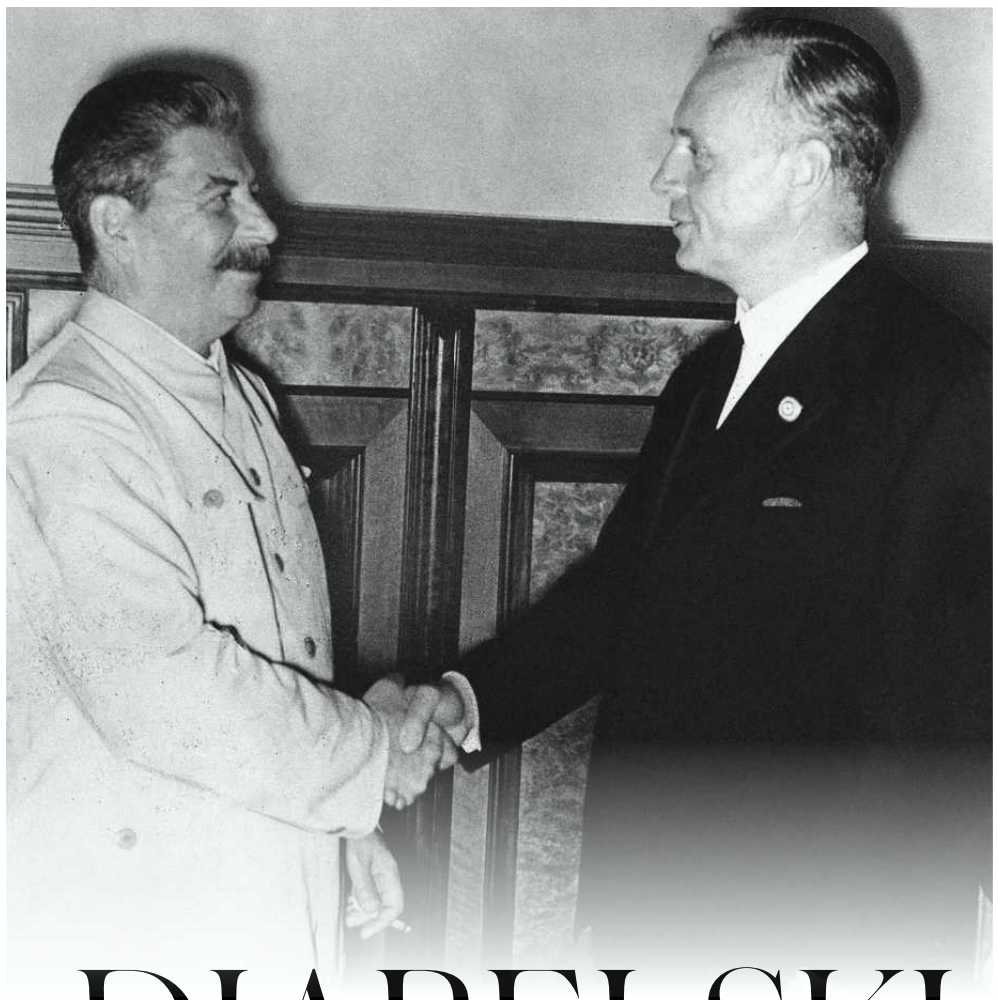
historyk, pracuje w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN. Laureat nagrody Klio za książkę „Matka wynalazków. Jak Wielka Wojna urządza nam życie”.

REKLAMA

Kraj/34448134



eprasa.pl 46280ae095



• **Moskwa, 23 sierpnia 1939 roku. Sowiecki przywódca Józef Stalin i niemiecki minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop po zawarciu sojuszu** FOT. HERITAGE IMAGES / GETTY IMAGES

DIABELSKI PAKT

Pakt Ribbentrop-Mołotow niemal nie występuje w zachodniej narracji o wojnie. To zadziwiające, bo okazał się kluczowy dla jej wybuchu i wpłynął na życie milionów ludzi.

Roger Moorhouse

Krótko po północy, w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku, Józef Stalin wzniósł toast za Adolfa Hitlera. Okazją było oczywiście podpisanie paktu niemiecko-sowieckiego, znanego jako pakt Ribbentrop-Mołotow, czyli traktatu o nieagresji między Moskwą a Berlinem, który dał Hitlerowi zielone światło do agresji na Polskę, torując tym samym drogę do wybuchu II wojny światowej w Europie. Jest to data głęboko wyryta w pamięci wielu milionów ludzi w Polsce, Finlandii, Rumunii i państwach bałtyckich, a także tych, których korzenie sięgają tych krajów. Mimo to jej znaczenie pozostaje zadziwiająco niedostrzegane w dominującej zachodniej narracji o wojnie.

Nasza zbiorowa niewiedza na ten temat jest zaskakująca. Dla wielu z nas II wojna światowa zajmuje dziś miejsce, którego znaczenie zdaje się rosnąć, a nie maleć wraz z upływem czasu. W niektórych krajach stała się czymś na kształt narodowej religii, o czym świadczą uginające się półki księgarń i niekończące się telewizyjne dokumenty. W historiografii wojennej powszechne jest poddawanie nieustannym reinterpretacjom i ponownym ocenom każdej kampanii, każdej katastrofy i każdej ciekawostki związanej z wojną, co bardzo często prowadzi do powstawania konkurujących ze sobą szkół myślenia i licznych opracowań historycznych.

Mimo to pakt niemiecko-sowiecki nadal niemal nie występuje w zachodniej narracji; często wspomina się o nim jedynie w jednym akapicie, traktując jako wyjątek, osobliwą anomalię lub przypis do szerszej historii. Jego znaczenie sprowadzane jest zwykle do ostatniego ruchu dyplomatycznej partii szachów przed wybuchem wojny, bez wzmianki o zgubnych relacjach między wielkimi mocarstwami, które ten pakt zapoczątkował. Znamienne jest na przykład to, że niewiele spośród popularnych historii II wojny światowej opublikowanych ostatnio w Wielkiej Brytanii poświęca paktowi większą uwagę. Nie uważa się go za temat zasługujący na osobny rozdział, a zwykle poświęca mu się jedynie kilka zdań i kilka odsyłaczy w indeksie.

•

Jeśli jednak weźmie się pod uwagę oczywiste znaczenie i skalę tego wydarzenia, taki stan rzeczy jest wręcz zdumiewający. Pod jego auspicjami Hitler i Stalin, dwaj najbardziej niesławni dyktatorzy XX-wiecznej Europy, znaleźli wspólny cel w zniszczeniu Polski i obaleniu ładu wersalskiego. Ich dwa reżimy, których późniejszy konflikt stał się najważniejszym starciem II wojny światowej w Europie, podzieliły między siebie Europę Środkową i przez niemal jedną trzecią czasu trwania wojny działały ramię w ramię.

Pakt nie był też jednorazowym odstępstwem ani chwilowym taktycznym błędem. W ślad za nim poszła seria kolejnych traktatów i porozumień, począwszy od niemiecko-sowieckiego traktatu o granicach i przyjaźni z 28 września 1939 roku, na mocy którego podzielono Polskę i zobowiązano się do niedopuszczania do polskiej „agitacji" na kontrolowanych terytoriach. Następnie, w ramach dwóch rozbudowanych umów gospodarczych, obie strony wymieniały się tajemnicami, planami technicznymi, technologiami i surowcami, wspólnie napędzając swoje machiny wojenne. Stalin nie był ani biernym, ani neutralnym obserwatorem tego okresu. Był najważniejszym strategicznym sojusznikiem Adolfa Hitlera.

Z tych wszystkich powodów niemiecko-sowieckie partnerstwo strategiczne, narodzone 23 sierpnia 1939 roku, w pełni zasługuje na to, by stanowić integralną część naszej zbiorowej narracji o wojnie. Tak się jednak nie dzieje. Warto zastanowić się przez chwilę nad przyczynami tego pominięcia. W pewnym stopniu można je przypisać tradycyjnej krótkowzroczności świata anglosaskiego wobec Europy Środkowej; mentalności trafnie wyrażonej przez brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina, który w 1938 roku określił Czechosłowację jako „odległy kraj", zamieszkany przez „ludzi, o których nic nie wiemy".

Rok 1938 był dawno temu, ale w dużej mierze ten sposób myślenia przetrwał, mimo niedawnej fali wsparcia dla walczącej z Rosją Ukrainy.

•

Dodatkowo istnieje także coś, co można nazwać „asymetrią tolerancji" w zachodnim dyskursie politycznym, gdzie zbrodnie komunizmu są chętniej pomijane lub usprawiedliwiane niż zbrodnie faszyzmu. U podstaw tego leży przekonanie, że ekscesy lewicy były rzekomo inspirowane bardziej szlachetnymi ideami, takimi jak „równość" czy „postęp", podczas gdy ekscesy prawicy wynikały z prymitywnej idei wyższości rasowej. To częściowo wyjaśnia, dlaczego tak zwane okno Overtona, czyli zakres polityk akceptowanych przez opinię publiczną, przesunęło się w ostatnich latach wyraźnie w lewo oraz dlaczego Lenin i Che Guevara nadal uchodzą na wielu kampusach uniwersyteckich za symbole buntu i kontestacji.

Istnieje również problem historiografii. Zachodnia narracja o II wojnie światowej tradycyjnie nie potrafi wyjść poza zbrodnie Adolfa Hitlera i III Rzeszy. Centralne miejsce Holokaustu w tej narracji dodatkowo utrwala ten sposób postrzegania historii. Również niemiecka historiografia opiera się w dużej mierze na założeniu o „grzechu pierworodnym" nazizmu, spychając wszystkich innych sprawców na dalszy plan. W rezultacie zbrodniczy charakter stalinowskiego Związku Sowieckiego pozostaje w znacznym stopniu pomijany, minimalizowany i relatywizowany, będąc jedynie przypisem do zachodniej opowieści zamiast jej głównym tematem.

W takich okolicznościach sowiecka, a później rosyjska propaganda, która starała się minimalizować znaczenie tego sojuszu i jego skutków, trafiała na podatny grunt. Mimo to pakt niemiecko-sowiecki pozostawał dla Kremla czymś szczególnie niewygodnym, wymagającym większych niż zwykle zabiegów maskowania, odwracania uwagi i manipulacji. Pierwszy etap tej kampanii rozpoczął się krótko po niemieckiej inwazji na Związek Sowiecki w 1941 roku, kiedy Stalin, zabiegający rozpaczliwie o względy aliantów, próbował zdystansować się od paktu, przedstawiając go jako ostateczność wymuszoną okolicznościami. Być może świadczy to o sile stalinowskich „pożytecznych idiotów" na Zachodzie, że ponad osiem dekad później interpretacja ta nadal bywa powtarzana.

•

W 1948 roku sowiecka ofensywa propagandowa się nasiliła. W odpowiedzi na publikację przez Departament Stanu USA tekstu tajnego protokołu do paktu niemiecko-sowieckiego Stalin osobiście napisał polemiczną broszurę zatytułowaną „Fałszerze historii". Oczywiście uznał w niej tajny protokół za kapitalistyczne fałszerstwo, jednocześnie oskarżając Zachód o to, że nie powstrzymał Hitlera wcześniej. Przedstawił również nową interpretację paktu jako mistrzowskiego posunięcia defensywnego, które miało jedynie opóźnić nieuniknione, a nie stanowić cyniczną współpracę.

Sowieckie zaprzeczanie istnieniu tajnego protokołu okazało się niezwykle trwałe. Jeszcze w 1983 roku Wiaczesław Mołotow, zapytany przez dziennikarza o ten dokument, odpowiedział jednoznacznie: pogłoski na jego temat miały szkodzić ZSRR. „Nie było żadnego tajnego protokołu" – stwierdził. Niespełna dekadę później, w obliczu masowych protestów w państwach bałtyckich, Michaił Gorbaczow opublikował tekst dokumentu, podpisanego przecież przez samego Mołotowa, pochodzący z sowieckich archiwów.

W kolejnych latach krótki okres głasnosti (jawności) za Gorbaczowa i Borysa Jelcyna ustąpił miejsca tajemnicy i uporczywemu zaprzeczaniu. Archiwa, na krótko otwarte dla badaczy z całego świata, ponownie zostały zamknięte dla wszystkich poza najbardziej lojalnymi komentatorami. Pamięć o II wojnie światowej stała się jednym z filarów putinizmu, kultem sentymentalnie kreowanej pamięci, który coraz częściej zastępował wcześniej obiecywany dobrobyt i stabilność.

Pod rządami Putina narracja ta nie była już jednak wyłącznie powtórzeniem sowieckiej opowieści o wojnie. Pakt niemiecko-sowiecki został przedstawiony jako dowód siły Kremla oraz pośrednie ostrzeżenie dla sąsiadów Rosji. Gdy Moskwa opublikowała w 2019 roku zbiór dokumentów archiwalnych związanych z paktem, ukryte przesłanie było jasne: ta sama brutalna logika, która legła u jego podstaw, logika „stref wpływów" i darwinistycznego prawa silniejszych do narzucania swojej woli słabszym, ponownie zyskuje znaczenie na Kremlu.

•

W takich okolicznościach, przy obojętności Zachodu i rewizjonistycznej Rosji, łatwo zrozumieć, dlaczego uczciwa ocena paktu niemiecko-sowieckiego jest tak trudna. Mimo to musimy jej dokonać, choćby ze względu na historyczną uczciwość i prawdę. Pakt niemiecko-sowiecki był jednym z najważniejszych traktatów II wojny światowej. Często zapominamy o tym związku, ale to właśnie on bezpośrednio doprowadził do jej wybuchu, izolując Polskę między dwoma wrogimi sąsiadami i niwecząc niemrawe próby mocarstw zachodnich, by powstrzymać Hitlera.

Równie istotne były skutki relacji między mocarstwami, które dzięki niemu powstały. Wojna, która nastąpiła później, nosiła ich piętno. Polska została zaatakowana i podzielona między Moskwę i Berlin. Finlandia również

eprasa.pl 46280ae095

została napadnięta przez Armię Czerwoną i zmuszona do oddania części terytorium. Za zgodą Hitlera Stalin zaanektował niepodległe państwa bałtyckie oraz rumuńską Besarabię, a ich odważne, niepokorne społeczeństwa skazane zostały na deportacje do koszmaru Gułagu. Pakt niemiecko-sowiecki nie jest więc problemem lokalnym ani tematem o wyłącznie regionalnym znaczeniu. Według ostrożnych szacunków wpłynął bezpośrednio na życie około 50 milionów ludzi.

•

Jest więc jasne, że wymaga upamiętnienia i zachowania w pamięci. W dużej mierze obowiązek ten spoczywał na tych, których skutki paktu dotknęły najbardziej. Pod koniec lat 80. uchodźcy z krajów bałtyckich i Europy Wschodniej, którzy uciekli przed komunizmem na Zachód, ustanowili 23 sierpnia „Dniem Czarnej Wstążki” jako dzień protestów przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Wkrótce potem, w 1989 roku, mieszkańcy państw bałtyckich zaprotestowali przeciwko swojej aneksji do ZSRR, umożliwionej przez pakt niemiecko-sowiecki, organizując demonstrację znaną jako Bałtycki Łańcuch: dwumilionowy ludzki łańcuch ciągnący się na długości ponad 640 kilometrów przez trzy republiki 23 sierpnia.

W 2009 roku tego rodzaju inicjatywy społeczne znalazły odzwierciedlenie w rezolucji przedstawionej Parlamentowi Europejskiemu w Brukseli. Zaproponowano w niej uznanie 23 sierpnia za „Europejski Dzień Pamięci Ofiar Stalinizmu i Nazizmu”. Rezolucję przyjęto przy sprzeciwie jedynie kilku europosłów komunistycznych, z których jeden określił zestawienie reżimów nazistowskiego i sowieckiego jako „niewyobrażalnie wulgarne”.

Rosja, rzecz jasna, zaprotestowała. Ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew powołał w odpowiedzi „Prezydencką Komisję do Przeciwdziałania Próbom Fałszowania Historii”, co było wyraźnym nawiązaniem do wcześniejszych działań Stalina mających tłumić prawdę o pakcie. Zgodnie z nowymi przepisami osoby odstępujące od oficjalnej, gloryfikującej interpretacji roli ZSRR w II wojnie światowej mogły zostać ukarane grzywną lub nawet pięcioletnim więzieniem. Przypominało to stary sowiecki dowcip: „Przyszłość jest pewna, nieprzewidywalna jest tylko przeszłość”.

•

Od 2014 roku Europejska Sieć Pamięć i Solidarność (ENRS) podjęła wyzwanie upamiętniania paktu niemiecko-sowieckiego poprzez kampanię edukacyjną „Remember: August 23” („Pamiętaj: 23 sierpnia”). Jej inicjatywy, od rozdawania przypinek po produkcję krótkich filmów przedstawiających losy ofiar reżimów totalitarnych, mają na celu upowszechnianie wiedzy wolnej od fałszu i dezinformacji oraz zachęcanie do uczciwej debaty.

Niektórzy mogą uważać, że w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę, która ponownie pogrążyła Europę w wojnie, spory o niuanse historii XX wieku są luksusem, na który nie można sobie pozwolić. Ja jednak uważam przeciwnie.

Brutalna i niesprowokowana agresja Rosji na sąsiednie państwo jest jedynie najnowszym ogniwem krwawego ciągu wydarzeń; kolejnym przestępstwem w długim katalogu zbrodni, sięgającym czasów paktu niemiecko-sowieckiego i jeszcze dalej, które ujawniają sposób myślenia oparty na podejrzliwości, paranoi i otwartej agresji, od dawna kształtujący światopogląd Kremla. Nadszedł czas, by wreszcie przejrzeć na oczy i dostrzec w pełnych, krwawych barwach prawdziwie brutalną naturę wschodniego sąsiada Europy oraz zintensyfikować wysiłki na rzecz badania i upowszechniania wiedzy o najciemniejszych rozdziałach jego historii. W tym przedsięwzięciu 23 sierpnia może i powinien odgrywać rolę centralną i fundamentalną. ●

Pamiętaj o 23 sierpnia

• Z okazji Europejskiego Dnia Pamięci Ofiar Reżimów Totalitarnych i Autorytarnych, obchodzonego 23 sierpnia, Europejska Sieć Pamięć i Solidarność rozpoczyna kolejną edycję kampanii „Pamiętaj o 23 sierpnia”. W tym roku opowiada ona historię dr Stefanii Perzanowskiej – lekarki, która zorganizowała szpital w niemieckim obozie koncentracyjnym na Majdanku, nie wiedząc, że jej mąż, dr Zygmunt Perzanowski, został zamordowany przez NKWD w Katyniu.

TOMASZ SZAROTA, HISTORYK I INTELIGENT

Zmarł 11 sierpnia w wieku 86 lat. Był wybitnym badaczem przeszłości, ale przede wszystkim inteligentem świadomym tradycji, jaka za nim stoi.

Andrzej Brzeziecki



• **Prof. Tomasz Szarota (1940-2026), jeden z najwybitniejszych powojennych polskich historyków** FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdy kilka miesięcy temu mówił mi o poczucia zbliżającego się końca, a nawet pokazywał teczkę, w której zebrał różne dyspozycje na wypadek śmierci, uśmiechałem się głupio i wybąkałem coś w stylu, że na pewno jeszcze przed Profesorem wiele lat pracy. A przecież wiedziałem, że 86 lat to już wiek poważny, widziałem, że w gestach i w słowach nie jest już tak dynamiczny jak wcześniej, że przygasł wyraźnie.

Może są ludzie, którzy umieją się zachować w takich sytuacjach i powiedzieć coś mądrego, wykraczającego poza konwencję?

Umarł historyk wybitny, a ponadto nietuzinkowa osobowość. Szarota był typem człowieka, wobec którego nie sposób było być obojętnym. Mógł budzić sympatię, niektórych mogły irytować, a innych bawić różne jego śmieszności-małostki, ale przede wszystkim szacunek budziły dwie jego cechy: rzetelność badacza i przyzwoitość.

Tomasz Szarota był wybitnym historykiem, ale także przedstawicielem polskiej inteligencji – tej szczególnej grupy społecznej, która w wiekach XIX i XX na przekór wszystkiemu zdołała utrzymać więzi z Europą. Do inteligencji zaliczali się ludzie, których zainteresowania wykraczały poza wykonywany zawód i którzy uważali, że ich powinnością jest dać także społeczeństwu coś z siebie – stąd udział w różnych inicjatywach i gremiach.

Ojcem Tomasza Szaroty był Marceli Blüth, znany w latach trzydziestych XX wieku katolicki publicysta i znawca Rosji, zamordowany przez Niemców w listopadzie 1939 roku. Tomasz urodził się kilka tygodni później, już jako pogrobowiec. Wychowany został przez matkę, Elidę Marię, w duchu otwartości na kulturę francuską, ale również niemiecką. Także dlatego już później był bardzo zaangażowany w proces pojednania polsko-niemieckiego. Szukając porozumienia z Niemcami, nigdy jednak nie miał wobec nich kompleksów. Po 1989 roku rozumiał, że Niemcy to życzliwy nam sąsiad, ale sąsiad, który ma także swoje interesy, czasem różne od naszych. W ostatnich latach ubolewał, że Niemcom coraz łatwiej przychodzi zapominanie o zbrodniach, jakich dokonali.

Naprawdę powinniśmy być wdzięczni Emilowi Maratowi i Michałowi Wójcikowi, którzy rok temu wydali wywiad rzekę z Tomaszem Szarotą („Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania. Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem”, Wyd. Agora, 2025, uhonorowaną tegoroczną nagrodą tygodnika „Polityka”). Ta przeciekawa książka, pełna fascynujących historii, wielkiej polityki i anegdot, daje wgląd w biografię bohatera, ale także ważne fragmenty dziejów Polski. Dowiemy się z niej, że Szarota, jeden z najwybitniejszych historyków polskich ostatnich dekad, wcale się aż tak dobrze nie zapowiadał. Nie od razu poczuł powołanie historyka, a pierwsze lata jego studiów pełne były potknięć: na pierwszym roku oblał egzamin ze starożytności u profesor Izy Bieżuńskiej-Małowist, a u Aleksandra Gieysztora na egzaminie ze średniowiecza dostał trzy plus. Potem z kariery uniwersyteckiej u boku prof. Stefana Kieniewicza także nic nie wyszło.

Dopiero gdy prof. Tadeusz Manteuffel, wówczas dyrektor Instytutu Historii PAN, zaproponował Szarocie etat w tworzonej Pracowni Dziejów Polski Ludowej, ten rozwinął skrzydła – choć początkowo i tę propozycję uznał za mało ciekawą.

Późniejsze prace o okupowanej Warszawie i Paryżu, Stefanie „Grocie” Roweckim, prezydencie Warszawy Stefanie Starzyńskim, Elżbiecie Zahorskiej czy o karykaturach i stereotypach narodowych przyniosły Szarocie renomę nietuzinkowego badacza. Był choćby prekursorem badań nad codziennością lat okupacji. Książka „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” wydana w latach 70. przyniosła mu popularność wykraczającą poza cech historyków.

Uczciwie podkreślał zawsze, że „lata okupacji to nie tylko akty strzeliste odwagi, martyrologia i bohaterstwo, to również sprawy negatywne i brudne”. Nie zamykając oczu na trudną prawdę i ciemne karty naszych dziejów, lubił podkreślać, że Polacy mają prawo być dumni ze swej historii, a także z podejścia do niej – wszak mało który naród w Europie tak rzetelnie rozliczył się choćby z antysemityzmem czy komunizmem.

Śmierć to zawsze smutek, ale trzeba powiedzieć, że Profesor Tomasz Szarota przeżył swoje życie dobrze. Urodził się w epoce, w której tacy jak on, w myśl ustaw norymberskich, byli skazani na wymazanie z historii. Tymczasem on odcisnął swój znak wyraźnie – jako badacz, autor i jako działacz społeczny. Dał też nowe życie – Piotrowi Szarocie, cenionemu profesorowi psychologii i autorowi książek także z zakresu historii.

We wszystkim, co robił Tomasz Szarota, mógł liczyć na wsparcie, radę tudzież przestrogę swojej żony Anny. Żony często motywują swych mężów do robienia rzeczy ważnych albo chronią ich przed popełnianiem głupstw. Także z lektury książki Marata i Wójcika wynika, że nie inaczej było w przypadku Tomasza i Anny.

Oczywiście to, co Szarota pisał jako historyk, pisał na własny rachunek i własną odpowiedzialność. Mówił o pracy historyka we wspominanym wywiadzie rzece.

„Praca historyka jest jak poszukiwanie złota. Temu, kto pierwszy ujrzy grudkę, od razu podskakuje ciśnienie. Tego nie zrozumie chyba nikt, kto czegoś sam nie odkrył. To może być nowe źródło historyczne, ważna informacja, a nawet mały drobny przyczynek – to jest właśnie to, po co żyjemy. Po co ja żyję”.

Jako historyk zaangażowany w sprawy publiczne, choćby dialog z Niemcami, włączał się w różne spory naukowe, historyczno-polityczne. Był wytrwałym i zręcznym polemistą, potrafił celnie i boleśnie wytknąć swym oponentom błędy. Prawda historyczna była dla niego ważniejsza niż koterie i zależności.

W swoich książkach i w naszej pamięci Tomasz Szarota wciąż będzie towarzyszyć każdemu, kto szuka owego historycznego złota. ●

eprasa.pl 46280ae095

Bitwa Warszawska

Chwała i małość zwycięzców

Tuż przed decydującym starciem w wojnie z bolszewicką Rosją Piłsudski zostawił premierowi Witosowi tajny dokument. Położył w nim na szali całą swoją władzę.

Na ratunek



Zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej odniesione w sierpniu 1920 roku to jedno z najważniejszych wydarzeń naszej ponadtysiącletniej historii. Bez tego sukcesu odzyskanie niepodległości dwa lata wcześniej stałoby się mało znaczącym epizodem zakończonym katastrofą jeszcze dotkliwszą niż XVIII-wieczne rozbiory.

Polska pokonana i włączona jako republika radziecka do bolszewickiej Rosji doświadczyłaby wszystkich katastrof, które spadły na narody ujarzmione przez Stalina. Terror przybrałby tu największe rozmiary, bo zderzyłby się z oporem o skali nieporównywalnej z żadnym innym sowieckim terytorium. Przywiązanie Polaków do wolności, wspólnoty narodowej, ziemi, religii i kultury zostałoby opłacone śmiercią milionów ludzi.

Zwycięstwo nad Wisłą pozwoliło uniknąć tego koszmaru. Umożliwiło stworzenie państwa o rozległym terytorium i licznej ludności. Czekał je nie tylko ogrom zadań do wykonania, ale też wielka szansa rozwoju. Dzięki pokonaniu Rosji wzrosła rola Polski w Europie, która już nie musiała się bać komunistycznej ekspansji w głąb kontynentu. Doceniła to potężna Francja, zawierając w lutym 1921 roku sojusz z Warszawą.

Sukces porównywalny z wiktorią wiedeńską i grunwaldzką możliwy był dzięki zjednoczeniu całego społeczeństwa. Na apel „Ojczyzna w niebezpieczeństwie!" do wojska masowo napłynęli chłopi, robotnicy, inteligenci, studenci i uczniowie. W sześć tygodni armia powiększyła się o ćwierć miliona żołnierzy.

●

Wyzwaniu sprostali też politycy. Zaprzestali sporów i powołali Rząd Obrony Narodowej złożony ze wszystkich stronnictw. Prawica usunęła się na dalszy plan, a na czele gabinetu stanął chłopski przywódca Wincenty Witos. Wicepremierem został lider socjalistów Ignacy Daszyński. Radykalnymi posunięciami zneutralizowano socjalną demagogię bolszewików. Wiedząc, jak wiele zależy od chłopów stanowiących blisko dwie trzecie społeczeństwa, Sejm uchwalił korzystną dla nich reformę rolną, o którą wcześniej sprzeczał się przez kilkanaście miesięcy.

Świadectwem rzadkiego w polityce zaufania były relacje między naczelnikiem państwa i naczelnym wodzem Józefem Piłsudskim a premierem Wincentym Witosem. Wspierali się w trudnych momentach, służąc państwu, a nie własnej karierze. W ręce Witosa Piłsudski złożył swój los, kiedy musiał podjąć najbardziej ryzykowną decyzję.

Działo się to w pierwszej połowie sierpnia 1920 roku. Armia polska cofała się od wielu tygodni, przegrywała kolejne bitwy. Pewni sukcesu Rosjanie parli północnym skrzydłem na zachód, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Niemiec, aby tam wywołać rewolucję. Zamierzali też odciąć Polskę od Bałtyku, skąd docierały dostawy z Zachodu, bez których walka była niemożliwa. Dowodzący na północy marszałek Michaił Tuchaczewski powtarzał manewr feldmarszałka Iwana Paskiewicza z 1831 roku. Forsował Wisłę pod Płockiem i Włocławkiem, by zaatakować Warszawę od zachodu, gdzie bronić jej było najtrudniej. Czuł się zwycięzcą i zlekceważył fakt, że linia frontu bardzo się wydłużyła, a między armiami sowieckimi na północy i południu powstała luka, którą mogła wykorzystać polska kontrofensywa.

Piłsudski dostrzegł tę szansę. 6 sierpnia 1920 rozkazał, aby główne uderzenie, siłami 5. Dywizji, wyszło znad Wieprza w kierunku północno-wschodnim, na flankę i tyły wojsk Tuchaczewskiego. Ryzyko było ogromne. Sformowanie silnej grupy uderzeniowej nie pozwalało na wzmocnienie ważnych odcinków frontu: przedmościa warszawskiego, gdzie dowodził gen. Józef Haller, i północnej osłony stolicy bronionej przez oddziały gen. Władysława Sikorskiego. A przecież gdyby Warszawa padła, uderzenie znad Wieprza straciłoby sens.

●

Piłsudski na linii frontu dowodził kontrofensywą, ale zanim wyjechał nad Wieprz, 12 sierpnia 1920 roku przekazał sekretnie Witosowi pismo o dymisji z urzędów naczelnika państwa i głównodowodzącego. Po wielu latach, kiedy tajemnica wyszła na jaw, wrogowie Marszałka uznali to zachowanie za dowód jego załamania w najtrudniejszym momencie wojny, jakoby wygranej już bez jego udziału. Trudno o większą bzdurę! Pismo przekazane Witosowi nie miało daty i tak naprawdę niczego nie zmieniało. Piłsudski dalej wypełniał swoje obowiązki i to jego zasługą był zwycięski finał Bitwy Warszawskiej.

Dokument zdeponowany u Witosa nie był świadectwem załamania, ale przeciwnie – dowodem przezorności i troski o państwo. Stanowił polisę ubezpieczeniową na wypadek, gdyby plan Piłsudskiego zawiódł i Bitwa Warszawska została przegrana. Wtedy rząd Witosa czekałyby upokarzające rokowania z Moskwą, która bez wątpienia już na wstępie zażądałaby głowy naczelnika państwa. Aby nie dać satysfakcji wrogowi, Piłsudski wolał odejść na własnych warunkach.

Po sierpniowym zwycięstwie asekuracyjny dokument stracił rację bytu. Zarówno jego autor, jak i depozytariusz niemal o nim zapomnieli. Witos wyjął go z kasy pancernej dopiero po kilku tygodniach i zwrócił przez zaufanego współpracownika do Belwederu, a Piłsudski umieścił pismo w archiwum jako ważne świadectwo historii.

●

Współpraca i zaufanie na najwyższych szczytach władzy, bez czego także ta historia nie byłaby możliwa, skończyły się wraz z finałem wojny. Kiedy państwo okrzepło, politycy zmienili postępowanie. Porzucili współdziałanie i podjęli zaciekłą walkę o to, kto i jak ma rządzić Polską.

Rozpoczęły te zmagania wybory parlamentarne z listopada 1922 roku. Wygrała je nacjonalistyczna, endecka prawica, zdobywając w sejmie najwięcej – 38 proc. posłów. Partie lewicowe miały ich 22 proc., a mniejszości narodowe 20 proc. O tym, kto będzie rządzić, przesądzić miał PSL „Piast" posiadający 16 proc. posłów. Jego lider Wincenty Witos, który nie był już premierem, ale chciał wrócić do władzy, porzucił współpracę z Piłsudskim i postawił na silniejszego jego zdaniem konia, czyli na endecję.

Zawarcie z nią koalicji opóźniły dramatyczne wydarzenia związane z wyborem Gabriela Narutowicza na prezydenta i z jego zamordowaniem przez endeckiego fanatyka. Z poślizgiem, w maju 1923 roku, sojusz Piasta z endecją doszedł jednak do skutku, a Witos sięgnął po upragnione premierostwo. Jego żądza władzy była tak wielka, że nie przeszkadzali mu splamieni krwią Narutowicza endeccy koalicjanci i narzucony przez nich program rządzenia oparty na nacjonalizmie, czyniący obywatelami drugiej kategorii jedną trzecią mieszkańców niebędących Polakami.

Dla Piłsudskiego, uważającego rządy nacjonalistycznej prawicy za największe nieszczęście Polski, oznaczało to wypowiedzenie wojny. Demonstracyjnie odszedł z wojska i zaszył się w Sulejówku, oświadczając, że nie chce mieć nic wspólnego z ludźmi winnymi zamordowania Narutowicza, gotowymi do popełnienia każdej podłości. Chłostał endecję niemiłosiernie, ale aż do upadku rządu Witosa w grudniu 1923 roku jego samego oszczędzał. Najpewniej liczył na odnowienie współpracy.

Złudzenia porzucił dopiero w maju 1926 roku, kiedy prezes „Piasta" powtórnie zawarł koalicję z endecją. Zaatakował go wtedy z impetem wcześniej rezerwowanym dla endeków. „Pan Wincenty Witos – grzmiał w wywiadzie z 10 maja 1926 roku – znany jest w historii naszego państwa z bezceremonialnego stosunku do wszystkich funkcji państwowych (...). Wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonii we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści".

Przebijała z tych słów pogarda dla człowieka, który dla zdobycia władzy nie cofnie się przed niczym. Tyle tylko, że i Marszałek nie zachowywał się inaczej. Nie mając szans w legalnej, parlamentarnej walce ze znienawidzoną koalicją endecji i „Piasta", pogwałcił konstytucję, demokratyczne reguły gry i dokonał zbrojnego zamachu stanu, czyli największego przestępstwa, jakie polityk może popełnić w praworządnym państwie.

●

Po wygraniu majowego starcia w autorytarnym rządzeniu Marszałka też nie brakowało małości. Widać ją było zwłaszcza w traktowaniu znienawidzonego Witosa. Pomiatała nim piłsudczykowska propaganda, domagając się postawienia go przed sądem i ukarania za popełnione jakoby defraudacje i przestępstwa. Skończyło się na prasowych wyzwiskach, bo oskarżenia wyssane były z palca i pójście z nimi do sądów, nieopanowanych jeszcze przez pomajową władzę, groziło kompromitacją. Byłego premiera ominęły więc pomajowe represje, ale, jak czas pokazał, nie był bezpieczny. Piłsudski nie wybaczył mu przejścia na stronę endecji i czekał na odpowiedni moment, by się zemścić.

Uderzył w 1930 roku, kiedy nabierający rozpędu wielki kryzys gospodarczy podważył zaufanie do jego rządów i wzmocnił opozycję, której Witos był jednym z filarów. Parlament został rozwiązany, a przeprowadzone wybory, pełne gwałtów, manipulacji, nadużyć i oszustw, nie miały nic wspólnego z wolnością i demokracją. Przeszły do historii pod nazwą „wyborów brzeskich", od więzienia w Brześciu nad Bugiem, w którym bezprawnie osadzono kilkunastu liderów opozycji.

Listę aresztowanych osobiście skompletował Piłsudski. Jak odnotował obecny przy tym gen. Felicjan Sławoj Składkowski, zielonym ołówkiem zaznaczył także nazwisko Witosa. W Brześciu znęcano się nad nim psychicznie i fizycznie, stosownie do polecenia Marszałka, by „ciągle po mordach bić, tak że zęby latać będą".

Brutalne potraktowanie człowieka niezwykle zasłużonego dla Polski, będącego współpracownikiem Piłsudskiego w najtrudniejszym dla państwa momencie, dyktowała niczym już niehamowana żądza władzy. To ona zrodziła małość u ludzi, którzy dziesięć lat wcześniej w godzinie próby potrafili się zjednoczyć i dzięki temu wznieść na wyżyny wielkich zasług. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

eprasa.pl 46280ae095

BOGOWIE ZA ŻYCIA



W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34444595

eprasa.pl 46280ae095

weekend ówka

NIE JEST ŹLE!

Jest w „Nienawiści" Mathieu Kassovitza scena, w której Hubert na dachu budynku opowiada Vinzowi dowcip o facecie, który spada z wysokiego wieżowca. Przelatuje obok kolejnych pięter i powtarza: „Jak na razie nie jest źle, jak na razie nie jest źle...". Potem kwituje to zdaniem, które jest jakby motywem przewodnim całego tego doskonałego filmu: „Nie jest ważne, jak spadasz, ważne jak lądujesz".

Anegdota Huberta to stary dowcip o optymiście, który spada z dachu wieżowca. Znajdziemy go już w „Journal of the Missouri State Medical Association" (z czerwca 1924 roku), kiedy pada jako odpowiedź na pytanie, kogo możemy nazwać optymistą? „To taki ktoś, kto wypadnie z dachu Railway Exchange Building i na wysokości siódmego piętra zawoła: »Jak na razie nie jest źle«".

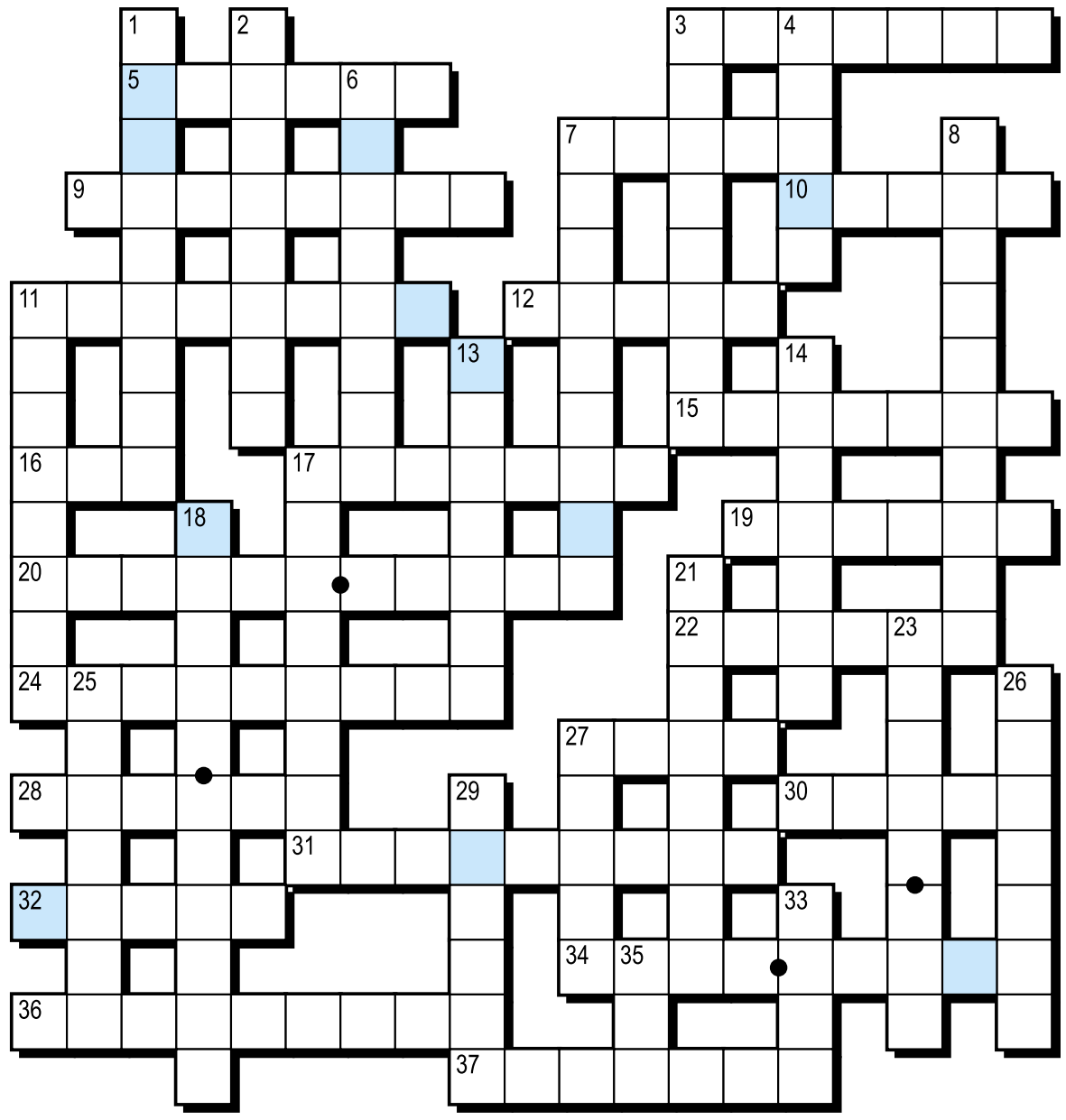
Opowiastki użył też m.in. amerykański polityk Adlai Stevenson (choć u niego było to 20. piętro, przy którym nieszczęśnik uspokajał, że jak na razie nie jest źle) podczas przemówienia w 1950, by opisać międzynarodową sytuację w warunkach panującej Zimnej Wojny.

Ale stop, bo skręcamy coraz bardziej w mało radosne konotacje opowiastki o pechowym optymiście, a przecież kontekst użycia tej historyjki jest zgoła inny. Otóż 21 sierpnia w kalendarzu, obok innych doniosłych wydarzeń, jak choćby sławetna „libacja na skwerku", o której doniesienie pojawiło się tegoż dnia roku 2010 w „Gazecie Wrocławskiej", znajdziemy informację, że to Światowy Dzień Optymisty.

Święto ustanowiła w 2015 roku Fundacja „Jestem Optymistą", która rokrocznie przyznaje różne optymistyczne tytuły (wśród laureatów znajdziemy m.in. Urszulę Dudziak, Alicję Węgorzewską czy Michała Milowicza) i generalnie promuje pozytywne myślenie tudzież pielęgnowanie nadziei na lepsze dziś i jutro a także przekonanie, że jest dobrze.

Od strony psychologicznej kwestie optymizmu badał m.in. amerykański psycholog Martin Seligman, twórca „pozytywnej psychologii", który zastanawiał się (oczywiście nie tylko nad tym), co sprawia, że człowiek dobrze żyje, jest odporny na stres i radzi sobie z przeciwnościami losu. Innymi słowy, czy da się nauczyć optymizmu i co sprawia, że człowiekowi się chce. Opracował tzw. model PERMA, który wyróżniał pięć filarów człowieczego dobrostanu: P – Positive emotions, czyli pozytywne emocje, E – Engagement, zaangażowanie R – Relationships, relacje z innymi ludźmi, M – Meaning, czyli sens i A – Accomplishments – osiągnięcia. Nie chodzi więc o to, jak być szczęśliwym bez względu na wszystko, ale jak najlepiej radzić sobie w sytuacjach kryzysowych i skrajnie trudnych.

Czego i Państwu, i sobie, życzę. Nie tylko przy okazji Dnia Optymisty. I zapraszam na optymistyczną „Weekendówkę". ●



TROCHĘ OPTYMIZMU
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) śpiewa: „Kocham cię, życie"
5) czas nowej nadziei, budzenia się przyrody do życia
7) pozytywne strony czegoś; zalety, walory
9) trudno było zachować optymizm, słysząc jej proroctwa...
10) rozpromieniona uśmiechem
11) napisał komedię „Wszystko dobre, co się dobrze kończy"
12) „Optimist" to międzynarodowa ... jachtów
15) dobra ..., czyli pozytywny nastrój
16) „Jesteś lekiem na całe ... i nadzieją na przyszły rok" (Prońko)
17) Roberto, wyreżyserował i wystąpił w filmie „Życie jest piękne"
19) wzrusza estetę
20) piosenka Hanny Banaszak („Bo mnie na uśmiech zawsze stać")
22) Andrzej, nagrał piosenkę „Póki masz nadzieję"
24) aprobowanie pozytywnych wartości czegoś (... życia)
27) życiowe ... (trzeba wierzyć, że je zrealizujemy)
28) ... i cienie życia, czyli jego pozytywne i negatywne strony
30) królicza – noszona na szczęście
31) hormony szczęścia
32) niczym niezmącona ..., że wszystko będzie dobrze
34) autor wiersza „Miejmy nadzieję"
36) szczęścia nie dają, ale pozwalają pozytywnie patrzeć w przyszłość
37) daje nadzieję na zbawienie i życie wieczne

Pionowo:
1) już widać ... w tunelu (pojawił się promyk nadziei)
2) Kasia, nagrała piosenkę „Coś optymistycznego"
3) potocznie nazywane drzewkami szczęścia
4) „Optymistycznie" Buki i Rahima
6) wielkie – w tytule powieści Karola Dickensa
7) dziewczynka z powieści Eleanor H. Porter; mimo wielu ciosów od losu nigdy nie traci optymizmu
8) „Jedyne co mam to złudzenia, że mogę mieć własne ..." (Czerwony Tulipan)
11) troszeńkę nadziei, kropelka optymizmu
13) Agnieszka, autorka słów piosenki „Zielono mi"
14) „... czasu", przebój Dżemu („Mam jeszcze wiarę, odmieni się los")
17) lamentowanie, narzekanie na coś
18) zalety, pozytywy
21) do połowy pełna – wg optymisty
23) szczęśliwe zakończenie akcji filmu, powieści
25) wyreżyserował „Słodkie życie"
26) „Wszystko mija, nawet najdłuższa żmija" S.J. Leca
27) 7 (przynosi szczęście)
29) autor powiastki filozoficznej „Kandyd, czyli Optymizm"
33) carpe diem (chwytaj dzień) – dobra życiowa ...
35) „Dobre ...", w repertuarze Perfectu

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 217 z 8.08:

Poziomo: 4) pszczelarstwo 9) miesiąc miodowy 10) barć 11) pasieka 14) nowożeńcy 17) beczki 18) robotnica 19) nugat 22) nektar 24) rodzaje 26) wielokwiat 30) Jan Kochanowski 32) rosa 33) garnek 34) przysłowia 35) Miodek.

Pionowo: 1) serial 2) kand 3) pobieranie 4) paski 5) cecha 6) Trylogia 7) gorycz 8) lipa 12) sycenie 13) kwiatek 15) osty 16) obżartuch 17) bogowie 18) rurka 20) gęstnienie 21) trójniak 23) dzban 25) Jadwiga 27) objaw 28) winiarze 29) pokarm 31) aktor.

Hasło: SAME TRUTNIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992



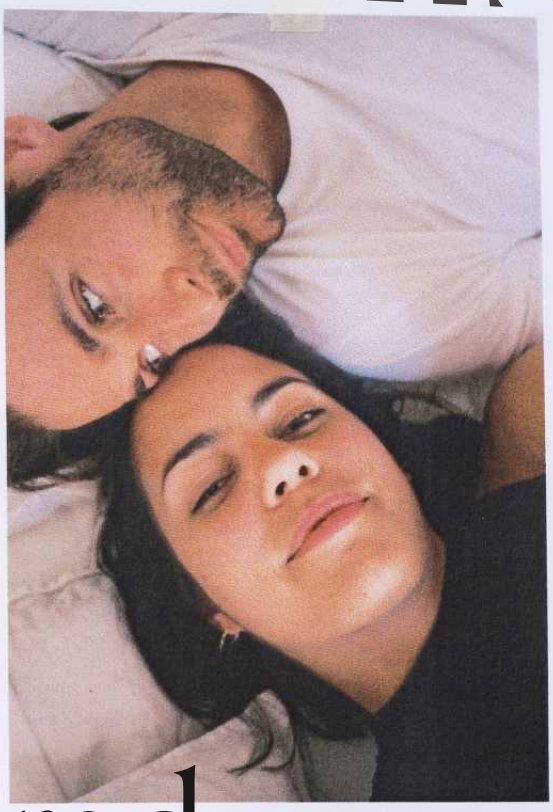
1 RP

eprasa.pl 46280ae095

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

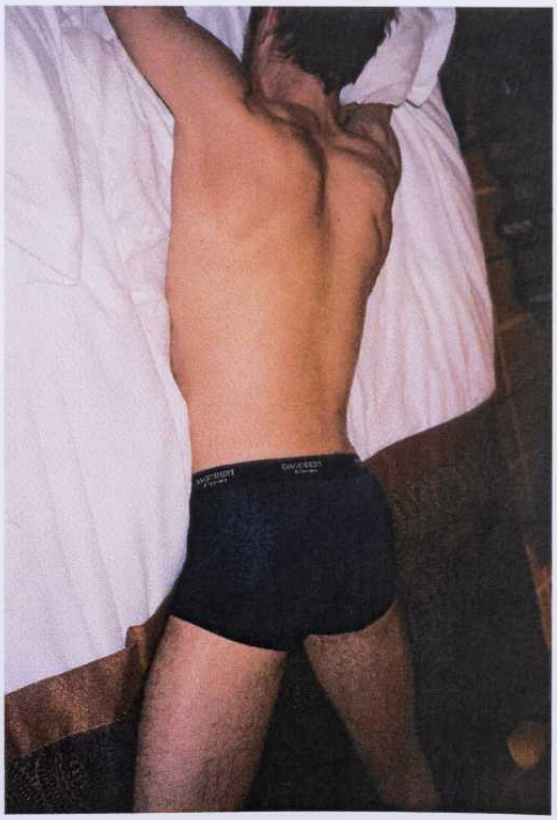




KARLA HIRALDO VOLEAU

Historia zdrady

Rozmowa Ady Petriczko





wyborcza

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl **NR 33 (1404)** SOBOTA – CZWARTEK, 22-27 SIERPNIA 2026

Matka bez ślubu



PAULINA REITER

Po latach milczenia odkrywane są dawne tajemnice i sekrety, skrywane tym głębiej, im większy stał za nimi ludzki dramat. I im większy towarzyszył im wstyd.

Całkiem niedawno pisałam w „Wysokich Obcasach" o książce kanadyjskiej dziennikarki i pisarki Heather Marshall „Szukając Jane". Przedstawiła dramat dziewczyn, które trafiły – najczęściej odesłane przez rodziny – do domów dla niezamężnych matek. Historia, którą opisała Marshall, zaczyna się w latach 60., gdy Evelyn Taylor zostaje odesłana do takiego zakładu, bo jej narzeczony umiera, pozostawiając ją w ciąży. Ma urodzić dziecko w sekrecie, a następnie zostanie ono oddane do adopcji, ona zaś wróci do rodziny i nikt się nigdy nie dowie, że było jakieś dziecko. Samotna dziewczyna z nieślubnym dzieckiem nie ma bowiem szans w konserwatywnym społeczeństwie – czeka ją bezdomność, głód (nikt jej nie da pracy) i prawdopodobnie śmierć. Opis domu, w którym toczy się akcja powieści, Marshall stworzyła na podstawie wspomnień osadzonych (tym terminem posługiwała się wobec zamkniętych w ośrodkach kobiet administracja). Skala dramatu przeraża – ponad trzysta tysięcy kanadyjskich matek zostało przez system zmuszonych do oddania dziecka do adopcji. Nigdy nie usłyszały przeprosin od swojego kraju. Takie domy dla niezamężnych matek istniały po wojnie w wielu krajach, nie tylko w Kanadzie.

Chyba najtragiczniejszą odsłonę tej historii poznaliśmy w 2014 roku, gdy na terenie Domu Matki i Dziecka w Tuam, w zachodniej Irlandii, odkryto prawie 800 ciał podopiecznych tej placówki prowadzonej przez zakonnice. Takich domów w Irlandii było wiele i tam również trafiały niezamężne kobiety w ciąży. Bardzo dużo dzieci urodzonych tam zmarło przy porodzie albo z powodu chorób. Łącznie w tego typu ośrodkach zginęło dziewięć tysięcy dzieci. Te, które przeżyły, były oddawane do adopcji. W domach zamknięto kilkadziesiąt tysięcy matek, wiele z nich zmarło wskutek wycieńczenia. O rzeczywistości w przyklasztornych ośrodkach, do których trafiały „upadłe kobiety", napisała wybitną powieść „Drobiazgi takie jak te" Claire Keegan.

W tym numerze „Wysokich Obcasów" Anna Pamuła rozmawia z francuską pisarką Sophie de Baere, która opisała losy tzw. Petits Paris – małych Paryżan. Tak nazywano dzieci, które francuska opieka społeczna wysyłała z paryskich przytułków do chłopskich rodzin w Morvan. Odbierano je niezamężnym kobietom, które zostały przez swoje rodziny zamknięte w domach dla niezamężnych matek, by urodziły w tajemnicy i wróciły bez dziecka i bez wstydu. Maisons maternelles działały do lat 60. Kobiet, którym odebrano dzieci, było dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Prawdopodobnie były wśród nich dziewczyny, którym oddanie dziecka (jeśli było niechciane) przyniosło ulgę. Ale było wiele, które zostały do tego zmuszone. Gdy przyjrzymy się tym historiom, zobaczymy, czym są podbite – że ich podszewkę uszyła religijność, wedle której zajść w ciążę bez ślubu było grzechem. Trudno o wyraźniejszą ilustrację porzekadła, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane.

Dziś badaczki i pisarki odkrywają te wstrząsające historie i przesuwają wstyd na właściwą stronę. Dziś musimy płonąć ze wstydu, że tak urządzony świat był możliwy. ▲

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EKSTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Sandra Bullock: Życie jak film ■ **TEMAT NUMERU:** • Rozstanie to nie koniec świata
■ **PSYCHOLOGIA:** • Koniec przyjaźni: Co niszczy relacje • Wakacje na dziko: Pod namiotem też można wypocząć
■ **TWARZE:** • Rosemary Kennedy: Wymazana z pamięci i • Agnieszka Cegielska: Przerwane dzieciństwo • Anthony Burdain: Gonzo przy garach

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 17, 19, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 33 (1404)
OKŁADKA:
FOT. KARLA HIRALDO VOLEAU



e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
telefon: 22 555 43 26

LIST TYGODNIA

Wdzięczność wobec ciała

Z dużym uznaniem przeczytałam Wasz manifest „Ciało bez presji". W świecie pełnym filtrów, nierealnych wzorców piękna i nieustannego oceniania kobiet każdy głos przeciwko zawstydzaniu zasługuje na uwagę. Kobieta nie powinna być definiowana przez rozmiar ubrań ani żyć pod dyktando cudzych oczekiwań. Z tym przesłaniem zgadzam się całkowicie. Mam jednak obawę, że pomiędzy akceptacją własnego ciała a akceptacją otyłości zaciera się ważna granica. Powinniśmy kochać swoje ciało, ale właśnie dlatego nie wolno nam ignorować sygnałów, które wysyła. Wdzięczność wobec własnego organizmu nie polega na udawaniu, że choroba nie istnieje. Polega na trosce o zdrowie.

Otyłość nie jest wyłącznie kwestią wyglądu. Jest uznaną przez współczesną medycynę chorobą przewlekłą, zwiększającą ryzyko chorób serca, udaru mózgu, cukrzycy typu 2, niewydolności oddechowej, niektórych nowotworów i wielu innych schorzeń. O tym również trzeba mówić.

Moja przyjaciółka przez wiele lat powtarzała, że najważniejsze jest zaakceptowanie siebie taką, jaka jest. Miała 45 lat, kiedy trafiła do szpitala z ciężkim stanem przedzawałowym. Po ustabilizowaniu stanu zdrowia kardiolog powiedział jej: „Jeżeli nie schudnie pani znacząco, kolejnego razu może już nie być". To nie były słowa mające kogokolwiek zawstydzić. To była medyczna diagnoza i ostrzeżenie wynikające z wiedzy oraz doświadczenia. Od tamtej chwili moja przyjaciółka przeszła ogromną przemianę. Nie dlatego, że chciała zmieścić się w mniejszy rozmiar sukienki. Zrobiła to dlatego, że chciała żyć. Dlatego z niepokojem obserwuję coraz częściej pojawiające się przekazy, które mogą zostać odebrane jako przyzwolenie na pozostawanie w stanie zagrażającym zdrowiu. Walcząc z body shamingiem, nie możemy jednocześnie stworzyć nowego tabu, w którym o medycznych konsekwencjach otyłości nie wypada już mówić. Można jednocześnie powiedzieć kobiecie: „Jesteś wartościowym człowiekiem niezależnie od swojej wagi." A także: „Jeżeli cierpisz na otyłość, zasługujesz na profesjonalną pomoc, ponieważ jest to choroba, którą można i warto leczyć". Te dwa zdania nie wykluczają się. One tworzą spójną i odpowiedzialną całość. Nie potrzebujemy presji idealnego wyglądu. Nie potrzebujemy zawstydzania. Potrzebujemy natomiast odwagi, by mówić prawdę. **Czytelniczka**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma Inteligentny program pielęgnacyjny w duchu filozofii smart aging AA LAAB NUTRIDERM ACTIVE +++ oraz książkę „Nie wierz matce (gdy obiecuje, że pójdziemy po płaskim)" Katarzyny Czajki-Kominiarczuk, wydawnictwo NEWHOMERS



OGŁOSZENIE

Reklama prowadzona przez Nexon Pharma Sp. z o.o. Sp.K.;
producent: Stericon Pharma Pvt. Ltd.



nexon pharma

EUPHRASIA® HYALO PURE

NOWOŚĆ!

PRZYJAZNE SOCZEWKOM KONTAKTOWYM

- Naturalne nawilżenie
- Szybka ulga
- Działanie kojące
- Zmniejszenie uczucia pieczenia
- Redukcja zaczerwienienia

KROPLE DO OCZU
BEZ KONSERWANTÓW

Wyrób medyczny opracowany z myślą o osobach potrzebujących delikatnego i skutecznego nawilżenia oczu.

Hialuronian sodu – dla długotrwałego nawilżenia i komfortu oczu

Krótki skład – odpowiedni do częstego stosowania

Przyjazne soczewkom kontaktowym

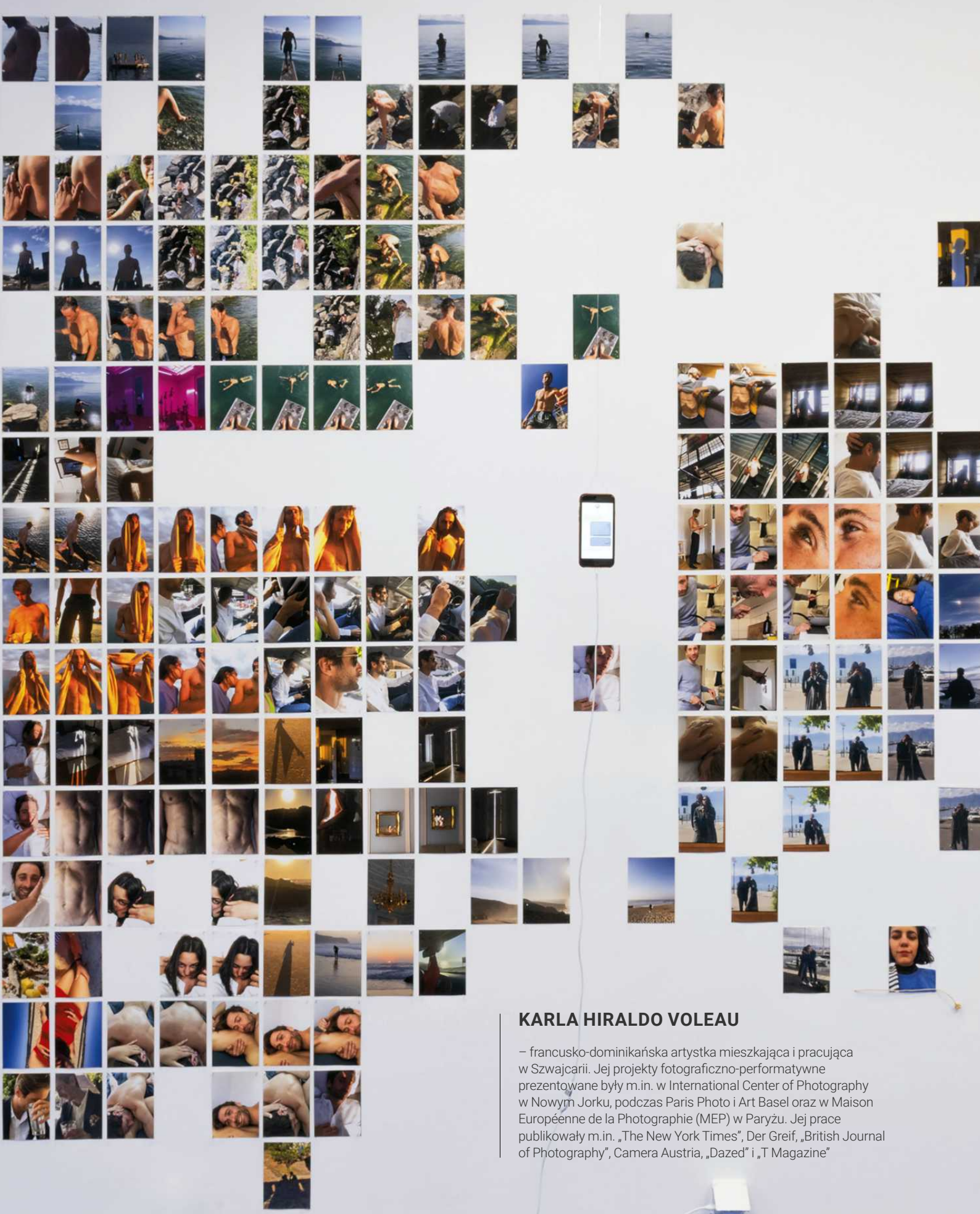
TO JEST WYRÓB MEDYCZNY. UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ UŻYWANIA LUB ETYKIETĄ.



KARLA HIRALDO VOLEAU

Dowody w *sprawie*

Nagle rozsypał się rok wspomnień z naszego związku – nic nie było już pewne ani prawdziwe, została po nim pustka. Zaczęłam ją wypełniać zdjęciami



KARLA HIRALDO VOLEAU

– francusko-dominikańska artystka mieszkająca i pracująca w Szwajcarii. Jej projekty fotograficzno-performatywne prezentowane były m.in. w International Center of Photography w Nowym Jorku, podczas Paris Photo i Art Basel oraz w Maison Européenne de la Photographie (MEP) w Paryżu. Jej prace publikowały m.in. „The New York Times", Der Greif, „British Journal of Photography", Camera Austria, „Dazed" i „T Magazine"

Z **KARLĄ HIRALDO VOLEAU**, FRANCUSKO-DOMINIKAŃSKĄ FOTOGRAFKĄ I AUTORKĄ PROJEKTU „INNA HISTORIA MIŁOSNA", ROZMAWIA **ADA PETRICZKO**

W

Wszystkie szczęśliwe pary są do siebie podobne, dlatego na pierwszy rzut oka w „Innej historii miłosnej" nic nie jest inne. Wręcz przeciwnie: Karla i jej partner X – młodzi, atrakcyjni, wtuleni w siebie na plaży pod Lizboną czy podczas spaceru uliczkami Lozanny – wydają się wręcz nudni w swoich instagramowych kadrach.

Tyle że szybko coś przestaje się zgadzać. Na jednym zdjęciu Karla ma krótkie włosy, na kolejnym sięgają jej za ramiona, choć fotografie pochodzą z podobnego okresu. Notatka z pomysłami na ślub („biała sukienka vintage, niebieskie sandały, malinowa szminka, plaża, kapliczka, 40 gości") należy do tej samej opowieści co arkusz produkcyjny z godzinami pracy wynajętego aktora i rachunkami za kostiumy. A pomiędzy zdjęcia, jak rysa, wcina się transkrypt rozmowy z Nią – rzekomo byłą partnerką X. Dopiero podczas tej rozmowy Karla dowiedziała się, że ich związek nigdy się nie skończył.

„Inna historia miłosna" zaczyna się od trzęsienia ziemi – telefonu do Niej. Dowiadujesz się, że twój partner, którego nazywasz X, jest z Nią od czterech lat w związku. Zanim to wszystko wyszło na jaw, jaką historię miłosną przeżywałaś?
– To był mój drugi związek z X. Po raz pierwszy spotkaliśmy się siedem lat wcześniej w Paryżu, gdzie wtedy mieszkałam. X był typem księcia z bajki – świetnie wykształcony, przystojny i jednocześnie dojrzały, zaangażowany. W pełni mu ufałam, a moja rodzina i przyjaciele go uwielbiali.

Tylko że miałam wtedy dwadzieścia cztery lata i wydawało mi się absurdalne, że już spotkałam swojego człowieka na resztę życia. Nie chciałam w to wierzyć. Dlatego, kiedy dostałam się na studia artystyczne w Szwajcarii, rozstałam się z X.

Przez kolejne cztery lata towarzyszyło mi poczucie, że popełniłam błąd – że X był, o ironio, najbardziej lojalnym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Coraz bardziej za nim tęskniłam i kiedy skończyłam studia, wróciliśmy do siebie, tym razem na odległość – on mieszkał w Paryżu, ja – w Lozannie.

Czy było coś w tym drugim rozdziale waszej relacji, co budziło w tobie wątpliwości?
– Tak i nie, bo tym razem weszliśmy w inną historię – opowieść o tym, jak bardzo go zraniłam swoim odejściem. Mówił, że nigdy tak przez nikogo nie cierpiał. Zaczęła się moja pokuta: musiałam mu w kółko udowadniać, że jestem tu na dobre i na złe, że to nie jest kaprys. Wytworzyła się między nami taka dynamika, że on stał na piedestale, a ja nie miałam prawa wątpić w jego miłość.

Poza tym po prostu mu ufałam. Miałam w sobie tę arogancję myślenia, że mój chłopak nigdy by mnie nie zdradził, że tak bardzo mnie kocha i jestem przy nim bezpieczna. Dopiero podczas rozmowy z Nią okazało się, że X zdradzał mnie nie tylko w tym drugim związku, ale już w pierwszym.

Zresztą powrót po latach rozłąki był tak intensywny emocjonalnie, że przyćmił wszystkie dziwne sytuacje, na które się natykałam – choćby to, że X nigdy nie zapraszał mnie do swojego mieszkania w Paryżu. Dziś włączyłoby mi to alarm, ale wtedy trwała pandemia COVID-19 i nie można było łatwo poruszać się między krajami. Kiedy obostrzenia się skończyły, jego wytłumaczenia przestały mieć sens i coś we mnie zaczęło pękać, choć wciąż nie chciałam w to uwierzyć.

Jak doszło do rozmowy z Nią?
– Podczas jednej z kłótni X wypalił, że była partnerka wciąż jest obecna w jego życiu i że nie daje mu spokoju. Byłam skołowana. Przyjaciółka poradziła mi, żebym do niej zadzwoniła. „X to dobry facet," powiedziała, „ale może lepiej porozmawiaj z tą kobietą".

Pamiętam wyraźnie, że pierwszy raz od blisko roku pomyślałam: a jeśli on mnie okłamuje?

Tamtej nocy znalazłam jej konto na Facebooku i poprosiłam wspólnego znajomego, żeby dał mi jej numer telefonu i uprzedził ją, że zadzwonię.

Po naszej rozmowie byłam w takim szoku, że przez prawie dwa tygodnie nie mogłam ani płakać, ani jeść. Ale pojawiła się też jasność – dla nas obu. Nagle wszystko zaczęło się układać: jego dziwne zachowania, luki w kalendarzach. Wsiadłam do pociągu do Paryża, gdzie Ona odebrała mnie z dworca. Tego samego dnia skonfrontowałyśmy go i obie go zostawiłyśmy.

Kiedy wpadłaś na pomysł, żeby odtworzyć na zdjęciach cały rok waszego związku – z aktorem w roli X?
– Niedługo potem. Miałam wtedy już zlecenie z Maison Européenne de la Photographie w Paryżu na solową wystawę o miłości, którą musiałam wyprodukować tamtego lata. Zanim dowiedziałam się o zdradzie X, planowałam, że to będzie szczery, właściwie aż żenująco romantyczny projekt o naszej miłości. X się na to zgodził, kibicował mi.

Tylko że kiedy go skonfrontowałyśmy, on zaprzeczył, że do mnie kiedykolwiek wrócił. Powiedział, że kłamię, że jestem manipulantką. Zostałam wrzucona w rolę potwora, uwodzicielki, która zniszczyła mu życie, a Ona w rolę świętej partnerki, której nie wolno mu stracić. Dzięki Bogu, Ona stanęła po mojej stronie, ale to, że X oskarżył mnie o kłamstwo, sprawiło, że jeszcze bardziej chciałam opowiedzieć swoją historię.

Pomyślałam: nie ma szans, żebym teraz zrobiła projekt o miłości i nie mówiła o tym, co się stało. Zapytałam X, czy mogę mimo wszystko użyć naszych wspólnych zdjęć. Trzy tygodnie po tym, jak wszystko wybuchło, jeszcze się kontaktowaliśmy i wtedy powiedział, że pozwie mnie za revenge porn, jeśli pokażę choć fragment jego ciała. To była ostatnia i najbardziej brutalna rzecz, jaką mi powiedział mężczyzna, za którego chciałam wyjść za mąż.

Rozważałam wycofanie się z wystawy. Ale moja mama i macocha, niezależnie od siebie, powiedziały mi, że jeśli naprawdę chcę to zrobić, muszę znaleźć sposób. Macocha, aktorka, zasugerowała: dlaczego tego nie odtworzysz?

FOT. KARLA HIRALDO VOLEAU



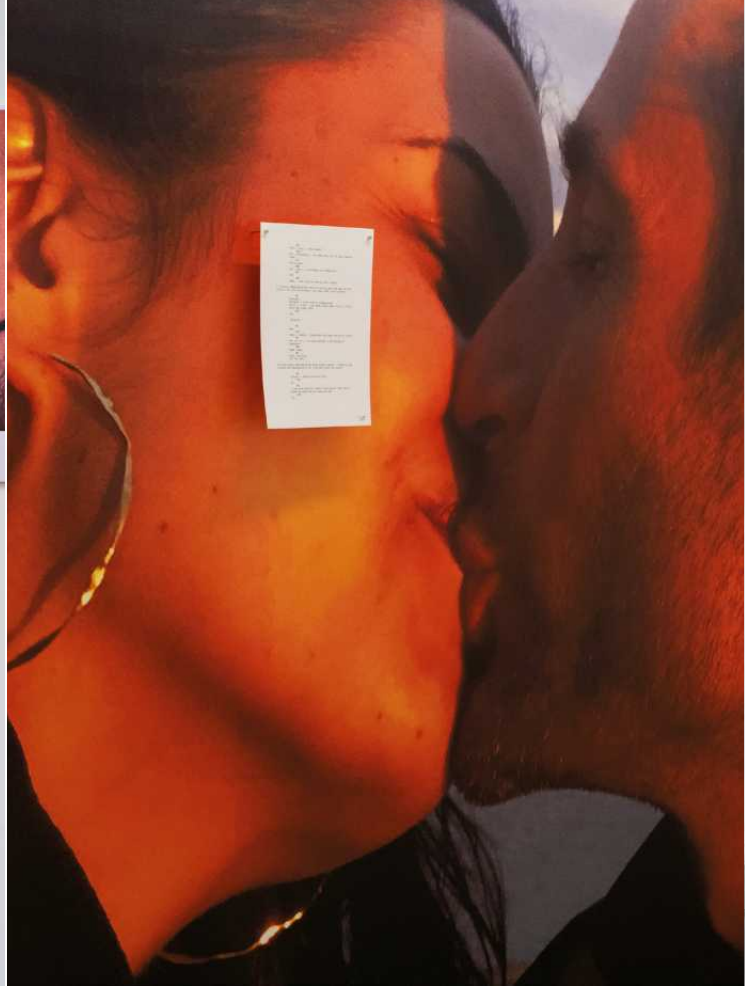


Miałam w sobie arogancję myślenia,
że mój chłopak nigdy by mnie nie zdradził,
że mnie kocha i jestem przy nim bezpieczna









Rozłożyłam cały materiał archiwalny na podłodze mieszkania – w sumie 600 zdjęć z telefonu i aparatu – i poukładałam go chronologicznie, miesiąc po miesiącu.

Wasze prywatne, intymne zdjęcia nagle stały się dowodami w sprawie. Czy zobaczyłaś na nich coś, czego wcześniej nie widziałaś?

– Uwierz mi lub nie, ale jedno z pierwszych zdjęć, jakie kiedykolwiek sobie zrobiliśmy – tej pierwszej nocy, kiedy do siebie wróciliśmy – z perspektywy czasu wydaje się uderzająco prorocze. Stoimy przed lustrem. On jest z tyłu, w cieniu, i trzyma mnie w niezbyt czuły sposób. Do tego oślepia mnie fleszem, a ja zasłaniam oczy, jakbym mówiła: nie chcę widzieć, co się dzieje.

Jest też zdjęcie znad jeziora, na którym X wchodzi do wody i wygląda groźnie, jak potwór z Loch Ness, a w tle widać kłócącą się parę. Zresztą na wielu zdjęciach, na których jesteśmy razem, przewija się jakaś przypadkowa, trzecia osoba.

Nie sądzę, żebym robiła te zdjęcia świadomie, próbując się ostrzec. Zresztą jedna fotografia nigdy nic dla mnie nie znaczy – dopiero seria zdjęć i sposób, w jaki się kogoś fotografuje na przestrzeni czasu, coś mówi. Kiedy patrzę na cały ten rok jako serię, widzę, jak moje kadry zdradzały narastające wątpliwości: na początku to eksplozja kolorów, nagości, bliskości, a im dalej w czasie, tym bardziej X jest nieuchwytny, tym mniej jest zbliżeń i tym rzadziej fotografuję go w ogóle. Pewnie czułam, że coś jest nie tak i podświadomie nie chciałam tego rejestrować. To odsłania pewną prawdę, zanim byłam gotowa ją zobaczyć.

W „Innej historii miłosnej" X zagrał Pierre, profesjonalny aktor. Jak go znalazłaś i jak wyglądało odtwarzanie z nim własnego związku?

– Kiedy zaczęłam szukać aktora, miałam duży wybór, bo X był atrakcyjny w dość banalny sposób – biały, wysoki, o niebieskich oczach. Przeglądałam strony agencji, aż trafiłam na Pierre'a i od razu wiedziałam, że to on, po prostu. Napisałam do niego, a on oddzwonił po godzinie: okazało się, że znał moje prace, widział moją wystawę w Amsterdamie i akurat zwolnił mu się termin.

Wszystko działo się szybko, bo przecież miałam zlecenie na wystawę. Mój związek rozpadł się w czerwcu, a już miesiąc później zaczęłam zdjęcia z Pierre'em. Myślę, że dobrze się stało, bo musiałam nabrać dystansu do tej historii i zacząć patrzeć na nią jak na materiał.

Zdjęcia były zadziwiająco radosnym doświadczeniem, choć zdarzały też dziwne momenty. Podczas pierwszej przerwy na lunch odkryliśmy, że Pierre urodził się dokładnie tego samego dnia, miesiąca i roku co X. Byłam w szoku. Czasami nawet ich mimika była podobna, choć poza tym nie mogliby być bardziej różni. Z Pierre'em przyjaźnimy się do dziś.

Jak czułaś się, manewrując między rolami reżyserki, aktorki i osoby, która to wszystko przeżyła?

– Nie czułam żadnej nostalgii. Nagle rozsypał się cały rok wspomnień z naszego związku – nic nie było już pewne ani prawdziwe, została po nim pustka. Podczas zdjęć zaczęłam ją wypełniać i z czasem fikcja stała się dla mnie prawdziwsza niż rzeczywistość.

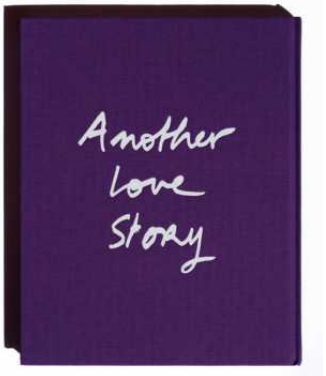
Nie chcę przez to powiedzieć, że nagle wszystko było już w porządku, bo potrzebowałam dwóch lat, żeby dojść do siebie, ale arteterapeutyczny aspekt projektu zadziałał. Byłam zbyt zajęta, żeby tkwić w przeszłości, a opowiadanie tej historii na moich warunkach, moimi kadrami, wzmocniło mnie.





Wystawę „Inna historia miłośna" Karli Hiraldo Voleau można zobaczyć w Instytucie Fotografii „Fort" w Warszawie do 6 września





Gdyby nie to, być może wciąż tkwiłabym w miejscu, w którym nie wiedziałam, co jest prawdą, nie ufałam sobie ani mężczyznom, czułam się niegodna miłości i zakładałam, że każdy w końcu mnie wystawi.

Twój projekt obnaża performatywny aspekt związków – pokazuje, że para jest strukturą, którą wspólnie odgrywamy. Kiedy jesteśmy zakochani, często czujemy się odcięci od świata, jakbyśmy przeżywali coś całkowicie wyjątkowego. Ale z zewnątrz, na zdjęciach, te relacje wyglądają zaskakująco podobnie.

– Dokładnie. Kiedy rozłożyłam całe archiwum naszego związku na podłodze, zobaczyłam, jak bardzo banalna i pełna klisz była moja wizja nas jako pary. Myślę, że to po części wpływ mediów społecznościowych. Na zdjęciach byliśmy młodzi, zdrowi, seksowni, na zawsze w sobie zakochani, bez problemów, na nieustających wakacjach, w idealnym świetle.

A przecież to nie było reprezentatywne dla naszej relacji, która była pełna pęknięć i niedopowiedzeń. Nie była tymi zmysłowymi, czułymi zdjęciami, które po niej pozostały.

Zdjęcia dają związkowi społeczną walidację, i sprawiają, że para staje się dla innych realna – inaczej jakby nie istniała.

– Fotografia generalnie jest dla nas ostatecznym dowodem. To oczywiście fałszywe założenie, ale nawet jeśli wiemy, że zdjęcie niekoniecznie mówi prawdę, wciąż traktujemy je jak dowód, że coś się wydarzyło.

Dla mnie nasze zdjęcia były potwierdzeniem, że wszystko jest w porządku, że podjęłam dobrą decyzję, wracając do niegoo i że byliśmy szczęśliwi.

Chciałaś zabezpieczyć to szczęście?

– Ewidentnie szukałam dowodu miłości. Próbowałam zrównoważyć niepewność i lęki, ale karmiłam też swoją nostalgię i obsesję archiwizowania. Całe moje życie jest poukładane chronologicznie w folderach, w których znajdują się zdjęcia z każdego okresu. Już tego nie robię, ale przez lata nieustannie wszystko fotografowałam, również swoje związki. Zawsze spodziewałam się najgorszego i chciałam zatrzymać przynajmniej wspomnienia.

Dlaczego włączyłaś do projektu również prawdziwe zdjęcia z X, na których nie można go rozpoznać?

– Częściowo z powodów technicznych. Robiliśmy zdjęcia latem, więc nie mogłam odtworzyć zimowych ujęć. Nie chodziło tylko o śnieg, ale również o światło, które jest inne o tej porze roku.

Przede wszystkim chciałam jednak postawić widza w niewygodnej pozycji zgadywania, co jest prawdziwe, a co fałszywe – bo sama byłam tam przez rok, a może przez całe życie. Kiedy widz orientuje się, że część zdjęć jest prawdziwa, a część zrekonstruowana, zaczyna inaczej patrzeć na każdą fotografię. Moje zdjęcia sprzed projektu mieszają się z rekonstrukcjami, więc nie do końca wiadomo, którą z tych kobiet jestem: aktorką czy zakochaną, ślepą dziewczyną.

Zresztą dalej nie jestem pewna, czy byłam szczerze zakochana, czy zaślepiona; czy on mnie kochał. Nigdy się tego nie dowiem. Chciałam, żeby widz poczuł grozę tej sytuacji. Nikt tak naprawdę nie wie, co dzieje się wewnątrz innych związków, a czasami nie wiedzą tego nawet osoby, które je tworzą.

Wróćmy do początku twojego projektu i końca związku, czyli do rozmowy z Nią. Wzruszyło mnie, że nie było tam wzajemnych oskarżeń czy pretensji, było za to natychmiastowe zaufanie.

– Myślę, że obie jednocześnie byłyśmy i nie byłyśmy w szoku, bo podświadomie czułyśmy, że nasze związki z X nie skończą się dobrze. Ja znałam go od siedmiu lat, ona od czterech, a jednak obie miałyśmy głęboko poukrywane wątpliwości i niepokoje. Dopiero kiedy połączyłyśmy nasze doświadczenia, zrozumiałyśmy dlaczego.

Kultura lubi motyw kobiecej rywalizacji o mężczyznę, telenowelowe okrzyki i wyrywanie sobie włosów. Myślę jednak, że obie mamy na tyle poczucia własnej wartości, że natychmiast wiedziałyśmy, że to nie my jesteśmy tu problemem.

Czy Ona obejrzała wystawę?

– Nie. To byłoby dla niej za dużo. Nie mamy też już ze sobą kontaktu. Myślę, że potrzebowałyśmy siebie przez kilka miesięcy po tym, jak wszystko wybuchło, ale dzisiaj to nie służyłoby raczej żadnej z nas. Wciąż symbolizujemy dla siebie ogrom bólu.

Mimo to zależało mi, żeby transkrypt tej rozmowy stał się częścią wystawy dokładnie w takiej formie, bez żadnej redakcji. Chciałabym, żeby tak wyglądały spotkania kobiet, które znalazły się w podobnej sytuacji – żeby było w nich tyle zaufania i szacunku. Gdybym miała wskazać jedyną prawdziwą historię miłosną w „Innej historii miłosnej", byłaby to właśnie ta. ▲



Jennifer Saunders i Joanna Lumley w „Absolutely Fabulous", 1992

Absolutnie *fantastyczna*

Patsy Stone to najbardziej ikoniczna rola w jej życiorysie, naznaczonym przez najciekawsze i najtrudniejsze wydarzenia w brytyjskiej historii: kolonializm, narodziny kultury popularnej, fenomen swingującego Londynu, a niedawno również kwestie imigracji

TEKST **AGATA PYZIK**

Byłaś fantastyczną matką. Dzieci kompletnie zrujnowały ci figurę, brzuch rozciągnęły jak u maciory, cycki wiszą ci do kolan, i po co? Dla grotołaza w nylonowym T-shircie z podobizną Gazzy [brytyjski piłkarz znany z ekscesów narkotykowych]? Czas przeciąć pępowinę!" – wypala Patsy Stone, grana przez Joannę Lumley, do swojej przyjaciółki Ediny w pierwszym odcinku „Absolutnie fantastycznych", po czym wyciąga z designerskiej torebki inhalator do astmy, w którym trzyma kilka fiolek z kokainą i ketaminą, a widzowie w całej Wielkiej Brytanii natychmiast się w niej zakochują.

KOCHANIE, POLEJ BOLLY

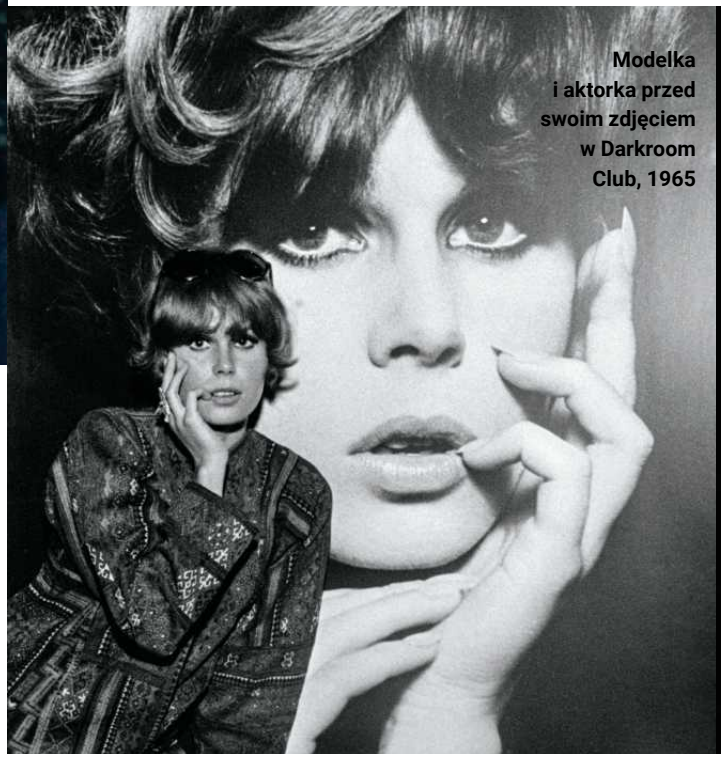
Jest 1992 rok i nikt nie był przygotowany na tę satyrę na klasy kreatywne i szaloną konsumpcję początku lat 90. Odcinek ten zresztą rozpoczyna się od tego, jak grana przez Jennifer Saunders Edina, specjalistka od PR, budzi się ogromnie skacowana w swoim pokrytym fajkami i pustymi butelkami po alkoholu łóżku – słynne „Łóżko" Tracey Emin, powstałe kilka lat później, to przy tym pikuś – po czym ma atak paniki, ukrywa alkohol przed córką, następnie z dwugodzinnym opóźnieniem zawozi ją do pracy szofer. Praca ta jednak polega głównie na konsumowaniu obłędnych ilości musującego wina Bollinger, które z Patsy pieszczotliwie nazywają Bolly, byciu afektowaną, używaniu w stosunku do każdego wyłącznie słów „kochanie" i „mysiu-pysiu" i wspólnym użalaniu się nad sobą.

W latach 80. Jennifer Saunders była jedną z najjaśniejszych gwiazd brytyjskiej komedii, występując często w duecie z Dawn French. W jednych ze wspólnych skeczy chciały obśmiać typowe londyńskie osoby od mediów, puste, narcystyczne i z obsesją na punkcie konsumpcji, które ich zdaniem rujnowały to, co najlepsze w kulturze brytyjskiej, ale też były jej nieodłączną częścią. Wyszło aż za dobrze. Tak oto wymyśliły Edinę Monsoon, lekkomyślną, samolubną specjalistkę od PR, lubiącą nosić dwa rozmiary za małe krzykliwe ubrania, które kompletnie do siebie nie pasują. Ma dwóch byłych mężów, z których jeden został po rozwodzie rabinem, a drugi gejem.

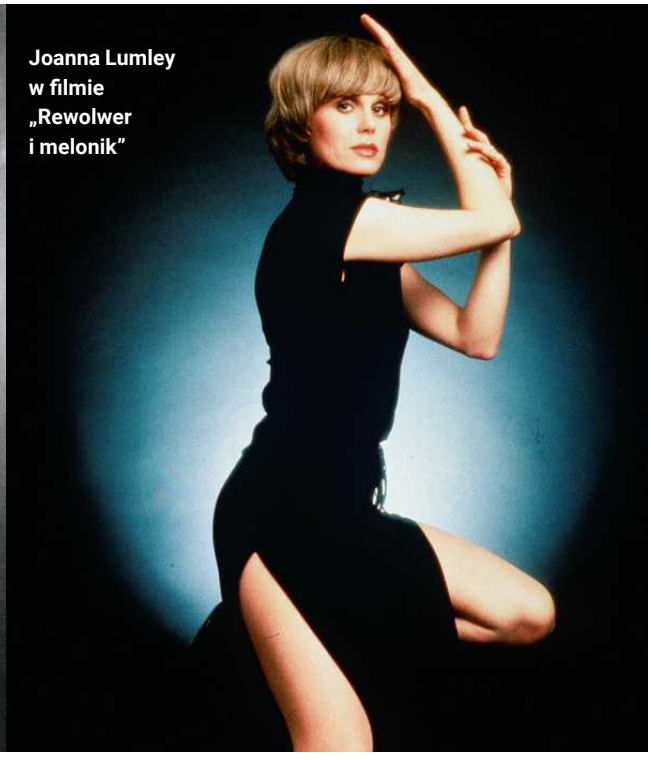
Saunders wiedziała, że Edina musi mieć godną siebie partnerkę. I tak powołała do życia Patsy – istną Ivanę Trump tego serialu. Patsy, chuda jak patyk i wysoka, była modelka, z nieodłącznym papierosem w jednej i butelką w drugiej dłoni, jest redaktorką mody i podchodzi do swojej pracy jeszcze bardziej nonszalancko niż Edina. „To ja decyduję, co się nosi. Jedno pstryknięcie palcami, a podnoszę długość spódnic tak, że świat staje się twoim ginekologiem". Chodzi w przesadnej, pochylonej pozie, niczym skradający się w nocy garbaty wampir, którego organizm przyjmuje tylko alkohol, toksyny papierosowe i inne narkotyki. Chwali się, że poza jednym chipsem ziemniaczanym nic nie jadła od początku lat 70. Mimo to wypluwa z siebie najzabawniejszy jad i żrącą pogardę dla absolutnie wszystkich, która jest głównym źródłem diabolicznego humoru w „Absolutnie fantastycznych".

Miała w głowie aktorkę, która miała ją zagrać, była jednak pewna, że Joanna Lumley, piękna, wyniosła blondynka, legenda lat 60., na pewno się nie zgodzi. Przecież Patsy to właściwie autoparodia Lumley, która była modelką i częścią sceny swingującego Londynu, prowadzała się ze Stonesami po Soho i grała w trzeciorzędnych erotykach, by potem stać się zimną pięknością ekranu w serialach takich jak „Szafir i stal". Jednak, o dziwo, Lumley zgodziła się natychmiast, okazała się zaskakująco łatwa we współpracy, a „Absolutnie fantastyczne" nie dość, że, z przerwami, leciało w telewizji 30 lat, ale stało się jednym z najbardziej uwielbianych seriali komediowych wszech czasów.

Na pewno wielką rolę odegrało w tym to, jak Saunders, a zwłaszcza Lumley nadały swoim wykolejonym, dysfunkcyjnym bohaterkom ludzkie cechy. Pod satyrą znajdowało się tam bijące serce. Lumley pokazała, że można być kobietą w pewnym wieku i, choć ze zmiennym szczęściem, nadal używać życia. W latach 90. portrety kobiet



Modelka i aktorka przed swoim zdjęciem w Darkroom Club, 1965



Joanna Lumley w filmie „Rewolwer i melonik"



Lumley świętuje wygraną sprawę wraz z byłym żołnierzami Gurkhami po kampanii na rzecz ich praw, Londyn, 21 maja 2009 r.

po pięćdziesiątce, które wciąż chcą się bawić i uprawiać seks, praktycznie nie istniały. Serial stał się więc paradoksalnie peanem na ich cześć. W Polsce na początku I dekady XXI wieku serial emitowała efemeryczna telewizja prywatna Wizja 1, a w kultowym dubbingu głos podkładały Marzena Trybała jako Patsy i Dorota Stalińska. Niestety, wersje te są teraz bardzo trudne dostępne, a powinny mieć swoje luksusowe wydania na DVD.

URODZONA W WALIZCE

Dlaczego Joanna Lumley teraz? Ponieważ ta 80-letnia brytyjska aktorka wciąż jest najwyraźniej zbyt droga brytyjskiej kulturze, aby ta nie pukała do jej drzwi przynajmniej raz na kilka lat. Patsy Stone to być może najbardziej ikoniczna rola w jej życiorysie, naznaczonym przez najciekawsze i najtrudniejsze wydarzenia w brytyjskiej historii, kolonializm, narodziny kultury popularnej, fenomen swingującego Londynu, kulturowej rewolucji i mody z Carnaby Street, a niedawno również kwestie imigracji i tarć etnicznych w Wielkiej Brytanii. A wcale się na to nie zapowiadało.

Lumley urodziła się w Srinagarze w Indiach, jako córka żołnierza, w ostatnich dniach tzw. Indii Brytyjskich – podział na Indie i Pakistan nastąpił rok po jej narodzinach w 1946 r. Jej rodzina miała wieloletnie powiązania z tym krajem, a tym samym z imperium brytyjskim, sięgające ponad 200 lat wstecz. Jej ojciec służył w wojsku, podobnie jak inni, w tym jej prapraprapradziadek. W XIX wieku był generałem-majorem w armii bengalskiej, skrzydła militarnego Kompanii Wschodnioindyjskiej, brytyjskiej korporacji w największej mierze odpowiedzialnej za kolonialną eksploatację Indii.

Jak mówi, urodziła się w walizce. Po uzyskaniu przez Indie niepodległości jej rodzina wyjechała do Hongkongu, a następnie do Malezji. Gdy miała osiem lat, Lumley została wysłana do szkoły z internatem w Anglii. Nie dostała się do upragnionej Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych, mekki wszystkich aspirujących aktorów teatralnych. Została na przeczekanie modelką, co okazało się idealnymi „tylnymi drzwiami".

Londyn lat 60. był centrum świata. Około 1964 roku, kiedy przyjechała, królowały tam minispódniczki od Mary Quant i muzyka Beatlesów. Jeśli miało się szczęście, trafiło się do klubu nocnego, gdzie spotykało się Beatlesów i Rolling Stonesów. Jak sama przyznaje, nie była wtedy częścią tego jet setu. Jako córka wojskowego z Indii była trochę dziewczyną znikąd, której posągowa uroda na pewno pomogła. „Pomogło mi też bycie obserwatorką szaleństwa tamtych czasów, nieokiełznanych imprez, orgii, narkotyków. Przydało się, kiedy potem budowałam swoje role, zwłaszcza Patsy" – mówiła potem.

W wieku 21 lat urodziła syna Jamiego ze związku z Michaelem Claydonem, fotografem. Chociaż wówczas bycie samotną matką było mocno piętnowane, Lumley otrzymała wsparcie ze strony swojej rodziny. „Pochodziłam z kochającej rodziny, obracałam się w świecie sztuki, gdzie ludzie nie są aż tak konserwatywni. Ale świat jest w tych kwestiach okrutny". Pod koniec lat 60. spotkała swojego męża, komika Jeremy'ego Lloyda, producenta wielu seriali, m.in. hitowego „Allo, Allo" i „Are You Being Served?", w Polsce pokazywanego jako „Klient nasz pan", w którym Lumley zagrała. Show-biznes nie sprzyjał związkowi, małżeństwo przetrwało rok.

Mając 30 lat, w 1976 r. dostała rolę Purdey w znanym również w Polsce serialu „Rewolwer i melonik". Jej fryzurę „od garnka" chciały wtedy nosić wszystkie dziewczyny. Wcześniej grywała niewielkie role w takich produkcjach, jak „Coronation Street" i „Stepson and Son", a także miała mikrorólkę jako „dziewczyna Bonda" w „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" w 1969 r.

„Rewolwer" zmienił jej życie. To była duża, ważna rola i spore wyzwanie. Purdey jest niezależna, jest mistrzynią sztuk walki i baletu, w czym pomogła strzelista, wysoka sylwetka Lumley. Prasa narzekała, że Purdey jest za chuda i za mało przymilna, co nie jest zbyt sexy, w co dziś trudno uwierzyć. Lumley walczyła też z uprzedzeniami, że nie jest prawdziwą aktorką, bo była

modelką. „Uważano, że modelki nie potrafią mówić, są kretynkami, nie umieją grać. Wciąż marzyłam o szkole aktorskiej, ale te uwagi skutecznie wybiły mi z głowy Szekspira". Lumley opisała też, jak od młodych aktorek oczekiwano wtedy gotowości do rozbierania się na ekranie oraz uległości. „Zdejmowanie bluzki było jak test na aktorkę. Wszystkie to robiły od Diany Rigg po Julie Christie. Nikt tego nie lubił, tak jak nikt nie lubi intymnych pocałunków ani scen seksu i reszty tych okropnych rzeczy. To był rodzaj miękkiego porno" – wspominała.

ZDJĄĆ BLUZKĘ?

Lata 80. były dla niej posuchą, poza fantastycznym serialem SF „Szafir i stal", gdzie zagrała międzygwiezdną agentkę poruszającą się między wymiarami. Tam też czuła się seksualizowana, wykorzystywano również jej posągową urodę. „To były czasy, kiedy nie mogłaś wynająć mieszkania, jeśli umowy nie podpisał mężczyzna. Mężczyźni zawsze dostawali więcej, zawsze byli na czele, a jeśli nie zdjęłaś bluzki, wylatywałaś z filmu. I wiele osób decydowało się zdjąć bluzkę". Dziś wielu z tych facetów ze świata mediów, telewizji i filmu zostało oskarżonych o molestowanie, a nawet odsiaduje wyroki. „Molestowanie seksualne było powszechne. W metrze, w pubie, w sklepach, zawsze słychać było gwizdanie, szczypanie w pupę, nazbyt poufałą rękę na ramieniu, to się zdarzało non stop".

Metodą Lumley było ignorowanie i zdejmowanie niechcianych rąk. Aktorka nie cierpi użalać się nad sobą, mimo że doskonale wie, że większość jej kariery przebiegła pod znakiem grania „ładnych dziewczyn" i sekretarek. Dlatego rola w „AbFab", jak pieszczotliwie nazywają go fani, była przełomowa. Dziennikarze byli zafascynowani tym, że ta posągowa Lumley klnie i ma talent komediowy. Lumley i Jennifer Saunders zgodnie twierdzą jednak, że sitcom nie mógłby powstać dzisiaj – za łatwo można kogoś obrazić. Nałogi, swobodne podejście do napaści seksualnych i piętnowanie otyłości sprawiłyby, że serial zostałby dziś scancellowany. Pod wieloma innymi względami jednak wyprzedzał swoje czasy, pokazując wyraziste postaci kobiet w pewnym wieku, które niczego się nie wstydzą.

W 1986 r. Joanna Lumley poznała Stephena Barlowa, z którym wzięła ślub i jest z nim do dziś. Po sukcesie „AbFab" zaczęła robić to, co zawsze chciała – oddała się produkowaniu programów podróżniczych i aktywizmowi politycznemu. Ostatnio w ramach „Joanna Lumley's Spice Trail Adventure" wyruszyła w podróż z Indonezji do Jordanii przez Indie, Zanzibar i Madagaskar. Ta podróż to dla niej sposób na rozliczenie się z rolą jej własnej rodziny w budowaniu kolonii.

Lumley mierzy się z tym dziedzictwem, na przykład walcząc o prawa Gurkhów. Gurkhowie są narodem zamieszkałym od wieków w Nepalu, którzy na początku XIX wieku toczyli zaciekłe bitwy z Kompanią Wschodnioindyjską. Mimo że przegrali, będąc pod wrażeniem ich odwagi, Brytyjczycy wcielili ich do swojej armii. Gurkhowie byli bliscy Joannie, ponieważ jej ojciec, major Lumley, służył w 6. Pułku Strzelców Gurkhów. Lumley stała się publiczną twarzą Kampanii na rzecz Sprawiedliwości dla Gurkhów, którzy do



Lucy Punch i Joanna Lumley na pokazie serialu „Amandaland", Londyn 2025

2004 roku nie mieli praw pobytu w Wielkiej Brytanii, mimo że od pokoleń służyli temu krajowi. Lumley stała na czele demonstracji, która w 2008 poszła pod Parlament i siedzibę premiera, którym wówczas był Gordon Brown z Partii Pracy, żądając pełnych praw dla Gurkhów, z petycją podpisaną przez 250 tys. osób. Co niesamowite, Lumley wtedy wygrała, ściągając na siebie gromy prawicowej prasy, która rozpoczęła na nią nagonkę.

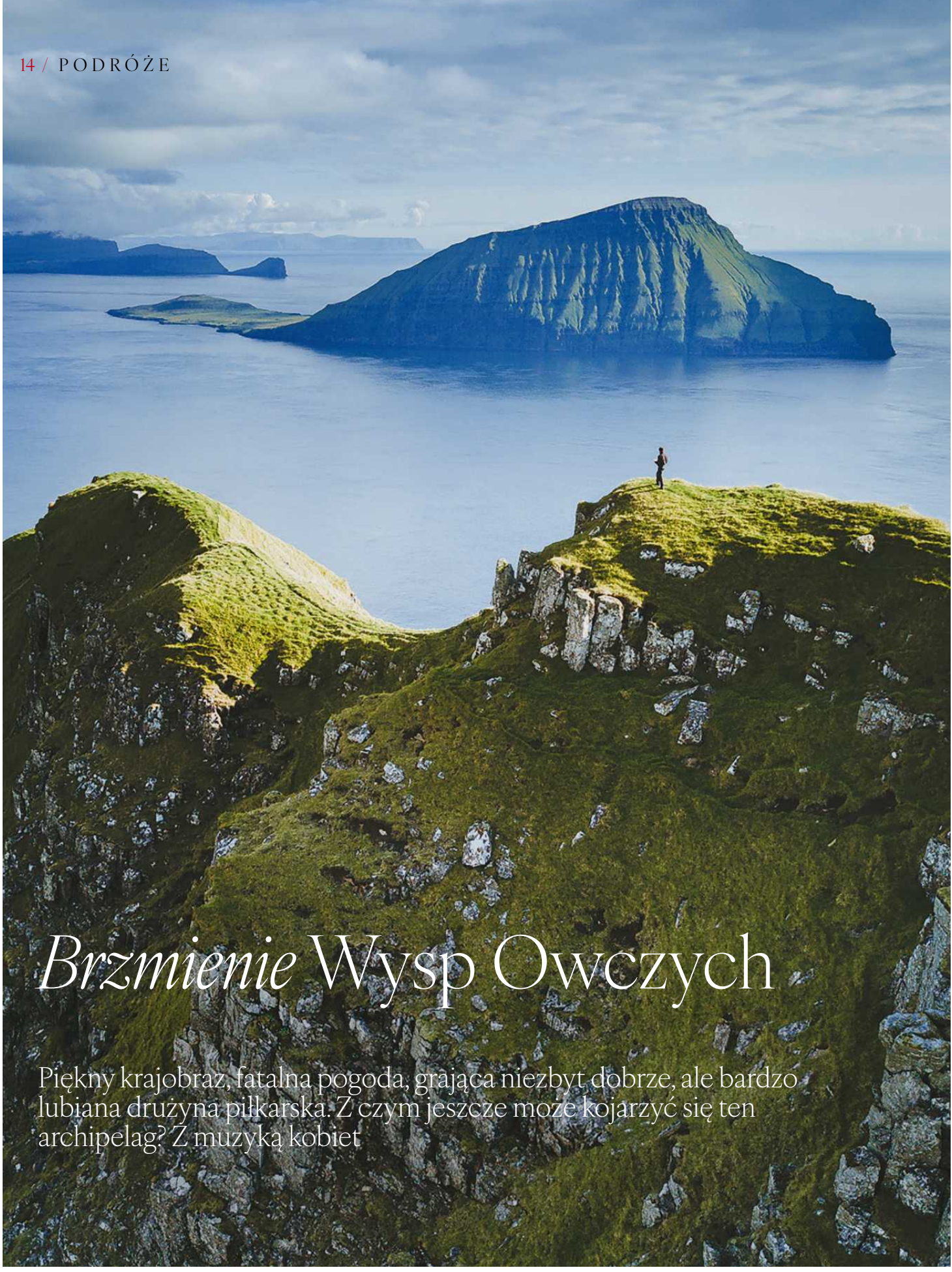
Wielu mówiło, że Lumley powinna pójść do polityki, ale ona określa siebie jako apolityczną. To zaskakujące wyznanie od osoby, która jednocześnie udziela się na rzecz Wolnego Tybetu, przypomina o masakrze w Birmie. Od kilkudziesięciu lat jest wegetarianką i walczy o prawa zwierząt w Compassion in World Farming, wspiera rdzenną ludność w Afryce w Survival International, zdrowie psychiczne w organizacjach charytatywnych, jak Mind i SANE i ok. 70 innych. Jest wśród nich też Kampania na rzecz Niższych Podatków. Cóż, nikt nie jest doskonały. Lumley wydaje się perfekcyjnym owocem czasów hipisowskich i przedstawicielką pokolenia boomersów: polityka jest w jej krwi, ale być może lubi też pieniądze, które zarobiła. „Po prostu chcę, aby ludzie szanowali się nawzajem" – mówi. Dlatego też wystąpiła niedawno w obronie praw emigrantów i zaatakowała faszystę Nigela Farage'a, którego ultraprawicowa Partia Reform uskutecznia obecnie wielką antyemigrancką, rasistowską nagonkę. Włączyła się zwłaszcza w obronę azylantów z krajów, w których toczą się konflikty wojenne i ofiar tortur. Jak twierdzi, to, że sama jest emigrantką, choć uprzywilejowaną, sprawia, że chce teraz wesprzeć innych.

MATKA AMANDY

Jeżeli widzowie kiedykolwiek zastanawiali się, jak zachowywałaby się Patsy, gdyby miała córkę, nie muszą już spekulować: mamy doskonały serial BBC „Amandaland". Lumley gra w nim matkę głównej bohaterki: narcystycznej, samolubnej, opętanej byciem lubianą i posiadaniem followersów na platformach społecznościowych 40-letniej Amandy, którą zaczynamy rozumieć dopiero wtedy, kiedy poznajemy jej matkę. Felicity jest jak Patsy – niesympatyczna, narcystyczna i snobistyczna, wiecznie przewracająca oczami, komentująca figurę córki i podrywająca młodszych facetów.

Nie da się ukryć, że grająca Amandę i ucharakteryzowana na młodą Lumley Lucy Punch, jednocześnie twórczyni scenariusza, wielokrotnie wcześniej występująca u Jennifer Saunders, napisała ten serial częściowo jako hołd dla aktorki i postaci, które Lumley grała, zwłaszcza Patsy. „Amandaland" jest opowieścią o brutalnej rzeczywistości macierzyństwa i kobiecości w średnim i starszym wieku, choć doprowadzona do surrealistycznej przesady. Z przymrużeniem oka, czyli tak, jak starała się zawsze traktować życie Joanna Lumley. ▲

FOT. EAST NEWS (3), GETTY IMAGES (2)



Brzmienie Wysp Owczych

Piękny krajobraz, fatalna pogoda, grająca niezbyt dobrze, ale bardzo lubiana drużyna piłkarska. Z czym jeszcze może kojarzyć się ten archipelag? Z muzyką kobiet

FOT. VISIT FAROE ISLANDS (3), FLORIANTRYKOWSKI (3), LYKKENIELSEN, ROLF MELDGAARD, LAURAMARCHINI, TOMAS GALIK

TEKST **PRZEMYSŁAW GULDA**

Praktycznie w każdej farerskiej miejscowości, nad oceanem, przy przystani, jest pomnik poświęcony kobietom, czekającym na mężczyzn, którzy wypłynęli na zimne, burzliwe wody. Albo tym opłakującym swoich ojców, braci i synów, którzy nigdy nie powrócili z rejsu. Co robiły farerskie kobiety w takich sytuacjach? Ocierały łzy, zakasywały rękawy, zacierały dłonie i brały się do pracy, żeby zbudować sobie życie od nowa. Przetrwać pomagały im pieśni, które śpiewały, żeby dodać sobie otuchy i siły. Te pieśni stały się ważnym elementem ich tożsamości i farerskiej kultury.





Pole namiotowe w czasie festiwalu

KIERUNEK: EYSTUROY!

Na dzisiejszej scenie muzycznej Wysp Owczych – archipelagu rzuconym na wody północnego Atlantyku, niemal dokładnie pomiędzy Islandię, północny kraniec Wysp Brytyjskich i zachodnią krawędź Skandynawii; terytorium zależnym Danii – kobiety odgrywają ważną, jeśli nie kluczową rolę. Przekonać się o tym można na G! Festival, odbywającym się od ćwierć wieku w malowniczym zakątku wyspy Eysturoy, na plaży nad fiordem Fugla.

Eysturoy to wyspa w samym środku archipelagu, na którą dotrzeć można dziesięciokilometrowym tunelem pod oceanem (jest tu nawet, jedyne na świecie, podwodne rondo). Na oficjalnej mapie turystycznej Wysp Owczych malownicze trasy oznaczone są symbolem kwitnącego kwiatka – Eysturoy wygląda na niej jak bujna łąka. Choć niewielka, wyspa ta może się pochwalić największą krajobrazową różnorodnością na całym archipelagu. Na północy wzrok przyciągają wysokie wzniesienia, malownicze fiordy, wąwozy i klify, na południu Eysturoy jest za to płaska, zielona.

Festiwal to prawdziwy fenomen: ważne wydarzenie dla wsi Syðrugøta, gdzie się odbywa, i dla całych Wysp Owczych, duma lokalnych władz i mieszkańców, forum międzynarodowych spotkań i trampolina dla farerskich artystów i artystek do ponadlokalnej sławy.

Dobrze ujął to Páll Isholm, miejscowy lider społeczny, były dyrektor szkoły i członek władz regionalnych, kiedy w przeddzień festiwalu przemawiał do międzynarodowego grona delegatek i delegatów branży muzycznej. – Kiedy miejscowe dzieci, mieszkające w małej wiosce na końcu świata widzą, że ich ulubiony plac zabaw na trzy dni zmienia się w scenę, na której występują gwiazdy muzyczne z kilku kontynentów, zmienia to im perspektywę, poszerza wyobraźnię, pokazuje zupełnie nowe możliwości – mówił.

– Na trzy dni populacja tej doliny zwiększa się ponaddwukrotnie – opowiadał wójt gminy Eystur, Per Martin Gregersen. – To wielkie wyzwanie, ale to też doskonały przyczynek do tego, żeby lokalna wspólnota połączyła swe siły i działała razem. Żeby festiwal mógł się odbyć, działamy razem. Ramię w ramię stają urzędnicy, biznes, drużyna piłkarska, skauci.

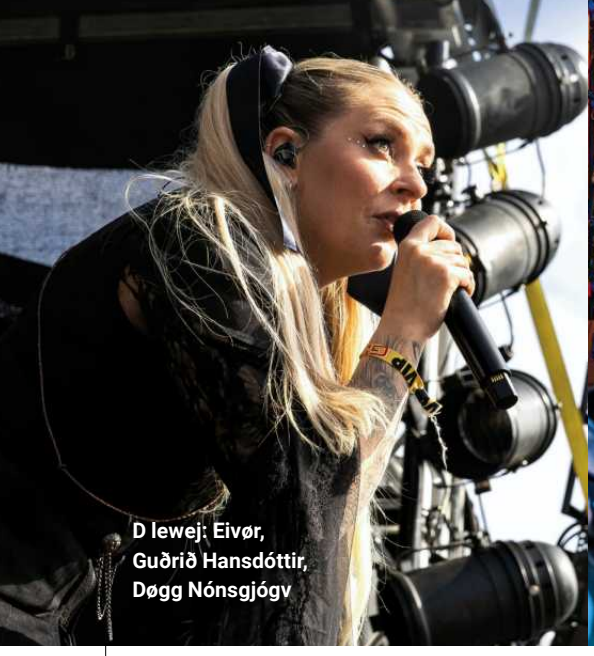
To prawda – ponieważ na całej wyspie nie ma hoteli, noclegi organizowane są w nieoczywistych miejscach. My spaliśmy w harcówce.

WYSPY ŻYJĄ G! FESTIVALEM

Festiwal odbywa się zawsze w lipcu i trwa trzy dni. Mieliśmy szczęście, jeśli chodzi o warunki meteorologiczne.

– Chyba jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby na festiwalu były dwa dni dobrej pogody, nie mówiąc o trzech – mówił nam tuż przed imprezą Kristjan, szef hostelu Giljanes na wyspie Vágar, backpackerskiej mekki na drodze z jedynego międzynarodowego lotniska na wyspach do ich stolicy, idealnego miejsca wypadowego na majestatyczne atlantyckie klify.

W drodze na festiwal nie mogliśmy nie zatrzymać się w Thorshavn, liczącej zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców i mieszkanek najmniejszej stolicy Europy. Choć do festiwalu były jeszcze dwa dni, najważniejsze miasto wysp wyraźnie było już gotowe na tę imprezę. W wielu miejscach można było znaleźć festiwalowe plakaty i ulotki, co rusz można było usłyszeć ludzi rozmawiających o tym wydarzeniu, we wtorkowy wieczór w jednym z klubów odbyła się przedfestiwalowa rozgrzewka: koncert norweskiej artystki znanej jako Moyka, która też zatrzymała się w stolicy w drodze na festiwal.





D lewej: Eivør, Guðrið Hansdóttir, Døgg Nónsgjógv

– Nic dziwnego, że miasto tym żyje – usłyszeliśmy w jednym z najważniejszych miejsc na mapie Thorshavn, w siedzibie sklepu i wytwórni płytowej Tutl Records. Wydawnictwo istnieje od 1977 roku i ma dziś w katalogu setki płyt firmowanych przez artystów i artystki z Wysp Owczych. – To przecież najważniejsza impreza muzyczna na wyspach. Święto, na które wszystkie osoby zainteresowane muzyką czekają cały rok. Zawsze się śmiejemy, że w tym czasie musimy zawieszać działalność, bo duża część naszego personelu... występuje na festiwalu.

DZIEWCZYNA Z SYÐRUGØTY

Największą gwiazdą farerskiej sceny jest dziś artystka znana jako Eivør. Jej kariera trwa od kilku dekad i dawno przekroczyła granice jej ojczyzny. Na tegorocznym G! Festivalu pojawiła się w dwóch odsłonach. Wieczorem w przeddzień festiwalu zagrała secret show dla obecnej na imprezie branży, z trudem mieszcząc swój spory zespół w maleńkim klubie. To była chyba najmniejsza scena, na której wystąpiła w ostatnich latach. Jej występ był krótki, ale bardzo mocny, oparty na nowych utworach: głośnych, rockowych, niemal ocierających się o metal.

Jej oficjalny występ festiwalowy następnego dnia był jeszcze bardziej zaskakujący – kilka lat temu artystka nagrała audiobooka popularnej skandynawskiej książki dla dzieci. Oprócz tego, że czytała tekst, zarejestrowała także kilka piosenek. Na G! Festivalu wystąpiła w specjalnym programie: czytała ze sceny książkę, a piosenki wykonała z towarzyszeniem dziecięcego chóru. Pod sceną były całe rodziny, dorośli zaśmiewali się z żartów z książki, dzieci z wypiekami na twarzach śledziły akcję.

– Ten występ jest szczególny. Jestem stąd, z Syðrugøty. Klub, w którym grałam dziś koncert, był kiedyś moją pierwszą salą prób – mówiła nam. – Marzyłam wtedy, żeby zostać wielką gwiazdą i koncertować na całym świecie. Byłam gotowa oddać dużo, żeby to się udało, ale wiedziałam też przecież, że jestem dziewczyną z Syðrugøty, z archipelagu, o którym mało kto wie i z którego trudno się wydostać. A jednak mi się udało.

WRAŻLIWOŚĆ, NATURA, JĘZYK

Eivør nie tylko się udało, ale swoim międzynarodowym sukcesem otworzyła innym utalentowanym kobietom z archipelagu furtkę na świat. Zaraz za nią podąża dziś spore grono wokalistek, kompozytorek i instrumentalistek.

– To coś nowego – komentuje Eivør. – Przez całe lata widziałam wokół siebie mnóstwo ciekawych kobiecych osobowości, które chowały się, albo były chowane, za facetami z gitarami. Dziś zaczynają wychodzić na pierwszy plan i mówić swoim głosem. Bardzo mnie to cieszy.

Czy ta nowa fala kobiecej siły na farerskiej scenie muzycznej ma jakąś wspólną tożsamość? Choć artystki poruszają się w zupełnie różnych rejonach stylistycznych, w ich twórczości bez trudu można się doszukać podobnych elementów. Często chodzi o swoistą delikatność i specyficzną dla farerskiej tradycji muzycznej wrażliwość, połączoną jednak z artystyczną pewnością siebie. Artystki często śpiewają po farersku i odnoszą się w tekstach do lokalnej przyrody. To element szerszego fenomenu dotyczącego całej farerskiej kultury: na wyspach nie sposób nie być blisko natury, jest wszechobecna i przyjmuje bardzo wyraziste i spektakularne formy.



– Dużo muzyki pochodzącej z Wysp Owczych ma melancholijny wydźwięk – opowiada Guðrið Hansdóttir, jedna z farerskich artystek. – Długie, ciemne zimy i surowa pogoda na archipelagu na pewno się do tego przyczyniają. To wpływa na humor, na nastawienie do świata i, oczywiście, na sztukę. Piszę piosenki w pokoju, z którego mam piękny widok na ocean i aż cztery z 18 farerskich wysp – jak to może nie wpływać na te utwory? A śpiewanie po farersku? Jest dla nas wszystkich ważne. Podtrzymuje to obecność tego języka w obiegu publicznym, a nam pozwala się wyrażać w sposób, który jest głęboko zakorzeniony w naszej kulturze i tożsamości.

TŁUM ŚPIEWA KAŻDE SŁOWO

Hansdóttir jest dziś jedną z najważniejszych artystek z Wysp Owczych – to muzyczka z wieloletnim doświadczeniem, która w swej ojczyźnie cieszy się ogromną popularnością, ale dopiero od niedawna skutecznie próbuje znaleźć publiczność także poza wyspami. Najlepszy dowód to jej krótka polska trasa, która miała miejsce na początku lipca. Kilka koncertów w kameralnych miejscach, dla góra kilkudziesię-



ciu osób. Trudno było o większy kontrast niż między skromnym koncertem w deszczowym Sopocie, z gitarą akustyczną w ręku, i minimalistycznymi wersjami piosenek i tryumfalną rundą honorową, jaką był dla tej artystki występ na G! Festivalu zaledwie kilkanaście dni później. Muzyczka stanęła na dużej scenie z kilkuosobowym zespołem, przyciągnęła ogromny tłum, który wraz z nią śpiewał każdą zwrotkę każdej piosenki.

– To było ukoronowanie dwóch dekad mojej obecności na tym festiwalu. Pierwszy raz byłam tu w 2005 roku. Nie nagrywałam wtedy jeszcze swoich własnych piosenek, śpiewałam chórki na występie Petura Pólsona – powiedziała nam po koncercie.

– Kiedy byłam młoda, nie miałam na farerskiej scenie żadnych kobiecych autorytetów, do których mogłam się odnieść, nikogo, kogo mogłabym naśladować – opowiada artystka. – Dziś pod tym względem jest na szczęście zupełnie inaczej. Jestem przekonana, że reprezentacja jest bardzo ważna. Im więcej kobiecych wzorców jest widocznych w przestrzeni medialnej, tym więcej młodych dziewczyn będzie miało odwagę próbować swoich sił w biznesie muzycznym. Mam świadomość, jak bardzo moja kobieca tożsamość wpływa na moje piosenki. To z niej bierze się moja wrażliwość, moje spojrzenie, moje doświadczenia. Myślę, że świat potrzebuje więcej kobiecych głosów.

DZIEWCZYNA ZNAD WĄWOZU

Døgg Nónsgjógv zrobiła błyskawiczną karierę już jako nastolatka, zwracając na siebie uwagę mocnym głosem i wyrazistymi piosenkami. Ale potem zniknęła. Zrobiła to całkiem świadomie. Wiedziała, że jest młoda, że potrzebuje jeszcze się uczyć. Odłożyła instrument na półkę i poszła na studia. Wydawało się, że nie wróci już do studia nagraniowego i na scenę. A jednak udało jej się coś, co nie udaje się często – jej nowa płyta ponownie wyniosła ją na szczyt zainteresowania na Wyspach Owczych. Na G! Festivalu dała porywający, intymny i pełen czułości koncert.

– Moją największą inspiracją są emocje, relacje między ludźmi i te chwile, które na długo zostają w pamięci – opowiada artystka. – Ważną rolę w kształtowaniu mojej artystycznej wrażliwości ma farerska przyroda. Żyjąc w tym miejscu jest się nieustannie w majestatycznym naturalnym otoczeniu, które przypomina, jak niewielką częścią świata jesteś. W naszych piosenkach jest mnóstwo szczerości, a słuchając ich, można się poczuć bliżej Wysp Owczych. Prawie tak, jakby się tu było.

Opowiadając nam o wyspach, artystka szczególną uwagę zwróciła na miejsce, którego nazwę ma w nazwisku. To maleń-

OGŁOSZENIE

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
ROZSTANIE
TO NIE KONIEC ŚWIATA

PSYCHOLOGIA: Jak rozpada się przyjaźń

RELACJE: Seks to nie nagroda

URODA: Reanimacja po lecie

ZDROWIE: Cytologia po nowemu



wysokieobcasy extra



Elinborg, obok: Gówa

ka miejscowość Gjógv, przepięknie położona na północnym skraju wyspy Eysturoy, między najwyższym szczytem archipelagu a malowniczym wąwozem wcinającym się w zimne wody oceanu.

– Stamtąd pochodzi moja rodzina – opowiada Nónsgjógv. – Mój ojciec nadal tam mieszka, mam z tym miejscem intensywną relację emocjonalną. Dziś Gjógv stało się popularnym turystycznym miejscem, ale jeśli ktoś chce, wciąż może tam odnaleźć spokój, który pamiętam z dzieciństwa. Wystarczy zatrzymać się tam dłużej niż tylko na zrobienie zdjęcia, zejść z utartego szlaku i wsłuchać się w ciszę gór nad oceanem.

RESET NA WYSPACH

Elinborg to kolejna wschodząca gwiazda farerskiej sceny. Na G! Festivalu, gdzie zagrała ostatniego dnia, porwała tłum swoim mrocznym, głośnym występem.

– Czuję się tu jak w domu, całkiem dosłownie – opowiada artystka. – Pochodzę z Syðrugøty. W sumie nawet nie pamiętam swojej pierwszej edycji G! Festivalu, byłam za mała. Byłam beztroskim dzieckiem, które biegało ze swoją dziewczęcą bandą, bawiło się z rodziną i słuchało muzyki. I nawet nie myślałam, że kiedyś sama mogę stanąć na scenie.

Jak wiele innych farerskich artystek, Elinborg także inspiruje się wyspiarską przyrodą i naturą. – Tkwi w niej ogromna siła – mówi. – Potrafi być dzika, nieokiełznana, nieprzewidywalna, ale jednocześnie: niezmiernie piękna i majestatyczna. Dorastanie w takim otoczeniu ukształtowało sposób, w jaki postrzegam świat, i z pewnością wpływa na muzykę, którą tworzę. Sporo czasu spędzałam w Kopenhadze, ale kiedy potrzebowałam resetu, wracałam na wyspy i zawsze wyjeżdżałam stąd z nowymi pomysłami i opowieściami.

SŁODZIAK Z WIELKIM GŁOSEM

Przedstawicielką najmłodszego pokolenia utalentowanych farerskich artystek, które pojawiły się na tegorocznej edycji G! Festivalu, była Gówa. To muzyczka, która w ostatnim czasie zdobyła na Wyspach Owczych wszystkie możliwe nagrody dla młodych twarzy, debiutantów i debiutantek, świeżych muzycznych odkryć.

– Powiem coś, co może być trochę zaskakujące – zwierzyła się artystka. – Farerska przyroda wcale nie jest dla mnie największym źródłem inspiracji. Poza tym tyle utalentowanych osób przede mną przepięknie opowiadało historie o górach i oceanie. Czymś, co mnie inspiruje znacznie bardziej, jest to, jak mała i izolowana od świata jest farerska wspólnota. Kiedy jesteśmy nastolatkami, żyjemy w małej bańce, w której wszyscy się znają, chodzą do tych samych barów i na te same imprezy, podrywając się nawzajem. To śmiertelnie nudne i niezwykle wciągające jednocześnie.



Gówa w kreowaniu swojej artystycznej tożsamości w nieoczywisty sposób stawia na kobiecość. – Mój pseudonim artystyczny oznacza słodziaka, słowo, które w zasadzie jest miłe, ale można go użyć w taki sposób, żeby umniejszyć kobietę, odebrać jej pozycję i sprawczość. Używam tego słowa w dokładnie odwrotnym znaczeniu: żeby odzyskać i jedno, i drugie. Jest mi o tyle łatwiej, że zawsze mogę liczyć na wielkie wsparcie ze strony innych farerskich artystek. W naszej małej społeczności artystycznej kobiety bardzo sobie pomagają.

CAŁY TEN HAŁAS

Na tegorocznym G! Festivalu można było zobaczyć jeszcze kilka ciekawych występów młodych, godnych zauważenia farerskich artystek. Lea Kampmann zagrała muzykę niezwykle wyciszoną, wyszeptaną, delikatną, akustyczną. Jej piosenki zdawały się tak delikatne, że mógłby je zniszczyć najmniejszy hałas pod sceną. Znacznie głośniej było na występie Marianny Winter, która zaprezentowała na G! Festivalu nowoczesny, choć sadzony w tradycji pop. To kolejna artystka, którą warto zapamiętać.

– Któregoś roku, kiedy wychodziłem z terenu festiwalu, późną sobotnią nocą – opowiadał Páll Isholm, dawny dyrektor miejscowej szkoły – zobaczyłem starszą kobietę, siedzącą na krześle przed domem, patrzącą na to, co działo się na scenie. Zapytałem, czy nie przeszkadza jej ten cały hałas i zamieszanie przez trzy dni. „Jak mi to może przeszkadzać?" – zapytała retorycznie i dodała: „Pamiętaj, że przez resztę roku hałas robią tu tylko oceaniczne fale".

Tekst powstał dzięki pomocy G! Festivalu i biura Faroese Music Export. Wyjazd na Wyspy Owcze możliwy był za sprawą wsparcia ze strony Eysturkommuny.

KONKURS



KOBIETY W PODRÓŻY

Weź udział w konkursie i opowiedz nam, co TY robisz przed lub podczas wyjazdu, aby czuć się bezpiecznie?

NAGRODY:



5 x Zestaw kosmetyków **NEO MAKE UP**



1 x SUBARU FORESTER z pełnym bakiem na okres 7 dni



5 x Zestaw kosmetyków do opalania marki **Yves Rocher**



5 x Voucher na zakupy w aplikacji **Wolt**

5 x Walizka kabinowa z kolekcji **Circle Line** od marki **WITTCHEN**







5 x Zestaw 10 klasycznych lakierów do paznokci wraz z innowacyjnym topem oraz kolekcja **Foot Care** do pielęgnacji stóp marki **NEONAIL**

Konkurs trwa od 26 czerwca do 31 sierpnia 2026 r. Żeby wziąć w nim udział należy wypełnić formatkę konkursową dostępną na stronie **www.wysokieobcasy.pl/kobietywpodrozy**

REGULAMIN KONKURSU DOSTĘPNY JEST NA STRONIE **WYSOKIEOBCASY.PL/KOBIETYWPODROZY**

SPONSORZY:

NÉONAIL NÉO MAKE UP SUBARU Wolt WITTCHEN YVES ROCHER FRANCE



Zagubione dzieci

Wietnamskie pracownice barów i domów publicznych pokazywane były jako osoby naiwne i wyrachowane. Polemizuję z tym obrazem

FOT. VU THI VAN ANH

Z **NGUYỄN PHAN QUẾ MAI**
ROZMAWIA PR**ZEMYSŁAW GULDA**

Dlaczego uznałaś, że warto, a może nawet trzeba, napisać książkę o wietnamskich dziewczynach, które podczas wojny spotykały się z amerykańskimi żołnierzami oraz o ich, dziś już dorosłych, dzieciach?

– W 2015 roku, pracując jako niezależna dziennikarka, rozmawiałam z amerykańskimi weteranami wracającymi do Wietnamu, żeby odnaleźć kobiety, które znali w czasie wojny i które zachodziły z nimi w ciążę. Pomagałam im w poszukiwaniach, czasem niemal cudem udawało się połączyć dawne pary. Historie tych osób, to jak, bardzo miały złamane serca i jak wytrwale mierzyły się z traumą i wojennym cierpieniem, zainspirowały mnie do stworzenia dwóch głównych bohaterek powieści.

Trang i Quynh to siostry, które, żeby ratować rodzinę w czasie wojny, muszą pracować w barach i domach publicznych, obsługując amerykańskich żołnierzy. W wielu hollywoodzkich filmach o wojnie w Wietnamie lokalne bargirls pokazywane są jako osoby naiwne i wyrachowane, często sprowadzone tylko do wymiaru seksualnego. Polemizuję z tym obrazem i pokazuję te kobiety jako zwykłych ludzi: z marzeniami, nadziejami, kochające rodzinę. Zależało mi też na tym, żeby ukazać wyniszczający wpływ wojny na tkankę społeczną, a szczególnie na życie kobiet i dzieci.

A ojcowie tych dzieci? Akceptowali je czy odrzucali?

– Podczas wojny w Wietnamie służyło bardzo dużo amerykańskich żołnierzy. Wielu z nich zostało ojcami. Część w ogóle nie wiedziała o istnieniu dzieci, a inni, gdy się dowiadywali, nie chcieli ich uznać. Trudny, niejednoznaczny wymiar tego problemu pokazuję w powieści przez postać Dana, który w 2015 roku wraca do Wietnamu z żoną Lindą. Linda nie wie, że kiedy jej mąż był pilotem w Sajgonie, urodziło mu się dziecko. Dan chciał zapomnieć przeszłość, ale powrót do miasta, w którym kiedyś przeżył intensywny romans z wietnamską bargirl, zmusza go do pytania: czy powinien spróbować odnaleźć swojego syna?

Chciałam w powieści umieścić zapis emocji amerykańskich weteranów. Gdy mowa o konsekwencjach wojny, sprawy prawie nigdy nie dzielą się w prosty sposób na „dobre" i „złe". I to również chciałam pokazać.

W ramach swoich badań naukowych do pracy doktorskiej przeprowadziłaś wiele wywiadów z dziećmi urodzonymi po wojnie ze związków wietnamskich kobiet z amerykańskimi żołnierzami. Co od nich usłyszałaś?

– Ich opowieści są bolesne, a jednocześnie ich siła i odwaga budzą podziw. Dzięki temu, że to wszystko poznałam, mogłam zbudować postać Phonga: chłopca, który został porzucony zaraz po narodzinach i jako dorosły człowiek szuka swoich korzeni. Życie rani go, a on nie przestaje wierzyć w ludzką dobroć i empatię. Jego schronieniem okazują się praca i sztuka: jest rolnikiem, wrażliwym na kolory natury i muzykiem, specjalizującym się w tradycyjnej muzyce wietnamskiej. Budując takie postacie, chciałam przywrócić godność osób, które zostały przez społeczeństwo zepchnięte na margines i zapomniane. Ich odczłowieczenie jest najgorszym efektem wojny.

Na ile te tematy są dziś ważne w Wietnamie? Czy wciąż są tabu, czy mówi się o nich otwarcie?

– Kobiety, które pracowały w barach i domach publicznych, nadal doświadczają stygmatyzacji i dyskryminacji. Te, które

w czasie wojny były związane z amerykańskimi żołnierzami, często do dziś muszą ukrywać swoją przeszłość. W „Kwiatach Sajgonu" pokazuję, w jak gęstej osnowie sekretów muszą żyć i jak wiele trzeba odwagi, żeby przetrwać z takim bagażem. Z kolei dzieci amerykańskich żołnierzy wciąż doświadczają dyskryminacji, szczególnie te o czarnej skórze. W książce krytyka rasizmu wybrzmiewa mocno za sprawą Phonga, którego amerykański ojciec jest czarny. Ale muszę dodać, że Wietnam w ostatnich dekadach niezwykle się zmienił.

Na czym polega ta zmiana?
– Młodsze pokolenia są z reguły bardziej otwarte na rozmowy o trudnych aspektach historii. Mimo to doświadczenia kobiet, które wchodziły w relacje z zagranicznymi żołnierzami, i ich amerykańsko-azjatyckich dzieci pozostają dla wielu rodzin tematami bolesnymi. Mnóstwo osób wciąż nosi w sobie powojenne emocjonalne rany, a część historii nadal pozostaje nieopowiedziana z powodu wstydu, traumy czy poczucia straty.

Ile dzieci z takich związków żyje dziś w Wietnamie i w Stanach Zjednoczonych? Czy ktoś prowadzi badania na ich temat?
– Dokładnej liczby nikt nie zna. Szacunki mówią o dziesiątkach tysięcy dzieci urodzonych w czasie wojny w Wietnamie. Wiele z nich wyemigrowało do USA, zwłaszcza po uchwaleniu w 1987 roku ustawy Amerasian Homecoming Act. Część jednak została w Wietnamie. Osoby, którym udało się wyjechać do Ameryki, często miały ogromne problemy, wynikające z odrzucenia, braku wykształcenia i nieznajomości języka. Dla wielu z nich nauka angielskiego była niezwykle trudna, bo są analfabetami. Wciąż marzą o odnalezieniu ojców, ale większości to się nie udało. Powstały na ich temat opracowania naukowe i pozycje non-fiction – wymieniam je w przypisach do mojej książki. Nie było jednak wcześniej powieści, która w sposób całościowy opowiadałaby o losach takich dzieci, ich matek i ojców. Chciałam tę lukę wypełnić swoją książką.

Czy te osoby otrzymują jakieś wsparcie instytucjonalne, materialne i emocjonalne?
– Jego skala zmieniała się na przestrzeni lat. Ustawa Amerasian Homecoming Act umożliwiła wielu takim osobom i ich bliskim emigrację do USA, gdzie otworzyły się przed nimi nowe możliwości. Ale uzdrowienie emocjonalne jest znacznie trudniejsze niż uzyskanie odpowiedniego statusu prawnego czy odszkodowania w postaci środków finansowych. Wiele osób częściej niż na systemowym, całościowym wsparciu instytucjonalnym polegało i wciąż polega na organizacjach społecznych, rodzinach adopcyjnych, grupach weteranów i prywatnych sieciach pomocowych. Wiele z nich nadal poszukuje krewnych, swojej tożsamości i miejsca, do którego naprawdę przynależą.

Miałaś osobisty kontakt z takimi matkami i ich dziećmi. Na ile wykorzystywałaś prawdziwe historie, tworząc powieść?
– Kiedy prowadziłam badania naukowe, działałam przy wsparciu komisji etyki. Przygotowywałam pytania i strukturę projektu w taki sposób, by chronić prywatność osób, z którymi rozmawiałam. Uzyskałam również ich zgodę na włączenie fragmentów ich doświadczeń w tkankę powieści. Bohaterowie i bohaterki „Kwiatów Sajgonu" są jednak postaciami fikcyjnymi. Wierzę, że pisarz czy pisarka jest jak osoba pracująca w ogrodzie: im więcej przeprowadzi badań, tym żyźniejsza jest gleba, na której sadzi drzewo swojej powieści. Dzięki warsztatowi i wyobraźni drzewo rośnie, wypuszcza korzenie, liście i gałęzie. Ale nie wyda kwiatów ani owoców, jeśli powieść nie znajdzie czytelników i czytelniczek. Dlatego jestem bardzo szczęśliwa, że moja książka ukazuje się także w Polsce.

Niedawno premierę miał polski film dokumentalny „Dziecko z pyłu", opowiadający o potomku amerykańskiego żołnierza. Czy uważasz, że dobrze pokazuje ten problem?
– Miałam zaszczyt obejrzeć film Weroniki Mliczewskiej na jej osobiste zaproszenie. Ta historia doprowadziła mnie do łez. Film został zrealizowany z ogromną wrażliwością: pokazuje wyzwania, z jakimi mierzą się tacy ludzie, zarówno w Wietnamie, jak i w Ameryce. Jest w nim miejsce na ich nadzieję i radość, ale też na rozczarowanie i ból.

Jak przyjęto twoją książkę w Wietnamie i w Stanach Zjednoczonych? Czy na nowo rozpoczęła rozmowę o sprawach, o których piszesz?
– Docierają do mnie reakcje czytelników i czytelniczek z różnych zakątków świata. Wiele osób z Wietnamu, ze Stanów i z innych krajów pisało do mnie, że dzięki mojej książce zobaczyli wojnę w Wietnamie w bardziej ludzkim wymiarze, poza kontekstem politycznym. Dużo głosów pochodziło od dzieci z mieszanych związków, które sięgnęły po tę powieść. Jedno z nich, reżyser Kirk Kellerhals, napisał: „Dla mnie, adoptowanej sieroty z wojny w Wietnamie, wychowanej w Ameryce, to znacznie więcej niż książka, to tak bardzo potrzebne pojednanie i uzdrowienie".

Pisałam tę powieść po angielsku, bo chciałam odzyskać prawo opowiadania przez osoby z Wietnamu ich własnych historii. Przez lata o Wietnamie i wojnie w tym kraju pisali głównie autorzy zachodni. Chciałam pokazać swoją ojczyznę jako kraj o długiej historii i bogatej kulturze, zamieszkany przez ludzi, którzy kochają pokój i nigdy nie przestają o niego zabiegać. W 2023 roku powieść ukazała się w Stanach Zjednoczonych i została dotąd przełożona na piętnaście języków.

Współtłumaczyłam ją również na język wietnamski, moją mowę ojczystą. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy ukazała się wietnamska wersja i została ciepło przyjęta przez czytelników. Publikacja książki przyniosła wiele rozmów o losach bargirls, dzieciach amerykańskich żołnierzy i samych żołnierzach. Wielu ludzi przyznawało, że wcześniej nie miało pojęcia o ich doświadczeniach.

Co chciałabyś przekazać polskim czytelnikom przez swoje pisanie?
– „Kwiaty Sajgonu" są opowieścią o krwawym konflikcie i dramatycznych ludzkich losach, a jednocześnie pieśnią o miłości, rodzinie, tożsamości i przebaczeniu. Pracowałam nad tą powieścią siedem lat. W ubiegłym roku w Polsce ukazała się moja pierwsza książka, „Góry śpiewają". Ogromną radość sprawiło mi jej gorące przyjęcie i wzruszające wiadomości od polskich czytelników i czytelniczek. Mam nadzieję, że „Kwiaty Sajgonu" zostaną odebrane podobnie. ▲



Książka NGUYỄN PHAN QUẾ MAI „Kwiaty Sajgonu" ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Albatros Przekład Izabela Matuszewska



Panny z dzieckiem w domu samotnej matki w Châtillon pod Paryżem, około 1970 r.

Napisałam tę powieść, by przypomnieć, jak długa i kręta była droga, którą przebyły Francuzki, *zanim wywalczyły swoje prawa*



Mali *Paryżanie*

Dla rodziny niezamężna panna z dzieckiem oznaczała hańbę. Należało ją ukryć. Wysyłano ją do domu samotnej matki. Wracała bez dziecka

Z **SOPHIE DE BAERE**
ROZMAWIA **ANNA PAMUŁA**

Zaczęło się od dwóch słów: „Petits Paris". Mali Paryżanie. Tak nazywano dzieci, które francuska opieka społeczna przez dwa stulecia wysyłała z paryskich przytułków do chłopskich rodzin w Morvan. Było ich dwieście, może dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

„Sekrety matek" to czwarta powieść francuskiej pisarki Sophie de Baere, która pierwszą książkę, według obietnicy złożonej samej sobie, wydała w wieku 40 lat. De Baere zafascynowana sierotami Petit Paris, odkryła następnie historie ich matek: niezamężnych dziewcząt, które rodziny wysyłały do domów samotnej matki, by rodziły w tajemnicy. Miały wrócić do domu bez dziecka i wstydu. Nikt nigdy nie policzył, ile kobiet tam trafiło. Powieść daje głos tym, które nigdy go nie miały.

Otwiera pani powieść „Sekret matek" od nostalgicznych słów piosenki „Czas kwiatów", śpiewanej we Francji przez Dalidę, a kończy notą historyczną i obszerną bibliografią. Co było dla pani punktem wyjścia: fikcyjna historia rodziny Legendre czy odkrycie historii o francuskich domach samotnej matki?
– Ani jedno, ani drugie. Wszystko zaczęło się od odkrycia, że istnieli tak zwani Petits Paris i wtedy zapragnęłam stworzyć postać Luciena, opowiedzieć historię małego osieroconego chłopca oddanego na wychowanie do rodziny zastępczej. Później, w trakcie poszukiwań, dowiedziałam się, że tacy mali Paryżanie jak Lucien byli często dziećmi porzuconymi przez niezamężne matki. I to w archiwach odkryłam domy samotnej matki, w których zamykano owe panny z dzieckiem. Po wojnie, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, dla francuskiego społeczeństwa kobiety te były idealnymi winowajczyniami.

Dlaczego?
– Musiały samotnie dźwigać ciężar winy, czyli tego, że przespały się z kimś przed ślubem. Dla rodziny takiej panny z dzieckiem ciąża oznaczała często hańbę. Należało ją ukryć. Winowajczynię wysyłano więc do domu samotnej matki w tajemnicy, gdzie miała spędzić czas ciąży. W większości przypadków zostawiała tam dziecko, rodząc anonimowo. Niektóre zatrzymywały dzieci, ale potem nierzadko wiodły życie w nędzy, a ich dzieci były stygmatyzowane. To odkrycie tak mną wstrząsnęło, że objawiła mi się historia moich bohaterek.

Domy samotnej matki, czyli maisons maternelles, a właściwie ośrodki wychowania upadłych, niezamężnych kobiet w ciąży istniały we Francji aż do lat siedemdziesiątych. „Sekrety matek" to jedna z pierwszych powieści, która sięga po ten mroczny temat. Dlaczego jest on tak nieobecny we francuskiej pamięci zbiorowej?
– Istnienie tych domów, przypominających raczej zakłady poprawcze niż ośrodki opieki i wsparcia, jest wstrząsającym świadectwem tego, jaki status miała Francuzka w tamtych czasach. Bycie matką przed ślubem było nie do pomyślenia, a domy te ucieleśniały moralny autorytet społeczeństwa oraz presję rodziny wywieraną na ciała i życie kobiet. Ich istnienie w pełni zinstytucjonalizowało wstyd i tajemnicę związane z ciążami z nieprawego łoża. Czytałam raporty, w których dyrektorka jednego z takich domów pisała o swoich pensjonariuszkach, że rokowały pomyślnie lub nie. Te, dla których była szansa życia po pierwszej ciąży, mogły wyjść na prostą tylko dzięki szybkiemu zamążpójściu. Co więcej, pensjonariuszki były źle traktowane, często wykorzystywane do licznych prac fizycznych. W tych domach dziewczęta miały zatem odpokutować swoją winę i nauczyć się ogłady, by móc wrócić na łono społeczeństwa.

Z pewnością później nie chciały wspominać tego okresu i milczały.
– Siłą rzeczy było im później niezwykle trudno uwolnić się od poczucia winy, którym je obarczono i które w końcu zakopały w pamięci. Właśnie dlatego wielu Francuzów i Francuzek do dziś nie wie, co spotkało ich matki i babki. Trzeba też dodać, że wydobywanie na światło dzienne tych faktów nie przynosi państwu francuskiemu chluby.

Milczenie jest w pani powieści niemal osobnym bohaterem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Motto książki brzmi: „Przez to, czego nie powiedzieli, zmarli w trumnach są tak ciężcy".
– Rodzinne tajemnice, czyli to, co nazywamy niewypowiedzianą pamięcią transgeneracyjną, zawsze stają się ciężarem. Ten niewidzialny bagaż może wręcz podskórnie kierować naszym losem i prowadzić nas w ślepe zaułki. Możemy nieświadomie powtarzać błędy przodków. Nie sposób bowiem wiedzieć, kim się jest ani dokąd się zmierza, jeśli nie wie się naprawdę, skąd się pochodzi.

Główny bohater powieści to Lucien, który nosi na szyi medalik z numerem nadanym przez opiekę społeczną. Skąd wzięły się te szczegóły – targi, na których „wynajmowano" sieroty, wizyty inspektorów w rodzinach zastępczych, wręczanie im łapówek w postaci nalewki z mirabelek? Jak prowadziła pani poszukiwania?
– Najpierw przeczytałam kilka rzadkich publikacji lokalnych na ten temat, a następnie zajrzałam do archiwów i prac historyków. Kiedy pierwsza wersja powieści była już gotowa, pojechałam do Morvan, przede wszystkim do Musée des Nourrices et des Enfants de l'Assistance Publique (Muzeum Mamek i Dzieci z Opieki Społecznej) w Alligny-en-Morvan, żeby zweryfikować pewne informacje, zebrać kolej-

ne relacje i, rzecz jasna, przesiąknąć tym regionem, jego krajobrazem i ogólną atmosferą. Chciałam skonfrontować swoją intuicję z rzeczywistością.

No właśnie, w posłowiu wspomina pani o muzeum w Alligny-en-Morvan, gdzie przechowywane są wspomnienia panien z dziećmi. Które z zebranych świadectw poruszyły panią najbardziej i czy któreś trafiły do powieści niemal w niezmienionej formie? Postać 13-letniej Isabelle w ciąży przyprawiła mnie o dreszcze...

– Wiele z ich wspomnień wzruszało mnie do łez. Pamiętam opowieść starszej pani, która mówiła, że mając piętnaście lat, nie wiedziała nic o seksualności i zupełnie nie rozumiała ostrzeżeń matki, by „nie grzeszyła". A w katolickim internacie, w którym się wychowywała, nie poruszano „takich tematów", nawet tematu miesiączki. Poruszyło mnie również to, że wśród pensjonariuszek domów samotnej matki bywały zaledwie dwunasto-, trzynastoletnie dziewczynki – ofiary gwałtów i kazirodztwa, które wciąż jeszcze skakały na skakance i grały w klasy. Wszystko to zainspirowało mnie do stworzenia postaci Isabelle, przejmująco naiwnej dziewczynki, której nagle rośnie wielki brzuch, a ona sama nie rozumie, co się z nią dzieje.

Część pani bohaterek żyje przed ustawą Veil z 1975 roku, która zalegalizowała we Francji przerywanie ciąży. Czytamy o czasach, gdy aborcja jest przestępstwem, antykoncepcja niedostępna. W 2024 roku Francja jako pierwszy kraj wpisała wolność przerywania ciąży do konstytucji. Dlaczego ten temat pozostaje ważny do dziś?

– Napisałam tę powieść między innymi po to, by przypomnieć, jak długa i kręta była droga, którą przebyły Francuzki, zanim wywalczyły swoje prawa, między innymi prawo do aborcji. Chciałam, byśmy pamiętali, co to znaczyło być kiedyś Francuzką. Podczas spotkania autorskiego o „Sekretach matek" z licealistami niektórzy mówili mi, że byli wstrząśnięci, uświadamiając sobie, że to mogło dotyczyć ich babć. Jeden z nich sądził nawet, że opisana w książce historia kobiet miała miejsce w średniowieczu. A przecież lata sześćdziesiąte to w gruncie rzeczy nie tak dawno. Naprawdę trudno im było mi uwierzyć, gdy powiedziałam, że wszystko jest udokumentowane historycznie.



FOT. OLIVIER FRAJMAN/ARCHIWALNE. ARCHIVES AP (2), WYDAWNICTWO ALBATROS

SOPHIE DE BAERE

– francuska pisarka. „Sekrety matek" to jej czwarta powieść. Poprzednia – „Les Ailes collées" – została nagrodzona Prix Maison de la Presse 2022 i zaadaptowana na film telewizyjny

Pani powieść ukazuje się dziś w Polsce – kraju, w którym aborcja jest niemal całkowicie zakazana i gdzie kobiety są zmuszone przerywać ciążę za granicą. Co pani czuje, wiedząc, że dla części polskich czytelniczek fragmenty tej powieści mogą być aktualne?

– Czuję ogromny smutek i współczucie wobec kobiet zmuszonych do przeżywania takiego cierpienia. Aborcja jest prawem podstawowym. Jej zakazanie stanowi więc dla mnie poważne naruszenie wolności i równości między kobietami a mężczyznami. Nie mam złudzeń, że żadna kobieta nie decyduje się na aborcję z lekkim sercem... Szanuję osoby, które z pobudek moralnych, religijnych czy innych nie zgadzają się na przerywanie ciąży, ale nie rozumiem, dlaczego miałyby mieć władzę narzucania swojej wizji wszystkim kobietom. Kiedy w grę wchodzi nasze ciało, każdy powinien mieć swobodę wyboru.

Scena, w której główna bohaterka powieści, szesnastoletnia Marthe leży na kuchennym stole u kobiety, która ma dokonać aborcji, a potem krzyczy, że chce zatrzymać dziecko, jest jednym z mocniejszych fragmentów powieści. Jak się pisze taką scenę?

– Podczas pisania bohaterki całkowicie mnie zamieszkują, dlatego z łatwością wchodzę w ich skórę. Tak było zwłaszcza przy tak bolesnej scenie jak ta. Nie zmieniłam w niej potem ani jednego słowa podczas redakcji. Takie sceny przeżywam całą sobą, piszę je niemal na wdechu. Opowieść jest fikcyjna, ale emocje prawdziwe.

„Pisanie nigdy nie jest dla mnie męką" – powiedziała pani w jednym z wywiadów. Jak ta radość pisania współistnieje z materią tak trudną jak domy samotnej matki i dzieci odbierane matkom?

– Pisanie to dla mnie zawsze wielka frajda. Tak było już w dzieciństwie, gdy zaczęłam tworzyć pierwsze opowiadania. Jednocześnie tematy, które podejmuję są trudne. Ale opowiadam o nich za każdym razem za pośrednictwem bohaterów. Przepływają przeze mnie historie inne niż moje własne i wtedy wszystko jest możliwe. To daje ogromne poczucie wolności. Przeszkody, z którymi zmierzają się moi bohaterowie, są zawsze trampoliną do przemiany, do stania się kimś innym, do wprawienia rzeczy w ruch. Mam obsesję na punkcie tego, co nas z góry określa – pochodzenia, rodziny, epoki – a powieść pozwala to właśnie przekroczyć. Na przykład w „Sekretach matek" zmiana jest możliwa dzięki potędze miłości, jaka łączy matkę z dzieckiem czy dwoje młodych ludzi.

Jest pani nauczycielką w szkole podstawowej i pierwszą powieść „La Dérobée" wydała pani, mając czterdzieści lat. Co powiedziałaby pani kobietom, które noszą w sobie historię, ale boją się, że na pewno są niewystarczające, by zostać pisarkami?

– Mam czterdzieści osiem lat i właśnie pracuję nad piątą powieścią. A przecież wydawało mi się to nieosiągalne. Bardzo bałam się porażki, czułam się nieuprawniona do zostania pisarką. Myślałam, że moje pisanie nie będzie dość intelektualne, że mój styl okaże się zbyt mało nowoczesny i nie spodoba się paryskim krytykom. Miałam kompleksy. Ale pewnego dnia po prostu zaryzykowałam. Pisałam po swojemu, dla przyjemności, zajmując się tematami, które mnie poruszały, nigdy nie bacząc na to, co modne. Nigdy tego nie żałowałam. I myślę, że to właśnie chciałabym powiedzieć tym kobietom w pierwszej kolejności: nie umniejszajcie sobie, pozostańcie prawdziwe, autentyczne w tym, jak tworzycie, a przede wszystkim napiszcie książkę, którą same chciałybyście przeczytać. Zyskacie przynajmniej tę radość. ▲



SOPHE DE BAERE
„Sekrety matek", przekład Joanna Prądzyńska, wyd. Albatros



Pod naporem *ocen innych*

Zdanie, które chciałabym wykasować z rodzicielskiego słownika raz na zawsze, to: „Nie wstyd ci?”.

Z **ZOFIĄ OŻAREK-WODZINOWSKĄ**, MIGATOMAMĄ, ROZMAWIA **AGATA GOŁĄBEK-POLUS**
RYSUNEK **BASIA POSPISCHIL**

W jednej z rolek mówisz o rzeczach, których nigdy nie zrobisz swoim dzieciom. Czy jest taka, z którą sama musisz się pilnować?
– Pilnuję się z mówieniem o sobie niedobrze w ich obecności. Dorastałam w latach 90., otoczona kobietami, które podchodziły do siebie bardzo krytycznie. Zawsze znajdowały coś, co powinny w sobie poprawić, a każdy komplement zbywały machnięciem ręki. I chociaż te uwagi nigdy nie były skierowane do mnie, przesiąkły mi przez skórę i zalęgły się w głowie jak nieproszeni goście. Długo pracowałam nad tym, żeby traktować się z życzliwością. Odkąd zostałam mamą, wiedziałam, że nie będę umniejszać siebie w obecności dzieci. To oczywiście scenariusz minimalny, bo celem numer jeden było dla mnie: nie będę umniejszać siebie. Kropka. Pomogło mi proste ćwiczenie myślowe – za każdym razem, gdy cisnęła mi się na usta jakaś złośliwość pod własnym adresem, pytałam siebie: „Czy chciałabym, żeby moje dziecko myślało o sobie w ten sposób?". Jeśli odpowiedź brzmiała: „Nie", zamykałam buzię na kłódkę. A potem stało się coś niesamowitego. Podeszłam do tego od drugiej strony. Zaczęłam mówić o sobie pozytywnie, zauważać swoje dobre strony, sukcesy i traktować się dobrze – żeby dzieci nauczyły się tego samego. Ta zmiana podejścia kompletnie odmieniła moje życie.

Myślisz, że dzieci bardziej zapamiętują wielkie błędy rodziców czy codzienne, drobne komunikaty?
– Oczywiście, wspomnienia większych błędów lepiej zapadają nam w pamięć. Mam jednak wrażenie, że te drobne, codzienne, choć pozornie nam umykają, często chowają się z tyłu głowy. I budują, cegiełka po cegiełce, różne mury, które potem, w dorosłości, trudno nam przeskoczyć: kompleksy, brak pewności siebie czy odwagi do bycia sobą.

Zdarzyło ci się przeprosić swoje dziecko?
– Oczywiście. Nie mam z tym żadnego problemu. Za każdym razem, gdy zrobię coś źle, przepraszam. Z wyjaśnieniem, ale bez usprawiedliwiania. Bo chcę, żeby im też przychodziło to z łatwością. Jedną z najważniejszych rzeczy, jakich chcę nauczyć moje dzieci, jest odpowiedzialność za to, co robią, mówią czy piszą. Za to, co, cytując klasyka, „oswoją". Chcę pielęgnować w nich poczucie sprawczości – ale to idzie w parze ze świadomością, że jeśli kieruję swoim losem, to wszystko, co robię, zapisuje się na moje konto. Dlatego nie ukrywam przed nimi, że ja też czasem robię coś nie tak. Chcę, żeby wiedziały, że to nieodłączna część życia, ale wartości człowieka nie definiuje się jego błędami, tylko tym, co z nimi robi. Chcę im pokazać, że nad relacją trzeba pracować, a branie odpowiedzialności za swoje czyny to jeden z fundamentów dobrej relacji.

Nie podoba mi się trend, który obserwuję w serwisach społecznościowych: „Moje dziecko nie będzie nikogo przepraszać". Albo: „Moje dziecko przeprosi, jak zechce..."; „Moje dziecko nie musi..."; „Moje dziecko nauczy się samo, nie będę go zachęcać" – absolutnie się z tym nie zgadzam. Zachęcanie do przepraszania, ale też proszenia i dziękowania to dla mnie nie tresura, tylko nauka życia w grupie i nauka empatii. Powtarzam, modeluję, przypominam, aż stanie się to dla nich naturalne. „Przepraszam" nie oznacza w naszym domu bezrefleksyjnego samobiczowania. To słowo znaczy: „Widzę swój błąd i widzę ból, smutek i niewygodę innej osoby. Zawaliłem, ale wiem, że to nie koniec świata. Chcę to naprawić". „Przepraszam" to pierwszy krok, żeby zacząć od nowa.

Kiedy mówimy o komunikacji z dzieckiem, często myślimy o krzyku czy karach. Tymczasem ogromną rolę odgrywają też komentarze dotyczące wyglądu. Gdybyś mogła na zawsze usunąć z języka rodziców jedno zdanie dotyczące wyglądu dzieci, które by to było?
– Mam takie dwa. Pierwsze to klasyk, który na co dzień podcina nam skrzydła: „Bo co ludzie powiedzą". „Nie obetnę włosów – bo co ludzie powiedzą"; „Nie założę tej sukienki – bo co ludzie powiedzą". Co powiedzą, to ich sprawa. Jeden z najbardziej uwalniających momentów mojego życia to uświadomienie sobie, że... nikt nie myśli o nas tyle, co my sami. Więc jeśli nie krzywdzimy tym innych, naprawdę możemy wyglądać, ubierać się, myśleć i żyć, jak chcemy.

A drugie zdanie, które chciałabym wykasować z rodzicielskiego słownika raz na zawsze to: „Nie wstyd ci?". To najbardziej ograniczający i bolesny pocisk, którym możemy trafić w dziecko. Odbiera mu jedne z najcenniejszych rzeczy – akceptację samego siebie i poczucie bycia akceptowanym takim, jakie jest, przez własnego rodzica.

Co bardziej martwi cię jako mamę: że dzieci są oceniane przez rówieśników, czy że najpierw uczą się oceniać same siebie?



– I to, i to. Pierwsza kwestia, ocena przez rówieśników, wiąże się z tym, o czym często głośno mówię w internecie: nasz świat potrzebuje więcej empatii i mniej egoizmu. Uczenia dzieci od małego, że ich słowa i czyny mają konsekwencje. A ocena samych siebie? To najgorsze więzienie, bo z własnej głowy nie sposób uciec. Te kraty ograniczają nas w życiu najbardziej. Dlatego uczę moje dzieci samodzielnie budować obraz siebie. Żeby pomóc im stworzyć silny fundament własnej tożsamości i wartości, który nie runie pod naporem ocen innych ludzi. Codziennie zachęcam ich do zauważania własnych sukcesów i mocnych stron. To nasz wieczorny rytuał.

Czy rodzice za często rozmawiają z dziećmi o wyglądzie, a za rzadko o tym, co one czują?

– Nasz wygląd dużo łatwiej zauważyć niż nasze myśli czy emocje. To, co czujemy, co być może zjada nas od środka, innym często umyka. Czasem manifestuje się to tym, jak prezentujemy się światu – w co się ubieramy czy jak bardzo nonszalanckich udajemy. Czasem to znak: „Nie podchodź, cierpię", czasem: „Spójrz na mnie, zwróć na mnie uwagę!". Dużo łatwiej rzucić: „Przestałaś o siebie dbać", zamiast chwilę się zastanowić i zapytać: „Czy wszystko u ciebie OK?".

Coraz młodsze dzieci mówią o dietach, grubym brzuchu czy tym, że chcą wyglądać jak ktoś z internetu?

– Niestety, tak. Widzę powrót trendu na niepokojącą, niezdrową chudość. Mam wrażenie, że bardzo ciągnie nas do skrajności. Wahadło wychyla się raz w jedną, a raz w drugą stronę. A ja szukam złotego środka i do tego chcę też zachęcić moje dzieci – a przy okazji moją społeczność w sieci. Nie chcę robić formy na lato – chcę mieć formę na lata. Zdrowe, silne ciało, w którym dobrze będę się czuła i które pozwoli mi żyć pełnią życia. Gdy byłam dzieckiem, ten problem dotyczył raczej młodych dorosłych – 18-, 19-, 20-latków. Dziś widzę dziewczynki w podstawówce, które codziennie się ważą i narzekają, że w ubraniach wyglądają grubo. I pęka mi serce. To, jak dzisiejsza kultura wpływają na dzieci i ich sposób myślenia o sobie, to koszmar.

Kiedy wrzucasz rodzinne treści do internetu, myślisz czasem: „Tego moje dzieci kiedyś mogą nie chcieć oglądać"?

– Nie, nie publikuję rzeczy, o których bym tak myślała. Nigdy nie przedstawię ich publicznie w negatywnym świetle. To moje



ZOFIA OŻAREK-WODZINOWSKA

– twórczyni internetowa znana na Instagramie jako MigatoMama, autorka poradnika dla rodziców „Rozgadaj malucha. Jak szybko nauczyć dziecko mówić" i bajek edukacyjnych dla dzieci o Bobisiu i Bobince

dzieci i ich dobro jest dla mnie najważniejsze. A jeśli chodzi o treści, które dotyczą mnie, to biorę to na klatę. Mówię o tym, co dla mnie ważne, i jestem w tym szczera. Nie wstydzę się swojego poczucia humoru, swoich przemyśleń, przekonań. Po co mi własna przestrzeń w internecie, w której nie mogłabym być sobą?

Rodzice też są dziś pod ciągłą oceną. Da się wychowywać dzieci po swojemu, kiedy internet codziennie podpowiada, jak powinien wyglądać dobry rodzic?

– Jasne, że się da. Chaos informacyjny w serwisach społecznościowych potrafi przytłoczyć, ale istnieje na to prosty sposób – wybrać osoby i źródła, którym ufamy, których metody nas przekonują i wydają się nam wartościowe. Wszystko inne to szum. Zaufajmy sobie i swojej intuicji. To nasz ogromny skarb, często pomijany, czasem wyśmiewany i spychany na margines. Ale to my najlepiej znamy swoje dziecko. To my jesteśmy z nim często 24 godziny na dobę. Sama nieraz tego doświadczyłam – pamiętam, jak coś zaniepokoiło mnie w zachowaniu córki, wtedy jeszcze kilkumiesięcznego niemowlaka. Byłam u jednego lekarza, usłyszałam: „Wszystko w normie". Drążyłam, poszłam do drugiego: „Nic się nie dzieje, przesadza pani". A trzeci lekarz... w trybie pilnym wysłał nas na ostry dyżur. Dokształcajmy się, zbierajmy wiedzę z wartościowych źródeł i od zaufanych osób, ale przede wszystkim ufajmy sobie.

Miałaś kiedyś moment, w którym pomyślałaś: „Internet mówi jedno, ale moje dziecko potrzebuje czegoś zupełnie innego"?

– Mam je bardzo często. Bo internet, a szczególnie serwisy społecznościowe lubią uproszczenia. Trudno, żeby było inaczej, kiedy z roku na rok platformy społecznościowe promują coraz krótsze formy. A ja zawsze powtarzam, żeby brać na to poprawkę, bo każde dziecko jest inne. Każda matka jest inna – ma inne usposobienie, inne zasoby i inne życie. Pamiętam, jak w ładnej instagramowej karuzeli przeczytałam, że jeśli chcę zachęcić do czegoś dziecko, powinnam mu dać iluzję wyboru. Zapytałam synka, zgodnie z poradą ekspertki: „Co wolisz: kanapkę z szynką czy awokado?". A on mi, skubany, na to: „Ani to, ani to". I bądź tu mądra. Musiałam wypracować inny sposób – synek lubi historie, więc u nas najlepszą zachętą był teatrzyk, w którym każdy ze składników kanapki miał swoją rolę i próbował przekonać go do jedzenia. Dlatego tak często zachęcam rodziców, żeby z ciekawością obserwowali swoje dziecko i naprawdę je poznali – co lubi, co je interesuje i jak najlepiej do niego dotrzeć. Nie trzeba do tego internetu, wystarczy uważny, obecny rodzic.

W twoich materiałach często powtarza się myśl, że dzieci trzeba traktować z szacunkiem. Czy szacunek zaczyna się właśnie od języka, którym do nich mówimy?

– Zdecydowanie. Nie nazywam dzieci kaszojadami czy gówniakami. Tak samo jak nigdy nie powiem o innej kobiecie „madka". Bo dla mnie to nic innego jak odzieranie z człowieczeństwa. Mocne? Być może. Ale prawdziwe. Zaczynamy na poziomie języka, potem tworzymy coraz więcej przestrzeni „bez" – bo zachowanie dziecka nam przeszkadza, bo bycie świadkiem karmienia piersią nie idzie w parze z naszą estetyką. Jaki będzie następny krok? Dzieci z roku na rok rodzi się coraz mniej – powinniśmy się zastanawiać, jak to zmienić. A ostracyzm społeczny z pewnością w tym nie pomoże. Jest takie powiedzenie, na które zawsze przewracam oczami: „Dzieci i ryby głosu nie mają". A dzieci mają głos – i to czasem bardzo donośny. A tak na poważnie – sposób myślenia dzieci jest fascynujący. Musimy tylko dać im szansę te myśli wyartykułować. Dlatego tak dużo mówię o tym, jak pomóc dzieciom w nauce mówienia – bo moment, gdy dziecko potrafi komunikować się z nami inaczej niż płaczem, odmienia rodzicielstwo. A jak już mówią – słuchajmy. Z uwagą, zainteresowaniem i właśnie – szacunkiem. ▲

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

W sprzedaży!



SPONSOR WYDANIA

MÖLLER'S OMEGA-3

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**